

# Uwięziona, tom drugi



MARCEL PROUST

# Uwięziona, tom drugi

TŁUM. TADEUSZ BOY-ŻELEŃSKI

## ROZDZIAŁ DRUGI (CIAĞ DALSZY)

Pan de Charlus był zawsze w życiu tylko dyletantem. To znaczy, że tego rodzaju wypadki nie mogły mu przynieść żadnego pożytku. Przykre wrażenie, pod jakim go zostawiała, wyładowywał w gwałtownych scenach, w których umiał być wymowny, lub w intrygach. Ale dla osobnika z talentem jakiegoś Bergotte'a doświadczenia takie mogłyby stać się cenne. Działamy w życiu po omacku, ale podobnie do zwierząt, wybierając roślinę, która nam jest zbawienna; co tłumaczy po części, że ludzie tacy jak Bergotte żyją przeważnie w towarzystwie istot miernych, fałszywych i złych. Piękność wystarcza wyobraźni pisarza, podnieca jego dobroć, ale nie przekształca w niczym natury jego towarzyszek, której życie, położone o tysiące metrów niżej, niewiarygodne stosunki, kłamstwa przekraczające wszelkie przypuszczenie, a zwłaszcza idące w odmiennym kierunku, ukazują się chwilami niby błyskawica. Kłamstwo, kłamstwo doskonałe o ludziach, których znamy, o stosunkach, jakie nas z nimi łączą, o naszych ewentualnych pobudkach sformułowanych przez nas zupełnie inaczej, kłamstwo o tym, czym jesteśmy, co kochamy, czego doznajemy wobec istoty, która nas kocha i która sądzi, że nas urobiła na swoje podobieństwo, dlatego że nas całuje przez cały dzień — to kłamstwo jest niemal jedyną rzeczą zdolną otworzyć nam perspektywę na coś nowego, nieznanego, obudzić w nas uspięne zmysły i objawić nam wszechświat, którego nigdy nie bylibyśmy poznali.

Co się tyczy pana de Charlus, trzeba powiedzieć, że o ile był zdumiony, dowiadując się o Morelu rzeczy, które ów przed nim starannie ukrywał, mylił się, wnioskując stąd, iż błędem jest wiązać się z osobnikami z ludu. Ujrzymy w istocie, w ostatnim tomie tego dzieła, samego pana de Charlus robiącego rzeczy, które bardziej zdumiałyby jego rodzinę i przyjaciół, niż jego mogło zdumieć życie odsłonięte przez Leą. (Najprzykrzejszą rewelacją była dla barona podróż, którą Morel odbył z Leą, zapewniając pana de Charlus, że przez ten czas studiował muzykę w Niemczech. Aby poprzec to kłamstwo, użył pomocy życzliwych osób, wyprawiając swoje listy do Niemiec, skąd oni przesyłali je panu de Charlus, tak zresztą przekonanemu, iż Morel w istocie tam przebywa, że nawet nie patrzył na marki<sup>1</sup>).

Ale już czas dogonić barona, który posuwa się z Brichotem i ze mną do bramy Verdurinów.

— A co się stało — dodał, zwracając się ku mnie — z młodym Hebrajczykiem, któregośmy spotkali w Denville? Przyszło mi na myśl, że gdyby to panu sprawiło przyjemność, można by go zaprosić któregoś wieczora.

W istocie pan de Charlus, zadowolając się bezwstydnym szpiegowaniem Morela przez biuro detektywów (zupełnie jak mąż lub kochanek), sam chętnie zerkał w stronę innych młodych ludzi. Nadzór, który polecił staremu służącemu roztaczać nad Morelem za pośrednictwem agentów, był tak mało dyskretny, iż lokaje myśleli, że to ich śledzą, a jedna z pokojówek umierała ze strachu, nie śmiała się wychylić na ulicę, myśląc, że wciąż agent depce jej po piętach. „Ależ niech sobie robi, co się jej podoba! Właśnie byśmy tracili czas i pieniądze na to, aby ją śledzić! Jakby jej prowadzenie się mogło nas w czymkolwiek obchodzić?” — wykrzykiwał ironicznie stary sługa, tak namiętnie przywiązany do pana, że

<sup>1</sup>marka (daw.) — znaczek pocztowy. [przypis edytorski]

nie dzieląc bynajmniej gustów barona, obsługiwał je żarliwie i w końcu mówił o nich tak, jakby to były jego własne gusty. „To uosobiona zacość” — mówił o tym starym słudze Charlus, bo nikogo się nie ceni tak, jak tych, którzy ze swymi wielkimi cnotami łączą cnotę oddawania ich na usługi naszych przywar. Zresztą co się tyczy Morela, pan de Charlus zdolny był do zazdrości jedynie o mężczyzn. O kobiety nie troszczył się wcale. Jest to zresztą niemal ogólne prawidło Charlusów. Miłość kochanego przez nich mężczyzny do kobiety jest czymś innym, czymś, co się dzieje w innym gatunku zwierząt (lew zostawia tygrysy w spokoju), czymś, co im nie przeszkadza i raczej ich uspokaja. Czasem, to prawda, tych, co czynią z inwersji kapłaństwo, brzydzi taka miłość. Mają wówczas żal do przyjaciela, że się jej oddawał; żal nie o zdradę, ale o upadek. Jakiś inny Charlus, odmienny od barona, oburzyłby się wiadomością, że Morel żyje z kobietą, tak jakby się oburzył, widząc na afiszu, że on, odtwórca Bacha<sup>2</sup> i Haendla<sup>3</sup>, ma grać Pucciniego<sup>4</sup>! Dlatego właśnie młodzi ludzie, którzy dla interesu poddają się miłości Charlusów, wmawiają w nich, że mają do kobiet zdecydowany wstręt, tak jak powiedzieliby lekarzowi, że nigdy nie używają alkoholu i lubią jedynie źródlaną wodę. Ale pan de Charlus odbiegał nieco w tym punkcie od powszechnej reguły. Tak dalece podziwiał w Morelu wszystko, że jego powodzenia u kobiet nie gniewały go; sprawiały mu tę samą radość co sukcesy skrzypka na koncercie lub w partyjce *écarté*<sup>5</sup>. „Ależ, drogi panie, pan wie, kobiety lecą na niego!” — powiadał tonem rewelacji, zgorzienia, może zawiści, zwłaszcza podziwu. „On jest nadzwyczajny” — dodawał. — „Wszędzie najślawniejsze źdźziry sypią do niego oko. Wypatrują się na niego wszędzie, w metrze czy w teatrze. To się robi aż nudne! Nie mogę z nim iść do restauracji, żeby garson<sup>6</sup> nie przyniósł mu bilecików od trzech kobiet. A zawsze od ładnych. Trudno się zresztą dziwić. Przyglądałem mu się wczoraj i rozumiem to; zrobił się bajecznie piękny, wygląda na jakiegoś Bronzina<sup>7</sup>, jest doprawdy wspaniały”. Ale o ile pan de Charlus lubił okazywać, że kocha Morela, lubił też przekonywać innych, może i siebie, że posiada jego wzajemność. Miał tę ambicję, aby go ciągle mieć przy sobie mimo szkody, jaką ten młody człowiek mógł przynieść światowej sytuacji barona. Często zdarza się u ludzi dobrze sytuowanych, a snobów, że przez próżność zrywają wszystkie stosunki po to, aby ich wszędzie widziano z kochanką z półświatka lub jakąś wybrakowaną damą, której nikt nie przyjmuje, a której fawory wydają się im czymś pochlebny. Bo baron doszedł do tego punktu, gdzie próżność sili się wytrwale niszczyć cele, które osiągnęła, czy że pod wpływem miłości znajdujemy niewidzialny dla innych urok w ostentacyjnych stosunkach z kochaną istotą, czy że urzeczywistnione światowe ambicje słabną, rosną zaś skłonności do pokątnych miłostek, tym bardziej absorbujących, iż są platoniczne. I z czasem u barona nowe te upodobania nie tylko osiągnęły, ale przekroczyły poziom, na którym z trudem utrzymywały się dawne.

Co się tyczy innych młodych ludzi, pan de Charlus uważał, że istnienie Morela nie jest przeszkodą wobec nich i że nawet sława Morela jako pianisty<sup>8</sup> lub jego poczynający się rozgłos jako kompozytora i dziennikarza mogłyby w pewnych razach posłużyć mu jako przynęta. Kiedy baronowi przedstawiono jakiegoś młodego kompozytora o milej powierzchowności, szukał w talentach Morela okazji do uczczenia nowego znajomego: „Powinien by pan — powiadał — przynieść mi swoje kompozycje, Morel zagrałby je na koncercie albo na swoim tournée. Tak mało jest przyjemnej skrzypcowej muzyki, to prawdziwa gratka znaleźć w tym zakresie coś nowego. I cudzoziemcy bardzo to cenią. Nawet na prowincji są kółka muzyczne, w których pielęgnuje się muzykę z cudownym zapalem i inteligencją”.

<sup>2</sup>Bach, *Johann Sebastian* (1685–1750) — wybitny niemiecki kompozytor i organista epoki baroku, jeden z największych artystów w historii muzyki. [przypis edytorski]

<sup>3</sup>Haendel, *Georg Friedrich* (1685–1759) — niemiecki kompozytor, jeden z najwybitniejszych twórców muzyki późnego baroku. [przypis edytorski]

<sup>4</sup>Puccini, *Giacomo* (1858–1924) — włoski kompozytor muzyki operowej, jeden z wielkich mistrzów tradycyjnej opery. [przypis edytorski]

<sup>5</sup>*écarté* (fr.) — dawna hazardowa gra karciana dla dwóch osób, popularna w XIX w. [przypis edytorski]

<sup>6</sup>garson (z fr.) — kelner. [przypis edytorski]

<sup>7</sup>Bronzino, właśc. *Agnolo di Cosimo* (1503–1572) — włoski malarz, rysownik i poeta okresu manieryzmu; autor m.in. obrazu *Portret młodego mężczyzny* (1540). [przypis edytorski]

<sup>8</sup>sława Morela jako pianisty — zdaje się, że w pierwszej redakcji Morel miał być pianistą, czego ślad został w tym „przepisaniu się”. [przypis tłumacza]

Wszystko to służyło tylko za przynętę, rzadko bowiem zdarzało się, żeby Morel ziścił te obietnice. A gdy Bloch przyznał się, że jest trochę poetą, „w wolnych chwilach” — dodał z sarkastycznym śmiechem, którym podkreślał banalność, kiedy nie umiał znaleźć oryginalnego wyrażenia, pan de Charlus oświadczył mi z równie wątpliwą szczerością:

— Powiedz pan temu młodemu Izraelicie, że skoro pisze wiersze, powinien by mi je przynieść dla Morela. To zawsze wielka trudność dla kompozytora znaleźć coś ładnego pod muzykę. Można by nawet pomyśleć o jakimś librecie. To by mogło być interesujące i nabrałoby pewnego znaczenia z powodu sytuacji poety, mojej protekcji, całego spłotu okoliczności, wśród których talent Morela zajmuje pierwsze miejsce, bo on wiele teraz komponuje i pisze także, i bardzo ładnie, opowiem to panu. Co do jego geniuszu wykonawcy, wie pan, że pod tym względem jest już prawdziwym mistrzem. Zobacz pan dziś wieczór, jak ten smarkacz kapitalnie interpretuje Vinteuila; głupieję po prostu; w jego wieku mieć takie zrozumienie, pozostając przy tym takim dzieciakiem, takim malcem! Och, dziś jest tylko mała próba. Wielka awantura ma być za kilka dni. Ale dziś będzie o wiele bardziej elegancko. Toteż jesteśmy bardzo radzi, że pan przyszedł — rzekł baron, używając owego „my” prawdopodobnie dlatego, że król powiada: „życzymy sobie”. — Z racji wspaniałego programu poradziłem pani Verdurin, żeby zrobiła dwie uroczystości. Jedna za kilka dni, na której będą wszyscy jej znajomi, dziś druga, w której „pryncypałka”<sup>9</sup> jest, mówiąc terminem sądowym, wywłaszczona. To ja ułożyłem listę i zebrałem trochę osób z innego świata, osób, które mogą być użyteczne dla Charliego, a które Verdurinom miło będzie poznać. Zapewne to bardzo ładnie, produkować najpiękniejsze rzeczy z udziałem największych artystów, ale cały ewenement ginie bez echa, jeśli publiczność składa się ze sklepikarki z przeciwwka i kupca korzennego z rogu. Pan wie, co ja sądzę o poziomie intelektualnym światowców; ale oni mogą odegrać pewne dosyć ważne role, między innymi rolę analogiczną do prasy jako narzędzia reklamy. Rozumie pan, co mam na myśli: zaprosiłem na przykład moją bratową Oriane; nie jest pewne, czy przyjdzie, pewne natomiast jest, że jeżeli przyjdzie, nie zrozumie absolutnie nic. Ale nikt nie żąda od niej, żeby rozumiała, to przekracza jej środki duchowe; żąda się, żeby gadała, co jest do tych środków wybornie dostosowane i czego też sobie nie odmówi. Skutek: jutro zamiast milczenia sklepikarki i korzennika ożywiona rozmowa u Mortemartów, gdzie Oriana opowie, że słyszała cudowne rzeczy, że niejaki Morel itd.; nieopisana wściekłość niezaproszonych, którzy powiedzą: „Palamed uznał z pewnością, że jesteśmy niegodni; zresztą, co to za ludzie, u których się to działo!” — akompaniament równie pożyteczny jak hymny Oriany; w ten sposób nazwisko Morela powtarza się co chwila i odciska się w pamięci niby lekcja odczytana dziesięć razy z rzędu. Wszystko to stwarza spłot okoliczności, który może mieć swoją wartość dla artysty, dla pani domu, może posłużyć poniekąd za głośnik dla uroczystości artystycznej udzielonej w ten sposób i dalszej publiczności. Doprawdy, że to warte trudu; zobaczy pan, jakie Charlie zrobił postępy. Objawił się w nim zresztą nowy talent, drogi panie: pisze jak anioł. Jak anioł, powiadam panu.

Pan de Charlus nie wspomniał nam, że od jakiegoś czasu — jak owi wielcy panowie z XVII wieku, którzy nie raczyli podpisywać, a nawet pisać swoich pamfletów<sup>10</sup> — kazał sporządzać Morelowi plugawe i potwarcze notatki wymierzone przeciw hrabinie Molé. Notatki te, rażące bezczelnością tych, co je czytali, o ileż musiały być dotkliwsze dla młodej kobiety odnajdującej w nich ustępy z własnych listów, cytowane dosłownie, ale w sensie, który mógł ją przywieźć do szaleństwa jako najokrutniejsza zemsta. Były zresztą tak zręcznie wsunięte, że nikt prócz niej nie mógł tego zgadnąć. Młoda kobieta przypłaciła to życiem. Ale w Paryżu — powiedziałaby Balzac — wychodzi co dnia rodzaj mówionego dziennika, okrutniejszego niż inne. Ujrzymy później, że ta sama „mówiona prasa” zniweczyła później potęgę niemodnego już Charlusa i o wiele ponad niego wzniosła Morela, który nie był wart ani milionowej części swego dawnego protektora. Przynajmniej ta moda intelektualna jest naiwna i szczerze wierzy w nicość jakiegoś genialnego Charlusa i w niezaprzeczony autorytet głupiego Morela. Baron był mniej niewinny w nieubła-

<sup>9</sup>pryncypałka (przestarz.) — zwierzcchniczka, przełożona. [przypis edytorski]

<sup>10</sup>pamflet (lit.) — utwór będący ostrą demaskatorską krytyką osoby, grupy lub instytucji, zwykle złośliwy, często anonimowy. [przypis edytorski]

ganych zemstach. Stąd z pewnością gorzki skurcz ust, którego fala zdawała się zalewać policzki żółcią, kiedy baron był w gniewie.

— Myślałem niegdyś — podjął pan de Charlus — że pan, który znałeś Bergotte'a, bylbys mógł, zwracając mu uwagę na próby tego młodego człowieka, współpracować w pewnym sensie ze mną, pomóc mi rozwinąć podwójny talent, muzyka i pisarza, zdolny kiedyś urósć do miary jakiegoś Berlioza<sup>11</sup>. Pan wie, ci wielcy mają często co innego na głowie, łykają kadzidła, mało czym się interesują poza sobą. Ale Bergotte, który był naprawdę prosty i usłużny, przyrzekł mi umieścić w „Gaulois”, czy nie wiem już gdzie, te felietoniki półhumorysty, półmuzyka. To, co teraz pisze, jest równie niepospolite, i do prawdy bardzo rad jestem, że Charlie przydaje do swoich skrzypiec ten strzępek „pióra Ingres'a”. Sam wiem, że kiedy chodzi o niego, łatwo przesadzam, jak wszystkie stare mamy z konserwatorium. Jak to, mój chłopcze, nie wiedziałeś tego? To chyba mnie nie znasz z tej strony, od strony entuzjazmu. Wyczekuję godzinami u drzwi komisji egzaminacyjnej. Bawię się jak królowa. Co się tyczy prozy Charlie, Bergotte zapewniał mnie, że to jest naprawdę bardzo bardzo.

Pan de Charlus, który znał Bergotte'a od dawna przez Swanna, był w istocie u niego na kilka dni przed śmiercią pisarza z prośbą, aby wyrobił Morelowi rubrykę w dzienniku dla jego półhumorystycznych felietoników o muzyce. Idąc, miał pan de Charlus trochę wyrzutów sumienia, bo będąc wielkim wielbicielem Bergotte'a, uprzytomnił sobie, że nigdy nie był tam dla niego samego, ale po to, aby dzięki półintelektualnemu, półsocjalnemu uznaniu, jakiego zażywał w oczach pisarza, wyświadczyć jakąś grzeczność Morelowi lub innemu z przyjaciół. Nie raził pana de Charlus fakt, że się posługuje „światem” już tylko po to. Z Bergotte'em było mu to trochę przykre, bo czuł, że Bergotte nie jest utylitarystą jak ludzie światowi i wart jest czegoś więcej. Ale życie barona było bardzo wypełnione; jeżeli znajdował czas, to tylko wtedy, kiedy miał wielką ochotę na coś, na przykład kiedy się to odnosiło do Morela. Co więcej, sam bardzo inteligentny, obojętny był na rozmowę człowieka inteligentnego; zwłaszcza Bergotte był na jego gust zanadto literatem i był z innego klanu, nie wchodził w jego punkt widzenia. Co się tyczy Bergotte'a, zdawał on sobie sprawę z interesowności wizyt barona, ale nie miał o to pretensji; całe życie był niezdolny do konsekwentnej dobroci, ale lubił zrobić komuś przyjemność, umiał rozumieć, a nie szukał satysfakcji w tym, aby komuś dawać nauczkę. Nie podzielał w żadnej mierze przywary pana de Charlus, ale raczej stanowiła ona element koloru danej osobistości, *fas et nefas*<sup>12</sup> dla artysty, wspierające się nie na żywych przykładach, ale na wspomnieniach Platona lub Sodomy.

— Ale ciebie, piękny młodzieńcze, nieczęsto się widzi na Quai Conti. Nie nadużywasz gościnności tego domu.

Odpowiedziałem, że przeważnie dotrzymuję towarzystwa kuzynce.

— Patrzcie go! Towarzystwo kuzynki, jakie to niewinne! — rzekł pan de Charlus do Brichota. I zwracając się znów do mnie, dodał: — Ależ my nie żądamy rachunku z tego, co robisz, moje dziecko. Wolno ci robić to, co cię bawi. Żałujemy jedynie, że nie mamy w tym udziału. Zresztą ma pan wyborny gust, urocza jest pańska kuzynka, niech się pan spyta Brichota, zaproszył ją sobie głowę w Doville. Będzie nam jej brakowało dzisiaj. Ale możesz pan dobrze zrobić, żeś jej nie przyprowadził. To cudowna rzecz, ta muzyka Vinteuila. Ale dowiedziałem się, że ma tu być córka autora i jej przyjaciółka, osoby o straszliwej reputacji. To zawsze kłopotliwe dla młodej panienki. Będą tutaj, chyba że nie mogły przyjechać. Miały być już popołudniu na małej domowej próbie, którą pani Verdurin urządziła i na którą zaprosiła samych nudziarzy, rodzinę, ludzi, których nie chcieliśmy mieć wieczorem. Otóż dopiero co przed obiadem Charlie powiedział nam, że to, co nazywamy „obie panny Vinteuil”, oczekiwane niezawodnie, nie przybyły.

Mimo straszliwego bólu, jaki uczułem, zestawiając nagle ze skutkiem (wyłącznie znanym mi wprzód) odkrytą wreszcie przyczynę projektów Albertyny, mianowicie zapowiedzianą (ale nieznaną mi) obecność panny Vinteuil i jej przyjaciółki, zachowałem na tyle rozeznania, aby zanotować, że pan de Charlus, który oświadczył przed paru minuta-

<sup>11</sup> Berlioz, Hector (1803–1869) — francuski kompozytor i dyrygent, pisarz i krytyk muzyczny; twórca symfonii dramatycznej, wprowadził w muzyce symfonicznej motyw przewodni. [przypis edytorski]

<sup>12</sup> *fas et nefas* (łac.) — godziwie i niegodziwie. [przypis edytorski]

mi, że nie widział Morela od rana, zdradził się przez nieuwagę z tym, że go widział przed obiadem.

Cierpienie moje stało się widoczne.

— Ale co panu? — rzekł baron. — Zielony pan jest; no, wejdźmy, zaziębi się pan, fatalnie pan wygląda.

Uczuciem, jakie zrodziły we mnie słowa pana de Charlus, nie były wątpliwości co do cnoty Albertyny. Wiele innych podejrzeń wdarło się już we mnie; za każdym nowym wątpieniem wydaje się nam, że miara jest przebrana, że nie zdołamy go już wytrzymać; a potem i tak znajduje sobie miejsce i skoro raz dostanie się w nasze wnętrze, ściera się z tyloma pragnieniami ufności, z tyloma powodami do zapomnienia, że dość szybko przystosowujemy się do niego, przestajemy się nim w końcu zajmować. Zostaje w nas jedynie jako ból na wpół uleczony, groźba cierpienia, która niby podszewka pragnienia, z tej samej kategorii co ono i jak ono stawszy się centrum naszych myśli, sączy w nie na nieskończoną odległość subtelne smutki — smutki, podobnie jak żądza rozkoszy, nieodgadnionego pochodzenia — wszędzie gdzie może się coś skojarzyć z myślą o tej, którą kochamy. Ale ból budzi się, kiedy w nas wstąpi całkowicie nowe wątpienie; daremnie natychmiast prawie powiadamy sobie: „Jakoś się z tym uporam, znajdzie się jakiś sposób na to, aby nie cierpieć, to nie musi być prawda”; mimo to w pierwszym momencie cierpiało się tak, jak by się wierzyło. Gdybyśmy mieli tylko członki takie jak ręce i nogi, życie byłoby znośne; na nieszczęście nosimy w sobie ten drobny organ, który zwiemy sercem, podległy pewnym chorobom, w trakcie których jest on nieskończenie wrażliwy na wszystko, co dotyczy życia danej osoby. I kłamstwo — ta rzecz niewinna i w której żyjemy tak wesoło, czy uprawiamy je my, czy kto inny — kiedy pochodzi od tej osoby, przyprawia owo małe serce (powinno by się je móc usuwać chirurgicznie) o ból nie do zniesienia. Nie mówmy o mózgu, bo chociaż nasza myśl mędrkuje bez końca w czasie tych ataków, nie zmienia ich, tak samo jak nasza uwaga nie ma wpływu na ból zębów. Niewątpliwie osoba ta winna jest, że skłamała, przysięgała przecież, że zawsze będzie nam mówiła prawdę! Ale wiemy z własnego przykładu w stosunku do innych, co warte są przysięgi. I chcieliśmy im dawać wiarę, kiedy pochodziły od niej, mającej właśnie wszelki interes w tym, aby nam skłamać i nie wybranej zresztą przez nas dla swoich cnót. Prawda, że później — właśnie kiedy serce stanie się obojętne na kłamstwo — nie potrzebowałaby już prawie wcale kłamać, dlatego że już nie będziemy się interesowali jej życiem. Wiemy to, mimo to poświęcamy chętnie nasze życie, bądź zabijając się dla tej osoby, bądź idąc na śmierć za zabicie jej, bądź po prostu wydając dla niej w kilka wieczorów cały majątek, co nas zmusza później do samobójstwa, bo nie mamy już nic. Zresztą choćbyśmy się czuli najspokojniejsi, w czasie gdy kochamy, miłość znajduje się w sercu zawsze w stanie niestałej równowagi. Lada co wystarczy, aby ją przechylić w stronę szczęścia; promieniejemy, obsypujemy czułościami nie tę, którą kochamy, ale tych, co nas podnieśli w jej oczach, co ją ustrzegli od wszelkiej pokusy; i myślimy, że jesteśmy spokojni, a wystarczy jednego słowa: „Gilberta nie przyjdzie” albo „zapowiedziała się panna Vinteuil”, aby całe przygotowane szczęście, do którego wyciągaliśmy ręce, runęło w gruzy, aby się słońce schowało, aby się wiatr zmienił i aby się rozpełtała wewnętrzna burza, której pewnego dnia nie będziemy się już zdolni oprzeć. W tym dniu, w dniu, kiedy serce stało się tak kruche, przyjaciele darzący nas swoim podziwem cierpią nad tym, że takie nic, taka istota może nam zadać ból, może nas uśmiercić. Ale co poradzą na to? Kiedy poeta umiera na zapalenie płuc, czy możemy sobie wyobrazić przyjaciół tłumaczących pneumokokom, że poeta ma talent i że pneumokoki powinny by go oszczędzić?

Podejrzeń tyżące się panny Vinteuil nie było bezwzględnie nowe. Ale moja popołudniowa zazdrość o Leę i jej przyjaciółki stłumiła je poniekąd. Skoro tamto niebezpieczeństwo znikło, uczułem spokój, sądziłem, że go odzyskał na zawsze. Ale nowy był dla mnie zwłaszcza pewien spacer, o którym Anna powiedziała mi: „Byliśmy tam a tam, nie spotkałyśmy nikogo”, gdy przeciwnie, panna Vinteuil umówiła się na tym spacerze z Albertyną do pani Verdurin. Teraz pozwoliłbym chętnie Albertynie wychodzić samej, chodzić gdzie tylko chce, bylebym mógł gdzieś zamknąć pannę Vinteuil i jej przyjaciółkę i mieć pewność, że ich Albertyna nie spotka. Bo zazdrość jest przeważnie cząstkowa, o zmiennych lokalizacjach, bądź dlatego że jest bolesnym przedłużeniem niepokoju wywołanego to przez tę, to przez inną osobę, którą kochanka nasza mogłaby pokochać, bądź

wskutek ograniczenia naszej myśli, zdolnej pojąć jedynie to, co sobie wyobraża, resztę zaś zostawiającej w stanie mglistym, prawie bezbolesnym.

W chwili gdyśmy mieli zadzwonić do bramy, złapał nas Saniette, który oznajmił, że księżna Szerbatow umarła o szóstej, i dodał, że nas nie poznał od razu.

— Patrzyłem przecież na was od dłuższej chwili — rzekł zdyszany. — Nie jesteście ciekawe, żem się zawahał? — „Czy to nie ciekawe” wydałoby mu się błędem; upodobanie w staroświeckich zwrotach przechodziło u niego w manię. — A przecież panowie stanowią znajomość, do której można się przyznać. — Jego ziemista cera zdawała się oświetlona ołowianym blaskiem burzy. Zadyszka, która jeszcze tego lata zjawiała się jedynie wtedy, kiedy pan Verdurin „mył mu głowę”, była teraz stała. — Wiem, że wyborni artyści, osobliwie Morel, mają wykonać niewydane dzieło Vinteuila.

— Czemu osobliwie? — spytał baron, który dopatrywał się w tym przysłówku krytyki.

— Nasz przyjaciel Saniette — pośpieszył Brichot, obejmując rolę tłumacza — jako niepospolity erudyta<sup>13</sup> mówi chętnie językiem epoki, w której „osobliwie” znaczyło „zwłaszcza”.

Kiedyśmy wchodzili do przedpokoj, pan de Charlus zapytał mnie, czy pracuję. Kiedy odrzekłem, że nie, ale że bardzo się w tej chwili interesuję starym srebrem i porcelaną, powiedział, że nigdzie nie zobaczą piękniejszych rzeczy niż u Verdurinów; byłbym je zresztą mógł oglądać w La Raspelière, bo pod pozorem, że przedmioty są też przyjaciółmi, Verdurinowie robili to szaleństwo, że wszystko zabierali z sobą. Baron dodał, że trochę kłopotliwe jest wyciągać dla mnie wszystko w dniu proszonego wieczoru, ale postara się, aby mi pokazano, co zechcę. Poprosiłem, żeby tego nie robił. Pan de Charlus rozpiął palto, zdjął kapelusz; ujrzałem, iż głowa jego srebrzy się miejscami. Ale baron robił wrażenie cennego krzewu, przybierającego jesienne barwy, którego liście ochroniono, zawijając w watę lub umocowując gipsem; kilka siwych włosów na wierzchołku dopełniało jedynie pstrokacizny twarzy. A jednak nawet pod warstwami rozmaitych wyrazów, szminek i hipokryzji, które ją maskowały tak lichy, twarz pana de Charlus wciąż ukrywała niemal całemu światu sekret, który dla mnie wprost z niej krzyczał. Byłem niemal zażenowany jego oczami; bałem się, aby mnie nie schwycił na tym, że w nich czytam ten sekret jak w otwartej księżce; zażenowany jego głosem, który mi powtarzał ten sekret na wszystkie tony z niestrudzonym bezwstydem. Ale tajemnice takich ludzi są bezpieczne, bo wszyscy w ich pobliżu stają się głusi i ślepi. Osoby dowiadujące się prawdy pośrednio, przez Verdurinów na przykład, wierzyły w nią, ale tylko póty, póki nie znały pan de Charlus. Jego twarz nie tylko nie potwierdzała brzydkich pogłosek, ale rozpraszała je. Tworzymy sobie o pewnych abstrakcjach pojęcie tak wielkie, że nie umielibyśmy ich utożsamiać z poufalemi rysami znajomej osoby. I z trudnością uwierzmy w tego rodzaju przywary, jak nie uwierzmy nigdy w geniusz człowieka, z którym jeszcze wczoraj byliśmy w Operze.

Pan de Charlus oddawał do szatni palto ze swobodą stałego gościa. Ale lokaj przy szatni był nowy, bardzo młody. Otóż pan de Charlus tracił obecnie często to, co się nazywa „busołą”, i nie zdawał już sobie sprawy z tego, co przystoi, a co nie przystoi. Jego znana nam z Balbec chwalebna chęć pokazania, że go nie przerażają pewne tematy, że się nie boi rzec o kimś: „Ładny chłopiec”, słowem, powiedzieć to samo, co mógłby powiedzieć ktoś niebędący z „takich”, teraz przeciwnie, wyrażała się często mówieniem rzeczy, których nie mógłby powiedzieć ktoś niebędący z „takich”. Rzeczy te zaprzętały go tak ustawicznie, iż baron zapominał, że nie wszyscy wciąż o nich myślą. Toteż patrząc na nowego lokaja, podniósł palec i myśląc, iż robi wyborny żart, rzekł:

— Słuchaj, zabraniam ci robić do mnie oko w ten sposób. — Po czym, obracając się do Brichota, dodał: — Ma zabawną buziulkę ten mały, pocieszny ten nosek. I kontynuując swój żarcik lub odczuwając przyływ żądz, opuścił poziomo palec, zawahał się chwilę, po czym, nie mogąc się wstrzymać, wysunął nieodparcie palec prosto ku lokajowi i dotknął mu końca nosa, mówiąc: „Pif”.

„Ucieszna buda” — pomyślał lokaj, który pytał później kolegów, czy baron jest kawalarz czy bzik. „Takie już ma maniery — odparł *maitre d'hôtel*<sup>14</sup> (który miał barona trochę

<sup>13</sup>erudyta — człowiek mający rozległe, wszechstronne wykształcenie, wiedzę książkową. [przypis edytorski]

<sup>14</sup>*maitre d'hôtel* (fr.) — tu: kamerdyner, starszy lokaj nadzorujący służbę. [przypis edytorski]

za narwanego, trochę z „fiołem”) — ale to wielki przyjaciel państwa, godny człowiek, złote serce”.

— Czy pan będzie w tym roku w Incarville? — spytał mnie Brichot. — Zdaje się, że nasza pryncypałka wynajęła znów La Raspelière, mimo że miała kłopoty z właścicielami. Ale to nic, takie chmury łatwo się rozpraszają — dodał tym samym optymistycznym tonem, jakim dzienniki mówią: „Popelniono błędy, oczywiście, ale któż nie popełnia błędów?”. Ale ja pamiętałem, w jakim stanie opuściłem Balbec, i nie pragnąłem bynajmniej tam wrócić. Odkładałem z dnia na dzień projekty w związku z Albertyną.

— Ależ rozumie się, że przyjedzie, pragniemy tego, nieodzowny nam jest — oświadczył pan de Charlus z autorytatywnym i nic ni rozumiejącym egoizmem uprzejmości.

W tej chwili Verdurin wyszedł na nasze spotkanie. Verdurin, któremu złożyliśmy kondolencje z powodu księżnej Szerbatow, rzekł:

— Tak, wiem, że z nią niedobrze.

— Ależ nie, umarła o szóstej! — wykrzyknął Saniette.

— Pan zawsze przesadza — odparł brutalnie Verdurin, który wobec tego, że wieczoru nie odwołano, wołał przyjąć hipotezę choroby, bezwiednie naśladowując w tym księcia de Guermantes.

Saniette, nękania obawą przeziębienia, bo bramę ustawicznie otwierano, czekał z rezygnacją, aby wzięto jego rzeczy.

— Co pan tam tak waruje jak pies? — spytał go Verdurin.

— Czekam, żeby ktoś z tych, co czuwają koło rzeczy, wziął mój paltot<sup>15</sup> i dał mi numer.

— Co pan plecie? — spytał go surowo pan Verdurin. — „Co czuwają koło rzeczy”. Czy pan się robi ramol? Mówi się: „pilnują rzeczy”. Widzę, że pana trzeba uczyć po francusku jak kogoś, kto miał atak paraliżu.

— Czuwać koło czegoś to jest właściwa forma; książd Le Batteux<sup>16</sup>...

— Drażnisz mnie pan! — wykrzyknął Verdurin straszliwym głosem. — Jak pan sapie! Czyś się pan drapał na szóste piętro?

Brutalność Verdurina miała ten skutek, że lokaje z szatni przepuścili inne osoby przed Saniette’em, kiedy zaś ów chciał podać rzeczy, odpowiedziano mu:

— Po kolei, proszę pana, niech się pan tak nie spieszy.

— Oto mi porządek, tak się należy, brawo, dobrzy ludzie — rzekł z uśmiechem sympatii Verdurin, umacniając lokajów w intencji załatwienia Saniette’a dopiero po wszystkich. — Chodź pan — rzekł — to bydlę chce nas wszystkich uśmiercić w swoim ulubionym przeciagu. Pójdźmy się trochę ogrzać do salonu. „Czuwać koło rzeczy!” — wykrzyknął jeszcze, kiedyśmy się znaleźli w salonie. — Co za dureń!

— Robi się zmanierowany, ale to nie jest zły chłopak — rzekł Brichot.

— Ja nie mówiłem, że jest zły; mówiłem, że idiota — odparł cierpko Verdurin.

Tymczasem pani Verdurin odbywała wielką naradę z Cottardem i ze Skim. Morel odrzucił świeżo zaproszenie do domu, gdzie pani Verdurin przyrzekła jego udział, a odrzucił dlatego, że pan de Charlus nie mógł tam być. Racja odmowy Morela grania u przyjaciół pani Verdurin — racja, do której, jak ujrzymy za chwilę, przyłączą się inne, o wiele poważniejsze — mogła być w związku ze zwyczajem właściwym na ogół sferom próżniaczym, ale specjalnie tej „pacce”. Zdarzało się, że pani Verdurin podchwyciła między „nowym” a „wiernym” jakieś słówko powiedziane półgłosem, a mogące budzić przypuszczenie, że oni się znają albo mają chęć zbliżyć się z sobą („Zatem w piątek tam a tam” albo „Niech pan zajdzie kiedyś do mnie do pracowni, zawsze jestem do piątej, zrobi mi pan prawdziwą przyjemność”). Wówczas, wzburzona, podejrzewając w „nowym” świetną zdobycz dla małego klanu, „pryncypałka”, udając, że nic nie słyszała, i wciąż zachowując w pięknych oczach podkrążonych przez nałóg Debussy’ego<sup>17</sup> (nałóg groźniejszy od kokainy) wyraz znużenia, związany nierozdzielnie z upojeniami muzyki, toczyła mimo to,

<sup>15</sup>paltot (z fr., daw.) — palto, okrycie wierzchnie. [przypis edytorski]

<sup>16</sup>Batteux, Charles (1713–1780) — francuski filozof, znany zwłaszcza z pism z zakresu estetyki, członek Akademii Nauk; autor m.in. obszernego traktatu *Principes de la littérature* (Zasady literatury, 1774). [przypis edytorski]

<sup>17</sup>Debussy, Claude (1862–1918) — francuski kompozytor, przedstawiciel impresjonizmu muzycznego. [przypis edytorski]



pod swoim wspaniałym czołem, wysklepionym przez tyle kwartetów i związanych z nimi migren, myśli nie wyłącznie polifoniczne; wreszcie nie mogąc już wytrzymać, nie mogąc już czekać ani sekundy na ten „zastrzyk” moralny, rzuciła się na dwóch rozmawiających, odciągała ich na stronę i mówiła do „nowego”, wskazując „wiernego”: „Czy nie zechciałby pan przyjść na obiad z nim na przykład w sobotę albo kiedy pan zechce, w miłej kompanii! Nie mówcie o tym za głośno, bo nie chcę zapraszać całego zbiegowiska” (termin określający na te pięć minut „paczkę”, wzgardzoną chwilowo dla „nowego”, przedmiotu tyłu nadziei).

Ale ta potrzeba entuzjazmu, a także kojarzenia, miała swoją przeciwwagę. Kult „srody” rodził u Verdurinów przeciwną chętkę. Była nią żądza skłócenia, oddalenia. Umocniły ją, doprowadziły niemal do szału miesiące w La Raspelière, gdzie widywano się od rana do wieczora. Verdurin wysiłał się, aby kogoś złapać na jakimś przestępstwie, snuł przędzę, w którą mógłby napędzić swojej pajęczycy niewinną muszkę. W braku istotnych win czepiano się śmiesznościami. Z chwilą gdy „wierny” wyszedł na pół godziny, drwiono z niego wobec innych, dziwiono się, że nie zauważyli, jakie ma zawsze brudne zęby, lub przeciwnie, że je czyści maniacko dwadzieścia razy dziennie. Jeżeli ktoś się ośmielił otworzyć okno, ten brak wychowania powodował wymianę oburzonych spojrzeń „pryncypała” i „pryncypalki”. Po chwili pani Verdurin kazała sobie podać szal, co pozwalało panu Verdurin powiedzieć z wściekłą miną: „Ale nic, zamknę okno; ciekawym, kto sobie pozwolił otworzyć je” — w obecności winnego, który się rumienił po uszy. Wymawiano gościowi niemal ilość wypitego wina. „Czy to panu nie szkodzi? Pije pan jak robociarz”. Wspólne spacerowanie dwóch „wiernych”, którzy uprzednio nie opowiedzieli się „pryncypałce”, pociągały nieskończone komentarze, choćby spacer był najniewinniejszy. Spacerowanie pana de Charlus z Morelem były mniej niewinne. Jedynie fakt, że baron nie mieszkał w La Raspelière (z powodu służby wojskowej Morela), opóźnił moment przesytu, wstrętu, mdłości; ale moment ten miał niebawem nadejść.

Pani Verdurin była wściekła i gotowa „oświecić” Morela co do śmiesznej i wstrętnej roli, jaką mu narzucał pan de Charlus. Kiedy pani Verdurin czuła, że jest komuś winna uciążliwą dla niej wdzięczność, nie mogąc zamordować tego człowieka z obawy kryminału, odkrywała w nim poważną wadę, zwalniającą jej sumienie od wdzięczności. — „Doprawdy — mówiła — jego fasony u mnie wcale mi się nie podobają”. Bo w istocie pani Verdurin miała poważniejsze pretensje do pana de Charlus niż o ten opór Morela wobec zaproszenia przyjaciół. Przejęty zaszczytem, jaki wyświadczył „pryncypałce”, sprowadzając na Quai Conti osoby, które w istocie nie byłyby tam przyszły dla niej samej, baron założył przy pierwszych nazwiskach, które zaproponowała pani Verdurin, najformalniejszy protest. Stanowczy jego ton łączył drażliwość kostycznego magnata, despotyzm artysty i mistrza od takich fet, raczej skłonny cofnąć się i odmówić swego udziału niż zniżyć się do ustępstw niweczających jego zdaniem całość. Pan de Charlus zaaprobował, mimo iż nie bez zastrzeżeń, jedynie Saintine’a, z którym aby nie przyjmować jego żony, pani de Guermantes przeszła od codziennych stosunków do zupełnego zerwania, ale z którym pan de Charlus, ceniąc jego inteligencję, wciąż się stykał. Zapewne Saintine, niegdyś kwiat salonu Guermantów, postarał się szukać fortuny i (jak sądził) punktu oparcia w mieszczaństwie skrzyżowanym z drobną szlachcią, w sferze, gdzie wszyscy są tylko bardzo bogaci i spowinowaceni z arystokracją, ale taką, którą wielka arystokracja ignoruje. Ale pani Verdurin, znając arystokratyczne pretensje sfer pani Saintine, a nie zdając sobie sprawy z sytuacji męża (bo wrażenie wysokości daje nam to, co jest trochę powyżej nas, nie zaś to, co jest nam prawie niewidoczne, tak dalece gubi się w obłokach), sądziła, iż musi usprawiedliwić zaproszenie pana Saintine, podkreślając, że on „ma wiele stosunków jako mąż panny X”. Ciemnota, o jakiej świadczył ten pogląd, diametralnie sprzeczny z prawdą, sprawiła, że na pomalowanych wargach barona wykwitł uśmiech pobłażliwej wzgardy i szerokiej tolerancji. Nie raczył odpowiedzieć wprost, ale ponieważ chętnie budował w materii światowej teorii, w których wyrażała się jego bujna inteligencja oraz wyniosła duma, rzekł, potwierdzając tym dziedziczną blahość swoich zainteresowań:

— Saintine powinien był się mnie poradzić, zanim się ożenił; istnieje eugenika<sup>18</sup> socjalna, jak eugenika fizjologiczna, a ja jestem może jedynym jej doktorem. Wypadek Saintine'a nie podlegał dyskusji; jasne było, że żeniąc się w ten sposób, wiąże sobie kulę u nogi i chowa własne światło pod korcem. Jego kariera była skończona. Byłbym mu to wytłumaczył i zrozumiałby mnie, bo jest inteligentny. Na odwrót, istniała pewna osoba, posiadająca wszystko co trzeba, aby mieć sytuację wysoką, dominującą, uniwersalną, tylko straszliwy kabel wiązał ją do ziemi. Pomogłem jej wpół namową, wpół siłą zerwać linię i teraz osoba ta zdobyła triumfalną wolność, wszechpotęgę, którą zawdzięcza mnie; trzeba było może trochę wysiłku woli, ale jakaż nagroda! W ten sposób, ktoś kto mnie umie słuchać, sam jest kowalem swojego losu.

Było aż nadto oczywiste, że pan de Charlus nie umiał pokierować swoim; inna rzecz działać, a inna mówić, nawet wymownie, i myśleć, nawet inteligentnie.

— Co się mnie tyczy — ciągnął baron — żyję jak filozof obserwujący ciekawie reakcje społeczne, które przepowiedziałem; ale nie pomagam im. Toteż zachowałem stosunki z Saintinem, który zawsze miał dla mnie ów żarliwy szacunek, jaki mi się należy. Byłem nawet u niego na obiedzie na nowym mieszkaniu, gdzie pośród największego zbytku ludzie nudzą się tyle, ile bawili się dawniej, kiedy, trochę po cygańsku, zbierał w małej klitce najlepsze towarzystwo. Może go pani zaprosić, zgoda, ale zgłaszam *veto* wobec wszystkich innych nazwisk, które mi pani proponuje. I podziękuję mi pani za to, bo o ile jestem ekspertem od małżeństw, jestem również ekspertem od przyjęć. Znam osoby, które podciągają zebrania wzwyż, dają im rozmach, polot, i znam nazwiska, które strącają je na ziemię, na płask.

Ten ekskluzywizm pana de Charlus nie zawsze wspierał się na urazach człowieka pomylonego lub na wyrafinowaniach artysty; czasem płynął z ambicji aktora. Kiedy baron wygłosił o kimś lub o czymś tyradę szczególnie udaną, chciał ją zaprodukować możliwie największej ilości osób, bacząc przy tym, aby do nowej partii zaproszonych nie dopuścić gości z pierwszej partii, zdolnych stwierdzić, że brawurowy „kawalek” nie uległ zmianie. Zmieniał publiczność właśnie dlatego, że nie zmieniał programu; osiągnąwszy w rozmowie sukces, chętnie zorganizowałby tournée i występy na prowincji.

Jakie bądź były pobudki tych ostracyzmów, kaprysy barona nie tylko drażniły panią Verdurin, dotkniętą w powadze gospodyni, ale biorąc rzecz światowo, wyrządzały jej wielkie szkody; a to z dwóch przyczyn. Po pierwsze pan de Charlus, jeszcze drażliwszy od Jupiena, zrywał bez wiadomego powodu z osobami najbardziej stworzonymi na jego przyjać. Oczywiście jedną z pierwszych kar, jaką im wymierzał, było niezapraszanie ich na przyjęcia, które organizował u Verdurinów. Otóż wśród tych pariasów<sup>19</sup> byli często ludzie bardzo dobrze sytuowani, którzy dla pana de Charlus tracili ten przymiot z chwilą, gdy się z nimi poróżnił. Bo jego wyobraźnia, tak skora przypisywać ludziom winy po to, aby się z nimi poróżnić, celowała w odzieraniu ich z wszelkiego znaczenia, z chwilą gdy stracili jego przyjaźń. Jeżeli na przykład winny był człowiekiem z rodziny bardzo starej, ale z tytułem książęcym, datującym dopiero od XIX wieku (jak np. Montesquiou), z dnia na dzień liczyła się dla pana de Charlus jedynie dawność tytułu, rodzina była niczym.

— To nie są nawet książęta! — wykrzykiwał. — Po prostu tytuł księcia de Montesquiou przeszedł nieprawnie na jego krewniaka, niespełna osiemdziesiąt lat temu. Obecny „książe”, jeżeli można go tak nazywać, jest trzeci z kolei. Gadaj mi pan o takich ludziach jak Uzès, La Trémoille, jak Luynes, dziesiątych i czternastych diukach; jak mój brat, dwunasty diuk de Guermantes, a siedemnasty książe Kordowy! Montesquiou są ze starej rodziny, więc co? Czegóż by to dowodziło, nawet gdyby było dowiedzione? Tak starej, że aż zmurszałej.

<sup>18</sup>eugenika (z gr. *eugenēs*: dobrze urodzony) — system poglądów postulujący ulepszanie gatunku ludzkiego poprzez tworzenie warunków pozwalających na rozwój dodatnich cech dziedzicznych i ograniczenie cech ujemnych, w szczególności przez świadome macierzyństwo i odpowiednie dobieranie się przyszłych rodziców pod względem cech dziedzicznych tak, aby unikać sprowadzania na świat dzieci chorych i słabych. Pojęcie wykorzystywane w ideologii nazistowskiej, po drugiej wojnie światowej stało się niepopularne. [przypis edytorski]

<sup>19</sup>parias — członek najniższej kasty w Indiach; ogólnie: najbardziej pogardzany i krzywdzony członek społeczeństwa. [przypis edytorski]

Jeżeli przeciwnie, baron poróżnił się z arystokratą, diukiem z dziada pradziada, mającym wspaniałe parantele<sup>20</sup>, spokrewnionym z panującymi, ale z rodu, któremu ten blask przyszedł nader szybko i nie sięgał zbyt dawno, jak na przykład Luynes, wszystko było odwrotnie: sam ród się liczył.

— Pytam się was, powiedzcie, taki pan Alberti ledwie oskrobany z chamstwa za Ludwika XIII<sup>21</sup>! Cóż to ma za znaczenie, że łaska dworu pozwoliła im zgromadzić diukostwa, do których nie mieli żadnego prawa?

Co więcej, u pana de Charlus, upadek następował tuż po szczytach łaski, z racji owej natury Guermantów, skłonnej wymagać od rozmowy, od przyjaźni tego, czego one nie mogą dać — z dodatkiem znamiennej lęku przed obmową. A upadek był tym głębszy, im łaska była większa. Otóż nikt nie cieszył się u barona łaską równą tej, jaką ostentacyjnie okazywał hrabinie Molé. Przez jakież niedostatek gorliwości hrabina dowiodła pewnego dnia, że jest tej łaski niegodna? Nigdy nie mogła tego odgadnąć. Faktem jest, że samo jej nazwisko budziło furię barona, jego najwymowniejsze i najzjadliwsze filipiki<sup>22</sup>. Pani Verdurin, dla której pani Molé była bardzo uprzejma i która, jak to ujrzymy, podkładała w niej wielkie nadzieje, cieszyła się z góry myślą, że hrabina spotka u niej ludzi najlepiej urodzonych z całej — jak mówiła „pryncypalka” — „Francji i Nawarry<sup>23</sup>”; zaproponowała też natychmiast, żeby zaprosić „panią de Molé”.

— Och, mój Boże, rozumiem wszystkie gusty — odparł pan de Charlus — i jeżeli pani lubi pogwarzyć z panią Puszczalską, z panią Bajdalską albo z panią Prudhomme<sup>24</sup>, nie mam nic przeciwko temu; ale niech to się stanie w dniu, kiedy mnie nie będzie. Widzę od pierwszych słów, że nie mówimy wspólnym językiem, skoro ja pani wymieniam nazwiska arystokratyczne, a pani mi cytuje najobskurniejszych parweniuszów, hyków<sup>25</sup>, krętaczy i plotkarzy, damulki uważające się za protektorki sztuki, dlatego że małpują sposób bycia mojej bratowej Guermantes, na kształt sroki, która myśli, że udaje pawia. Dodam, że byłoby grubą nieprzyzwoitością na fetę, którą raczę urządzić u pani Verdurin, wprowadzać osobę nie bez powodu wykluczoną z mojego towarzystwa, gęś bez urodzenia, bez lojalności, bez inteligencji, na tyle niepoczytalną, aby sobie wyobrażać, że może grać diuszesy i princessy de Guermantes — połączenie, będące samo w sobie głupstwem, skoro księżna Maria i księżna Oriana stanowią właśnie dwa przeciwne bieguny. To tak jakby aktorka miała pretensję być równocześnie panną Reichenberg i Sarą Bernhardt. W każdym razie, nawet gdyby to nie było absolutnie sprzeczne, byłoby głęboko komiczne. To, że ja mogę, ja, uśmiechać się czasem z przesady jednej, a martwić się ograniczeniem drugiej, to moje prawo. Ale ta mieszczańska żaba nadymająca się, aby dorównać dwóm wielkim damom, które bądź jak bądź błyszczą zawsze nieporównaną dystynkcją rasy, to, jak to mówią, koń by się uśmieł. Imćpani Molé! Proszę już nie wspominać tego nazwiska, albo nie pozostaje mi już nic, jak tylko się usunąć — dodał z uśmiechem, tonem lekarza, który pragnąc dobra pacjenta wbrew jemu samemu, nie pozwoli sobie narzucić konsylium z homeopatą.

Z drugiej strony niektóre osoby, uznane za „nicość” przez pana de Charlus, mogły być w istocie nicością dla niego, ale nie dla pani Verdurin. Przy swoim urodzeniu pan de Charlus mógł się obejść bez ludzi najwytworniejszych, których obecność uczyniłaby salon pani Verdurin jednym z pierwszych w Paryżu. Otóż pani Verdurin zaczynała uważać, że już wiele razy chybiła sposobności, nie licząc olbrzymiego opóźnienia, o jakie ją

<sup>20</sup>parantela (z łac.) — powinowactwo, powiązania rodzinne, zwłaszcza ze znanym rodem; krewni należący do tego samego rodu. [przypis edytorski]

<sup>21</sup>Ludwik XIII (1601–1643) — król Francji (od 1610); do czasu jego pełnoletności realne rządy sprawowała jego matka, Maria Medycejska, potem kardynał Richelieu, który stał się twórcą systemu rządów absolutnych. [przypis edytorski]

<sup>22</sup>filipika — żarliwa mowa oskarżycielska; nazwa od mów Demostenesa (384–322 p.n.e.) skierowanych przeciw Filipowi Macedońskiemu. [przypis edytorski]

<sup>23</sup>Nawarra — kraina hist. w zach. części Pirenejów, na pograniczu Hiszpanii i Francji; od 824 stanowiła niezależne królestwo, od 1589 związana z Francją unią personalną, w 1620 została formalnie włączona do Francji; tytuł króla Nawarry zachował się w tytulaturze władców francuskich aż do obalenia monarchii. [przypis edytorski]

<sup>24</sup>pan i pani Prudhomme — karykaturalna para francuskich mieszczan, bohaterowie twórczości karykaturzysty i dramaturga Henry’ego Monnier’a (1799–1877). [przypis edytorski]

<sup>25</sup>hyk (daw., pogardl.) — mieszczanin. [przypis edytorski]

przyprawiła omyłka (ze światowego punktu widzenia) w sprawie Dreyfusa<sup>26</sup>, oddając jej co prawda zarazem przysługę. Nie wiem, czym<sup>27</sup> opowiedział, jak niemile widziała pani de Guermantes to, że osoby z jej świata, poddając wszystko kryteriom Sprawy, wykluczały kobiety eleganckie, a przyjmowały nieeleganckie, zależnie od ich stosunku do Dreyfusa; po czym ją samą znowuż krytykowały te same panie jako „letnią, źle myślącą” i poddającą światowym etykietkom interesy Ojczyzny; czy mógłbym spytać o to czytelnika, jak przyjaciela, kiedy po tylu kolejach rozmowy nie przypominamy już sobie, czyśmy pamiętali i czyśmy mieli sposobność zapoznania go z pewnymi sprawami. Czy to zrobiłem, czy nie, łatwo sobie wyobrazić zachowanie się pani de Guermantes w owej chwili; a nawet, jeśli się przeniesiemy w późniejszy okres, uznać je ze światowego punktu widzenia, za zupełnie słuszne. Pan de Cambremer uważał sprawę Dreyfusa za zagraniczną intrygę, mającą na celu zniszczenie Service des Renseignement<sup>28</sup>, złamanie dyscypliny, osłabienie armii, rozdwojenie Francuzów, przygotowanie najazdu. Ponieważ literatura była, poza paroma bajkami La Fontaine’a<sup>29</sup>, obca margrabiemu, zostawiał żonie trud stwierdzenia, że literatura wsparta na okrutnej obserwacji działała równie wywrotowo, stwarzając atmosferę nieuszanowania. „Panowie Reinach<sup>30</sup> i Hervieu<sup>31</sup> zwąchali się” — powiadała.

Nie będziemy pomawiali sprawę Dreyfusa o knucie równie czarnych planów w stosunku do „świata”. Ale to pewne, że skruszyła ona jego ramy. Światowcy, którzy nie chcą wpuścić polityki do „świata”, są równie przewidujący jak wojskowi, którzy nie chcą dopuścić polityki do armii. Ze „światem” jest tak jak z pociągiem pociowym, który mógłby dojść nie wiadomo do jakich perwersji, gdyby się raz dopuściło swobodę gustów. Faubourg Saint-Germain<sup>32</sup> przywykło widzieć u siebie damy z innej sfery, dlatego że były nacjonalistkami; powód znikł wraz z nacjonalizmem, przyzwyczajenie zostało. Dzięki dreyfusizmowi pani Verdurin ściągnęła do siebie wybitnych pisarzy, którzy na razie nie przedstawiali dla niej żadnej wartości światowej, bo byli dreyfusistami. Ale namiętności polityczne są jak inne, nie trwają. Przychodzą nowe pokolenia, które ich już nie rozumieją. Nawet to pokolenie, które im podlegało, zmienia się, odczuwa pasje polityczne, które nie będąc ściśle skopiowane z poprzednich, każą im rehabilitować część proskrybowanych<sup>33</sup>, skoro się przyczyny proskrypcji zmieniły. Podczas sprawy Dreyfusa monarchiści nie troszczyli się o to, czy ktoś jest republikanin, nawet radykał, nawet antyklerykał, byle był antysemitą i nacjonalistą. Gdyby kiedyś miała przyjść wojna, patriotyzm przybrałby inne formy i nie troszczono by się o to, czy pisarz-szowinista był niegdyś za Dreyfusem czy przeciw. W ten sposób przy każdym przełomie politycznym, przy każdej odnowie artystycznej pani Verdurin skubała pomalutku, jak ptak ścielący gniazdko, źdźbła — na razie niedające się zużyć — do tego, czym miał być kiedyś jej salon. Sprawa Dreyfusa minęła, został jej Anatol France<sup>34</sup>. Siłą pani Verdurin była szczerza miłość sztuki, trud, jaki sobie zadawała dla „wiernych”, wspaniałe obiady dawane dla nich samych, bez udziału światowców. Każdego z „wiernych” traktowano u niej tak, jak niegdyś był traktowany Bergotte u pani Swann. Kiedy gość tego typu stawał się kiedyś znakomitością, którą świat pragnie oglądać, obecność jego u pani Verdurin nie miała nic sztucznego, fałszowanego; nic

<sup>26</sup>Dreyfus, Alfred (1859–1935) — francuski oficer pochodzenia żydowskiego, w 1894 niesłusznie oskarżony o szpiegostwo na rzecz Niemiec, skazany na dożywotni pobyt w kolonii karnej, zrehabilitowany w 1906; jego sprawa podzieliła społeczeństwo francuskie, prowokując wielu intelektualistów do ostrych wypowiedzi. [przypis edytorski]

<sup>27</sup>czym opowiedział — konstrukcja z ruchomą końcówką czasownika; inaczej: czy opowiedziałem. [przypis edytorski]

<sup>28</sup>Service des Renseignement (fr.) — Służba Wywiadowcza. [przypis edytorski]

<sup>29</sup>La Fontaine, Jean de (1621–1695) — francuski poeta klasycystyczny, znany głównie jako autor bajek zwierzęcych. [przypis edytorski]

<sup>30</sup>Reinach, Joseph (1856–1921) — francuski polityk, dziennikarz i pisarz niemiecko-żydowskiego pochodzenia; prowadził kampanię prasową w obronie Alfreda Dreyfusa. [przypis edytorski]

<sup>31</sup>Hervieu, Paul (1857–1915) — francuski pisarz i dramaturg; jeden z intelektualistów najbardziej zaangażowanych w obronę Alfreda Dreyfusa. [przypis edytorski]

<sup>32</sup>Faubourg Saint-Germain (fr. dosł.: przedmieście Saint-Germain) — historyczna dzielnica Paryża, znana z licznych rezydencji arystokracji. [przypis edytorski]

<sup>33</sup>proskrypcja — ogłoszenie o wyjęciu spod prawa, konfiskacie majątku, ukaraniu śmiercią lub objęciu innymi represjami przeciwników politycznych. [przypis edytorski]

<sup>34</sup>France, Anatole, właśc. François-Anatole Thibault (1844–1924) — francuski poeta, pisarz i dziennikarz, laureat literackiej Nagrody Nobla (1921); w okresie sprawy Dreyfusa zaangażował się w jego obronę. [przypis edytorski]

z kuchni „Potel et Chabot” oficjalnego bankietu; to był niezrównany codzienny stół, równie wyborowy w dniu, gdy nie było gości. U pani Verdurin była doskonała i wyćwiczona trupa, pierwszorzędny repertuar — brakowało jedynie publiczności. I od czasu jak smak publiczności odwracał się od racjonalnej i francuskiej sztuki jakiegoś Bergotte’a i kochał się zwłaszcza w egzotycznej muzyce, pani Verdurin — rodzaj paryskiej ekspozytury wszystkich zagranicznych artystów — miała niebawem, obok uroczej księżnej Jurbeletiew, być starą, ale wszechpotężną wrózką Carabosse<sup>35</sup> rosyjskiego baletu. Ten czarujący najazd, którego urokiem bronili się jedynie krytycy pozbawieni smaku, wprawił Paryż, jak wiadomo, w gorączkę ciekawości mniej ostrą, czysto estetyczną, ale może równie żywą jak sprawa Dreyfusa. Tu znowu pani Verdurin miała być w pierwszym rzędzie, ale z całkiem innym światowym rezultatem. Tak jak ją widziano obok pani Zola tuż u stóp trybunału, na sesjach sądu przysięgłych, tak teraz, kiedy nowy świat oklaskujący rosyjski balet tłoczył się w Operze, strojny w egzotyczne egretki<sup>36</sup>, zawsze widziało się w najlepszej łoży panią Verdurin obok księżnej Jurbeletiew. I jak po wzruszeniach sali sądowej spieszyło się wieczorem do pani Verdurin, aby oglądać z bliska Picquarta<sup>37</sup> lub Laboriego<sup>38</sup>, a zwłaszcza aby usłyszeć ostatnie nowiny, wiedzieć, czego się można spodziewać po Zurlindenie, po Loubecie, po pułkowniku Jouaust<sup>39</sup>, po Regulaminie, tak samo, nie mając zbytniej ochoty do snu po entuzjazmie rozpetanym przez *Szeberazadę* lub tańce w *Księżu Igorze*<sup>40</sup>, szło się do pani Verdurin, gdzie pod egidą księżnej Jurbeletiew oraz „pryncypalki” wyśmienita kolacja gromadziła co wieczora tancerzy (dla większej sprężystości niejedzących obiadu), dyrektora, dekoratorów, wielkich muzyków Igora Strawińskiego<sup>41</sup> i Ryszarda Straussa<sup>42</sup>, niezmienną „paczkę”, z którą, jak niegdyś na kolacjach u państwa Helvetius, największe damy paryskie i zagraniczne księżniczki krwi raczyły się mieszać. Nawet ci światowcy, którzy obnosili się ze swoim „smakiem” i zapuszczali się w czcze subtelnosci na temat rosyjskich baletów, uważając, że *mise en scène*<sup>43</sup> *Sylfidy*<sup>44</sup> jest „cieńsza” od *Szeberazady* (tę skłonni byli wywodzić ze sztuki murzyńskiej), uszczęśliwieni byli, mogąc oglądać z bliska wielkich odnowicieli teatralnego smaku, którzy w sztuce sztuczniejszej może nieco od malarstwa spowodowali rewolucję równie głęboką jak impresjonizm.

Aby wrócić do pana de Charlus, pani Verdurin nie byłaby zbyt cierpiała, gdyby baron pomieścił na czarnej liście jedynie hrabinę Molé i panią Bontemps, którą pani Verdurin wyróżniła niegdyś u Odety dla jej miłości sztuki, a która w epoce Dreyfusa bywała u niej czasem na obiedzie z mężem. Pana Bontemps nazywała pani Verdurin letnim, bo nie dopuszczał rewizji procesu; ale jako człowiek bardzo inteligentny i rad mieć kontakty we wszystkich stronnictwach uszczęśliwiony był, że może okazać swoją niezależ-

<sup>35</sup>Carabosse — postać z rosyjskiego baletu *Śpiąca królowa* (1890) z muzyką Piotra Czajkowskiego: zła wróżka, która rzuca czar na królową. [przypis edytorski]

<sup>36</sup>egretka — ozdoba z piór lub z drogich kamieni na damskim kapeluszu. [przypis edytorski]

<sup>37</sup>Picquart, Georges (1854–1914) — francuski oficer i minister wojny; znany przede wszystkim ze związku z aferą Dreyfusa: w 1896, służąc w wywiadzie wojskowym, odkrył, że przypisywane Dreyfusowi pismo do ambasady niemieckiej, stanowiące koronny dowód w sprawie, zostało sporządzone przez współpracującego z Niemcami majora Ferdinanda Walsina Esterhazygo; został oskarżony o wymuszenie zeznań Esterhazygo, po niewinnieniu Dreyfusa w 1906 awansowany na stopień generała brygady; w latach 1906–1909 był ministrem wojny. [przypis edytorski]

<sup>38</sup>Labori, Fernand (1860–1917) — francuski adwokat; obrońca w głośnych procesach, m.in. Alfreda Dreyfusa. [przypis edytorski]

<sup>39</sup>Zurlinden, Loubet, Jouaust — osoby zaangażowane w ostateczne rozstrzygnięcie sprawy Dreyfusa; *Émile Zurlinden* (1837–1929): generał, minister wojny; *Émile Loubet* (1838–1929): przewodniczący senatu (od 1896), prezydent Francji (1899–1906); *Albert Jouaust* (1840–1927): oficer artylerii, przewodniczący drugiego sądu wojskowego w sprawie Dreyfusa. [przypis edytorski]

<sup>40</sup>*Szeberazada*, *Książę Igor* — *Szeberazada* (1910): balet rosyjski z muzyką Nikołaja Rimskiego-Korsakowa, wystawiony po raz pierwszy w Paryżu przez Balety Rosyjskie Diaghilewa; *Książę Igor* (Książę Igor, 1890): opera rosyjskiego kompozytora Aleksandra Borodina. [przypis edytorski]

<sup>41</sup>Strawiński, Igor Fiodorowicz (1882–1971) — rosyjski kompozytor, pianista i dyrygent; jeden z najwybitniejszych kompozytorów i symfoników XX w. [przypis edytorski]

<sup>42</sup>Strauss, Richard (1864–1949) — niemiecki kompozytor i dyrygent, jeden z czołowych kompozytorów późnego romantyzmu; tworzył początkowo głównie poematy symfoniczne, później opery, pisane pod wpływem Wagnerowskiej koncepcji dramatu muzycznego. [przypis edytorski]

<sup>43</sup>*mise en scène* (fr.) — inscenizacja. [przypis edytorski]

<sup>44</sup>*Sylfidy* — neoromantyczny balet do muzyki Fryderyka Chopina z choreografią Michaiła Fokina, wystawiony pierwotnie w 1907 w Petersburgu jako *Chopiniana*; tytuł *Sylfidy* został mu nadany przez Siergieja Diaghilewa, kiedy jego słynny zespół Baletów Rosyjskich wprowadził go do swojego repertuaru podczas występów w Paryżu w 1909. [przypis edytorski]

ność, jedząc obiad w towarzystwie Laboriego, któremu się przysłuchiwał, nie mówiąc nic kompromitującego, ale wsuwając w stosownym momencie pochwałę dla uznanej przez wszystkie partie lojalności Jauresa<sup>45</sup>. Ale baron wykluczył również parę dam z arystokracji, z którymi pani Verdurin zapoznała się świeżo z okazji festiwalów muzycznych, kwest, went<sup>46</sup>, i które, co bądź by o nich myślał pan de Charlus, byłyby o wiele bardziej od niego samego nieodzownymi elementami dla stworzenia u pani Verdurin nowego „ośrodka”, tym razem arystokratycznego.

Pani Verdurin właśnie liczyła na ten wieczór, na który pan de Charlus miał sprowadzić damy z tego samego świata; zamierzając doprosić do nich nowe znajome, cieszyła się z góry niespodzianką, jaką będzie dla nich zastać na Quai Conti swoje przyjaciółki lub krewne, zaproszone przez barona. Interdykt<sup>47</sup> pana de Charlus przyniósł jej zawód i wprawił ją we wściekłość. Zachodziło pytanie, czy w tych warunkach wieczór będzie dla jej salonu zyskiem czy stratą. Strata nie byłaby zbyt poważna, gdyby bodaj damy zaproszone przez pana de Charlus przyszły tak ciepło nastrojone dla pani Verdurin, że stałyby się przyszłymi filarami jej salonu. W takim razie nie byłoby zbyt dużego nieszczęścia; z czasem połączyłyby się te rozdzielone przez barona połówki wielkiego świata, choćby przyszło na ów wieczór wyrzec się jego samego. Pani Verdurin oczekiwała tedy zaproszonych przez barona dam z pewną emocją. Niebawem miała poznać usposobienie, w jakim przybywały i czego może się po nich spodziewać. W oczekiwaniu pani Verdurin naradzała się z „wiernymi”, ale widząc pana de Charlus wchodzącego z Brichotem i ze mną, urwała. Ku naszemu zdumieniu, kiedy Brichot wyraził żal, że, jak słyszał, z przyjaciółką jej jest tak źle, pani Verdurin odparła: „Drogi panie, muszę się przyznać, że mnie to niewiele wzrusza. Nie ma celu udawać tego, czego się nie czuje”. Z pewnością mówiła tak przez lenistwo, zawczasu zmęczona myślą, że musiałaby przybierać smutną twarz na cały wieczór; a także przez dumę, aby się nie zdawało, że szuka wymówek, iż nie odwołała przyjęcia; także przez obłudę i spryt, brak współczucia bowiem szlachetniejszy był, o ile płynął raczej ze specjalnej, nagle przejawiającej się antypatii do księżnej Szerbatow niż z zasadniczego braku serca; i dlatego że szczerść, której nie można podawać w wątpliwość, mimo woli działa rozbijająco. Gdyby pani Verdurin nie była naprawdę obojętna na śmierć księżnej, czyżby dla usprawiedliwienia swego rautu oskarżała się o winę znacznie cięższą? Zapominało się zresztą, że pani Verdurin równocześnie ze swoim zmartwieniem wyznałaby fakt, iż nie miała odwagi wyrzec się przyjemności; otóż oschłość serca była czymś bardziej rażącym, niemoralniejszym, ale mniej upokarzającym, tym samym łatwiejszym do wyznania niż namiętność uciech światowych. Tam gdzie winnemu zbrodni grozi niebezpieczeństwo, wyznania dyktuje interes; w błędach bez sankcji karnej — miłość własna. Pani Verdurin uważała z pewnością za bardzo zużyte aforyzmy ludzi, którzy nie chcąc dla zgrzytot wyrzekać się swoich przyjemności, uważają za zbyt cenne obnosić się z żalobą, „którą mają w sercu”. Wołała wzór inteligentnych przestępców, którzy brzydzą się kliszami zaklęć o niewinności i których obrona — bezwiedne półwyznanie — polega na powtarzaniu, że nie widzieliby nic złego w tym, co im się zarzuca, i czego, przypadkowo zresztą, nie mieli sposobności popełnić. Może przyjąwszy dla wytłumaczenia swojej postawy tezę obojętności, uważała — raz osunąwszy się po pochyłości swoich złych uczuć — że jest niejaka oryginalność w odczuwaniu ich, rzadka bystrość w ich rozpoznaniu, a pewien tupet w ich głoszeniu. W rezultacie pani Verdurin akcentowała swój brak zgrzyoty nie bez satysfakcji i dumy paradoksalnego psychologa i śmiałego dramaturga.

— Tak, to bardzo zabawne — rzekła — to mnie prawie nie obeszło. Mój Boże, nie mogę powiedzieć, że nie wolałabym, aby żyła, to nie była zła osoba.

— Owszem — przerwał Verdurin.

— A! Mąż jej nie lubi, bo uważał, że jej towarzystwo przynosiło mi szkodę, ale on jest zaślepiony na tym punkcie.

— Przyznaj — rzekł Verdurin — że ja nigdy nie pochylałem tego stosunku. Zawsze mówiłem, że ona ma złą opinię.

<sup>45</sup> *Jaurès, Jean* (1859–1914) — francuski przywódca socjalistyczny; udzielał się jako obrońca Dreyfusa; w 1904 założył socjalistyczną gazetę „L’Humanité”; zamordowany przez francuskiego nacjonalistę. [przypis edytorski]

<sup>46</sup> *wenta* (daw.) — kiermasz, z którego dochody przeznaczone są na cele dobroczynne. [przypis edytorski]

<sup>47</sup> *interdykt* — wydany przez władze kościelne zakaz odprawiania obrzędów religijnych na danym terenie, przez grupę ludzi lub konkretną osobę. [przypis edytorski]

— Nigdy nie słyszałem — zaprotestował Saniette.

— Ależ jak to! — wykrzyknęła pani Verdurin. — To było powszechnie znane; nie złą, ale haniebną, hańbiącą. Nie, ale to nie dlatego. Nie umiałam sobie wytłumaczyć swojego uczucia; nie nie cierpiałam jej, ale była mi tak obojętna, iż kiedyśmy się dowiedzieli, że jest bardzo chora, sam mąż był zdziwiony i rzekł: „Powiedziałby kto, że cię to nic nie obchodzi”. Wiecie, dziś wieczór jeszcze proponował mi odwołanie rautu, a ja właśnie chciałam, aby się odbył, bo uważałabym to za komedię okazywać zmartwienie, którego nie odczuwam.

Mówiła tak, bo sądziła, że to jest w stylu *théâtre libre*<sup>48</sup>, a także bo to było bardzo wygodnie; głośno wyznawana nieczułość lub niemoralność upraszcza życie w tym samym stopniu co moralność ułatwiona; czyni obowiązek szczerości z aktów nagannych, których wówczas nie potrzeba już usprawiedliwiać. I „wierni” słuchali pani Verdurin z połączonym uczuciem podziwu i niesmaku, jakie budziły niegdyś pewne sztuki okrutnie i przenikliwe realistyczne; i zachwycając się, że droga „pryncypałka” dała nową postać swojej rzetelności i niezależności, niejedni — powiadając sobie, że ostatecznie to nie byłoby to samo — myślał o własnej śmierci i zadawał sobie pytanie, czy w dniu tej śmierci płakano by na Quai Conti, czy też wyprawionoby zabawę.

— Bardzom rad z powodu moich gości, że wieczoru nie odwołano — rzekł pan de Charlus, który nie zdawał sobie sprawy, że wyrażając się w ten sposób, drażni panią Verdurin. Mnie natomiast, jak każdego, kto się zbliżył tego wieczora do pani Verdurin, uderzyła niezbyt przyjemna woń rhinogomenolu<sup>49</sup>. Oto skąd pochodził ten zapach. Wdzieliśmy, że pani Verdurin wyrażała zawsze swoje artystyczne wzruszenia nie w sposób duchowy, ale w sposób fizyczny, iżby się wydawały przez to bardziej nieodparte i głębsze. Otóż kiedy jej mówiono o muzyce Vinteuila — jej ulubionej — pozostawała obojętna, tak jakby nie odczuwała żadnego wzruszenia. Ale po kilku minutach nieruchomego, niemal roztargnionego spojrzenia odpowiadała tonem ścisłym, rzeczowym, prawie niegrzecznym, tak jakby komuś mówiła: „To by mi było obojętne, że pan pali, ale chodzi mi o dywan; jest bardzo ładny (co by mi również było obojętne), ale jest łatwo palny, bardzo się boję ognia i nie chciałabym wszystkich gości usmażyć z powodu niedopałka, który by pan upuścił na ziemię”. Tym więc tonem odpowiadała: — „Nie mam nic przeciwko Vinteuilowi; moim zdaniem to jest największy muzyk naszej epoki; tylko że ja nie mogę słuchać tych rzeczy, żeby cały czas nie płakać — słowo „płakać” bez żadnego patosu; owszem, tak naturalnie, jakby powiedziała „spać”; złe języki twierdziły nawet, że ten ostatni czasownik byłby prawdziwszy, czego nikt nie mógł zresztą rozstrzygnąć, bo pani Verdurin słuchała tej muzyki z głową w dłoniach i pewne odgłosy zbliżone do chrapania mogły ostatecznie być łkaniem. — Placz nie sprawia mi przykrości, owszem, mogę płakać, ile kto zechce, tylko że z tego łapię wściekły katar. To wywołuje przekrwienie błony śluzowej; w dwie doby po tym wyglądam na starą pijaczkę i trzeba mi całych dni inhalacji, aby moje struny głosowe zaczęły funkcjonować. Pewien uczeń Cottarda, uroczy człowiek, leczył mnie na to. On głosi aksjomat wcale oryginalny: »Lepiej zapobiegać niż leczyć«. I aplikuje mi do nosa maść, zanim się zacznie muzyka. To jest radykalne. Mogę płakać jak cały tuzin matek, które straciły dzieci, ani cienia kataru. Czasem trochę zapalenia spojówek, ale to wszystko. Skuteczność absolutna. Bez tego nie mogłabym nadal słuchać Vinteuila. Nie wychodziłam z bronchitu”.

Nie mogłem się wstrzymać, aby nie wspomnieć o panie Vinteuil.

— Czy nie ma tu córki autora — spytałem pani Verdurin — i jej przyjaciółki?

— Nie, właśnie dostałam depeszę — rzekła wymijająco pani Verdurin. — Musiały zostać na wsi.

Miałem przez chwilę nadzieję, że nigdy nie było o tym mowy, aby opuściły wieś, i że pani Verdurin zapowiedziała przedstawicielki autora jedynie po to, aby korzystnie nastroić wykonawców i publiczność.

— Jak to, więc nie było ich nawet po południu na próbie? — rzekł z fałszywą ciekawością baron, który chciał udać, że nie widział swego Charlie.

<sup>48</sup>*théâtre libre* (fr.) — teatr wywołony; także nazwa własna paryskiego teatru działającego w latach 1887–1896, który jako pierwszy realizował program skrajnego naturalizmu. [przypis edytorski]

<sup>49</sup>*rhinogomenol* — maść zmniejszająca przekrwienie i antyseptyczna. [przypis edytorski]

Morel podszedł się ze mną przywitać. Spytałem go po cichu o pannę Vinteuil; nie wydawał się zbyt poinformowany. Trąciłem go, żeby nie mówił głośno, dając do zrozumienia, że jeszcze pogadamy o tym. Skłonił się, oświadczając, że pozostaje z radością do mojej dyspozycji. Zauważyłem, że jest o wiele grzeczniejszy, o wiele bardziej z szacunkiem niż dawniej: on mógłby może pomóc mi rozproszyć moje podejrzenia. Powinnowałem Morela panu de Charlus. Odparł:

— Robi tylko to, co powinien; nie warto by mu było żyć wśród ludzi dobrze wychowanych, gdyby miał mieć złe maniery.

Dobre maniery, wedle pana de Charlus, to były stare formy francuskie, bez cienia angielskiej sztywności. Toteż kiedy Charlie, wracając z tournée po prowincji lub za granicą, zjawiał się u barona w podróżnym stroju, ten, o ile nie było przy tym zbyt wiele ludzi, całował go bez ceremonii w oba policzki, po trochu może aby przez taką ostentację odjąć czułości wszelki pozór występku; może aby sobie nie odmawiać przyjemności, ale bardziej jeszcze z pewnością dla „stylu”, ku chwale dawnych form francuskich i tak jakby protestował przeciw monachijskiej „secesji” albo *modern style*<sup>50</sup>, zachowując stare fotele po prababce, przeciwstawiając brytyjskiej flegmie tkliwość osiemnastowiecznego ojca nieukrywającego radości na widok syna. Czy był wreszcie jakiś cień kazirodztwa w tej ojcowskiej czułości? Prawdopodobniejsze jest, że sposób, w który pan de Charlus zadawał najczęściej swoje zboczenie i co do którego znajdziemy później parę wyjaśnień, nie wystarczał jego potrzebom uczuciowym, osieroconym od śmierci żony; faktem jest, że powziąwszy kilka razy zamiar powtórnego małżeństwa, obecnie czuł maniacką chęć adoptowania kogoś. Mówiono, że chce adoptować Morela, i nie byłoby w tym nic niezwykłego. Zboczeniec, który mógł karmić swoją namiętność jedynie literaturą ludzi normalnych, który myślał o mężczyznach czytając *Noce Musseta*<sup>51</sup>, czuje tak samo potrzebę wejścia we wszystkie socjalne funkcje niezбочzonego mężczyzny, czuje potrzebę utrzymywania kochanka, jak stary bywalec opery utrzymuje tancerki; potrzebę ustatkowania się, ożenienia się lub trwałego stosunku, ojcostwa.

Pan de Charlus oddał się z Morelem pod pozorem, że skrzypek miał mu objaśnić utwory składające program. Baron znajdował osobliwą słodycz w tym, aby — podczas gdy mu Charlie pokazywał nuty — popisywać się publicznie ich sekretną zażyłością. Przez ten czas ja byłem oczarowany. Bo mimo iż „paczka” mało liczyła młodych panien, zapraszano ich w zamian sporo w dni wielkich przyjęć. Było kilka bardzo ładnych, które znałem. Słały mi z daleka przyjazne uśmiechy. W ten sposób salon stroił się raz po raz pięknym uśmiechem młodego dziewczęcia: to jest mnoga i migotliwa ozdoba wieczorów — jak i dni. Przypominamy sobie jakąś atmosferę dlatego, że drgał w niej uśmiech młodej dziewczyny.

Czytelnik zdziwiłby się mocno, gdyby się zanotowało zdania, jakie pan de Charlus wymienił ukradkiem z kilkoma poważnymi uczestnikami zebrania. Byli to dwaj książęta, wybitny generał, wielki pisarz, wielki lekarz, wielki adwokat. Otóż rozmowa ich brzmiała tak:

— *À propos*, czyś widział nowego lokaja, mówię o tym młodym, co jeździ na koźle? A u naszej kuzynki Guermites czy nic nie znasz?

— W tej chwili nic.

— Powiedz no, koło bramy, przy powozach, była młoda osoba blond, w krótkich spodenkach, która mi się wydała całkiem sympatyczna. Zawołała mi bardzo grzecznie powóz, byłbym chętnie przedłużył rozmowę.

— Tak, ale mnie się ta osoba wydaje absolutnie wroga, a przy tym robi ceregiele; ty, co lubisz doprowadzać rzeczy do skutku od pierwszego razu, zbrzydźlibyś to sobie. Zresztą wiem, że tam się nic nie da zrobić, jeden z naszych przyjaciół próbował.

— To szkoda, profil bardzo subtelny i włosy wspaniałe.

— Doprawdy, aż tak? Sądzę, że gdybyś się przyjrzał bliżej, rozczarowałbyś się. Nie, raczej przy bufecie, nie dalej niż dwa miesiące temu, ujrzałbyś istne чудо: dryblas dwa metry wzrostu, skóra idealna i przy tym lubił te rzeczy. Ale wyjechał do Polski.

<sup>50</sup>*modern style* (ang.) — nowoczesny styl. [przypis edytorski]

<sup>51</sup>*Musset, Alfred de* (1810–1857) — francuski poeta i pisarz, wybitny przedstawiciel romantyzmu, członek Akademii Francuskiej; autor m.in. zbioru poezji *Les Nuits* (Noce, 1835–1837), napisanego po zerwaniu związku uczuciowego z George Sand. [przypis edytorski]



— A, to trochę daleko.

— Kto wie, wróci może. Zawsze się można spotkać w życiu.

Każda światowa feta, o ile wziąć jej przekrój dostatecznie głęboko, podobna jest do owych zabaw, na które lekarze zapraszają pacjentów; tacy chorzy mówią rzeczy bardzo rozsądne, mają wzorowe maniery i niczym nie zdradziliby, że są wariaci, gdyby któryś nie szepnął wam do ucha, pokazując starszego pana: „O, idzie Joanna d’Arc”.

— Uważam, że byłoby naszym obowiązkiem oświecić Morela — rzekła pani Verdurin do Brichota. — Nie abym chciała robić coś przeciwko Charlusowi, przeciwnie. Jest bardzo miły, a co się tyczy jego reputacji, przyzna pan, że nie jest z rodzaju, który by mi mógł zaszkodzić! Powiem nawet, że ja, która w naszej „paczce”, na obiadach, gdzie się rozmawia, nie cierpię flirtów, mężczyzn prawiających w kącie bzdury kobiecie zamiast poruszać zajmujące tematy, z Charlusem nie potrzebowałam się obawiać tego, co mi się zdarzyło ze Swannem, z Elstirem, z tyloma innymi. Z nim byłam spokojna, przychodził na obiady i gdyby nawet spotkał u mnie wszystkie kobiety świata, miałam pewność, że nie zakłóci ogólnej rozmowy przez flirty i szept. Charlus to coś ekstra, można być spokojnym, coś jak ksiądz. Tylko niech się nie waży przewodzić nad młodymi ludźmi, którzy przychodzą tutaj i wnoszą zamęt w naszą „paczkę”; wówczas to byłoby jeszcze gorzej niż z kobieciarzem.

I pani Verdurin była szczerą, głosząc swoją pobłażliwość dla „charlizmu”. Podobnie jak wszelka władza duchowna, uważała ludzkie słabostki za mniej groźne niż to, co by mogło osłabić pierwiastek autorytetu, szkodzić ortodoksji, zmieniać starożytnie *credo*<sup>52</sup> w jej małym kościele.

— Wówczas pokazuję zęby — ciągnęła. — Dobry jest taki pan, który chciał nie pozwolić, aby Charlie grał w jakimś salonie, dlatego że jego tam nie zaproszono! Toteż udzieli mu się poważnego ostrzeżenia; mam nadzieję, że to wystarczy; inaczej może się stąd zabierać. Daję słowo, on go trzyma pod kuratelą!

I używając ściśle tych samych wyrażań, jakich użyliby wszyscy (bo istnieją takie specjalne zwroty, które jakiś specjalny przedmiot, okoliczność nieodzownie prawie przywodzą na pamięć mówcy przeświadczonego, że wyraża swobodnie swoją myśl, gdy powtarza jedynie machinalnie powszechną wersję), pani Verdurin dodała:

— Niepodobna widzieć już Morela, żeby nie włócił za sobą tego lejbgwardzisty<sup>53</sup>!

Pan Verdurin poddał myśl, żeby odciągnąć na chwilę Morela dla pomówienia z nim pod pozorem jakiegoś zapytania. Pani Verdurin bała się, że go to zdenerwuje i że będzie gorzej grał. Lepiej dopełnić tej egzekucji dopiero po jego numerze. A może nawet odłożyć na inny raz. Bo mimo iż pani Verdurin aż drżała do rozkosznej emocji, jakiej doznałaby, wiedząc, że mąż właśnie uświadamia Morela w sąsiednim pokoju, bała się, w razie gdyby się zamach nie udał, że się skrzypek pogniewa i skrewi jej szesnastego.

Ale pana Charlus zgubiło owego wieczora tak częste w wielkim świecie złe wychowanie osób, które zaprosił i które zaczynały napływać. Przyszedłszy przez przyjaźń dla pana de Charlus, a także przez ciekawość tego środowiska, każda diuszesa szła prosto do barona, tak jakby to on był gospodarzem, i mówiła o krok od Verdurinów, którzy słyszeli wszystko:

— Niech mi pan pokaże, gdzie jest stara Verdurin; czy pan sądzi, że koniecznie trzeba się jej przedstawić? Mam bodaj nadzieję, że mnie nie wpakuje do jutrzejszych dzienników, dostałabym pucówkę od całej rodziny. Jak to! Jak to, to ta siwa? Ależ ona nie wygląda zanadto skandalicznie.

Słyszając, że się rozmawia o pannie Vinteuil, nieobecnej zresztą, któraś dama mówiła:

— A, to córka *Sonaty*? Niech mi pan ją pokaże.

Poza tym, odnajdując wiele przyjaciółek, panie te trzymały się osobno, śledziły wejście „wiernych” oczami iskrzącymi się ironiczną ciekawością; umiały co najwyżej pokazywać sobie palcem ekscentryczną nieco fryzurę jakiejś osoby, która w kilka lat później miała wprowadzić w modę tę fryzurę w największym świecie; i w sumie żalowały, że ten

<sup>52</sup>*credo* (łac.) — dosł. wierzę; przen. wyznanie wiary, poglądy i zasady, którymi ktoś kieruje się w życiu. [przypis edytorski]

<sup>53</sup>*lejbgwardzista* — członek straży przybocznej monarchii. [przypis edytorski]

salon nie jest tak różny od znajomych salonów, jak się tego spodziewały, doznając rozczarowania ludzi światowych, którzy zapuściwszy się do kabaretu Bruanta<sup>54</sup> w nadziei, że będą „opyskowani” przez piosenkarza, wchodząc, spotkałoby się z poprawnym ukłonem w miejsce oczekiwanego refrenu: „Idą mordy, idą mordy — idą mordy, raz, dwa, trzy”.

Swojego czasu w Balbec pan de Charlus dowcipnie krytykował przy mnie panią de Vaugoubert, która mimo wielkiej inteligencji spowodowała po nieoczekiwanym sukcesie katastrofalny upadek męża. Kiedy panujący, przy których pan de Vaugoubert był akredytowany, król Teodozjusz i królowa Eudoksja, przybyli znów do Paryża, tym razem na dłuższy pobyt, dawano na ich cześć codzienne fety, w czasie których królowa, zaprzyjaźniona z panią de Vaugoubert, którą widywała od dziesięciu lat w swojej stolicy, i nie znając ani żony prezydenta Republiki, ani żon ministrów, odsunęła się od nich, aby się trzymać na uboczu z ambasadorową. Ta, uważając swoją pozycję za niewzruszalną — jako że pan de Vaugoubert był twórcą sojuszu między królem Teodozjuszem a Francją — czerpała we względach królowej zadowolenie próżności, bez poczucia niebezpieczeństwa, które jej groziło i które zrealizowało się w kilka miesięcy później w wypadku niesłusznie uważanym za niemożliwy przez tę zbyt ufną parę i w dymisji brutalnie udzielonej panu de Vaugoubert. Pan de Charlus, komentując swego czasu w „samowarku” w Balbec upadek swego przyjaciela z lat dziecińczych, dziwił się, że kobieta tak inteligentna nie użyła w danej okoliczności całego swego wpływu na monarszą parę w tym sensie, aby królestwo pomogli jej ukryć, że ma jakikolwiek wpływ. Powinna się była postarać, aby panujący przenieśli na żonę prezydenta Republiki i na żony ministrów swoją uprzejmość, która byłaby tym dostojnikom pochlebila tym bardziej — to znaczy, za którą byłiby tym bardziej wdzięczni Vaugoubertom, im bardziej by wierzyli, że ta uprzejmość jest samorzutna, a nie podyktowana przez ambasadora i jego żonę. Ale ktoś, kto widzi błędy innych, często popada w nie sam, gdy go upoją okoliczności. I gdy goście tłoczyli się, aby winszować, dziękować baronowi, tak jakby on był gospodarzem domu, jemu nie powstało w myśli prosić ich, żeby powiedzieli parę miłych słów pani Verdurin. Jedynie królowa Neapolu<sup>55</sup>, w której żyłach płynęła ta sama szlachetna krew co w żyłach jej siostr, cesarzowej Elżbiety i księżnej d’Alençon<sup>56</sup>, wdała się w rozmowę z panią Verdurin, tak jakby przyszła bardziej dla przyjemności ujżenia jej niż dla muzyki i niż dla pana de Charlus; powiedziała „pryncypały” tysiąc komplementów, podkreśliła dawną już chęć poznania jej, winszowała jej domu, mówiła o najrozmaitszych przedmiotach, tak jakby była u niej z wizytą. Tak byłaby chciała, powiadała, przyprowadzić swoją siostrzenicę Elżbietę<sup>57</sup> (tę, co niebawem miała wyjść za Alberta belgijskiego). Tak będzie żałowała! Królowa umilkła, widząc, że muzycy zasiedli na estradzie; kazała sobie pokazać Morela. Nie musiała mieć zbyt wielu złudzeń co do pobudek pana de Charlus w tym, aby otoczyć młodego wirtuoza taką chwałą. Ale stara mądrość panującej, w której żyłach płynęła najszlachetniejsza krew historii, najbogatsza w doświadczenie, sceptycyzm i dumę, w nieuniknionych skazach ludzi, których najbardziej lubiła, jak swego kuzyna Charlus (syna księżniczki bawarskiej, jak ona była córką domu bawarskiego) kazała jej widzieć nieszczęścia czyniące tym cenniejszym oparcie, jakie tacy ludzie mogli w niej znaleźć, i podnoszące tym samym przyjemność użyczenia go. Wiedziała, że Charlus byłby podwójnie wzruszony tym, że ona się trudziła w takiej okazji. Tylko że ta heroiczna kobieta, równie dobra jak się niegdyś okazała dzielną, prawdziwą królową-żołnierz, która sama dała ognia z wałów Gaety<sup>58</sup>, zawsze gotowa stawać rycersko

<sup>54</sup>*Bruant, Aristide* (1851–1925) — francuski piosenkarz, twórca kabaretowy, komediant i właściciel klubu nocnego. [przypis edytorski]

<sup>55</sup>*królowa Neapolu* — Maria Zofia Bawarska (1841–1925), bawarska księżniczka, żona Franciszka II, ostatniego króla (od 1859) Królestwa Obojga Sycylii, włączonego w 1861 do Królestwa Włoch. [przypis edytorski]

<sup>56</sup>*cesarzowa Elżbieta i księżna d’Alençon* — córki księcia Maksymiliana Bawarskiego, siostry Marii Zofii Bawarskiej: *Elżbieta Bawarska* (1837–1898): cesarzowa Austrii i królowa Węgier od 1854 jako żona cesarza Franciszka Józefa I, znana również jako Sissi; *Zofia Charlotta Wittelsbach* (1847–1897): żona Ferdynanda Orleańskiego, księcia Alençon. [przypis edytorski]

<sup>57</sup>*swoją siostrzenicę Elżbietę* — Elżbietę Gabrielę Bawarską (1876–1965), księżniczkę bawarską, od 1900 żonę Alberta, następcy tronu Belgii, który w 1909 został królem Belgów. [przypis edytorski]

<sup>58</sup>*Gaeta* — niewielkie portowe miasto we Włoszech; w XIX w. było silnie umocnioną twierdzą, ostatnią placówką Franciszka II, władcy Królestwa Obojga Sycylii, broniącą się przeciwko wojskom Królestwa Piemontu i Sardynii walczącym o zjednoczenie Włoch. Oblężenie (XI 1860 – II 1861) zakończyło się kapitulacją twierdzy, przy czym Franciszkowi II i jego żonie, Marii Zofii Bawarskiej, pozwolono udać się na wygnanie do Rzymu, gdzie zostali gośćmi papieża. [przypis edytorski]

po stronie słabych, widząc panią Verdurin samą i opuszczoną (nieświadomą zresztą, że nie powinna opuszczać królowej), starała się udawać, że dla niej, królowej Neapolu, pani Verdurin jest właśnie centrum tego wieczora, atrakcją, która ją sprowadziła. Wytłumaczyła się, że nie może zostać do końca, mając — mimo że nie bywała prawie nigdzie — inny wieczór; prosiła zwłaszcza, aby nikt się dla niej nie trudził, kiedy będzie odchodziła, zwalniając panią domu z powinności, których ta zresztą nie znała.

Trzeba oddać tę sprawiedliwość panu de Charlus, że o ile zapomniał zupełnie o pani Verdurin i pozwalał o niej wręcz skandalicznie zapomnieć zaproszonym przez siebie osobom „ze swojego świata”, zrozumiał w zamian, że nie godzi się traktować produkcji muzycznej z tym samym złym wychowaniem, jakie okazali wobec gospodyni domu. Morel już wstąpił na estradę, artyści zajmowali miejsca, kiedy jeszcze słyszano się rozmowy, nawet śmiechy, powiedzenia w rodzaju: „Zdaje się, że trzeba być wtajemniczonym, aby coś zrozumieć”. Natychmiast pan de Charlus, prostując się, jak gdyby wszedłszy w inne ciało niż to, które widziałem przed chwilą wlokące się opieszale do pani Verdurin, przybrał wyraz proroka. Spojrzał po zgromadzeniu z powagą, która mówiła, że to nie pora na śmiechy: od tego spojrzenia poczerwieniała nagle twarz niejednej z zaproszonych dam, złapanej na gorącym uczynku niby uczennica w klasie. Dla mnie ta szlachetna zresztą postawa pana de Charlus miała coś komicznego; piorunował swoich gości płomiennym spojrzeniem; to znów, aby im, niby *vademecum*<sup>59</sup>, przypomnieć nabożną ciszę, jaką należało zachować, oderwanie od wszelkiej światowej myśli, sam, podnosząc do pięknego czoła ręce w białych rękawiczkach, stawał się wzorem (do którego należało się zastosować) powagi, niemal ekstazy. Nie odpowiadał na ukłony spóźnionych gości, na tyle nieprzyzwoitych, aby nie zrozumieć, że obecna godzina należy do Wielkiej Sztuki. Wszyscy byli zahipnotyzowani; nikt nie śmiał już wyrzec słowa, poruszyć krzesłem; cześć dla muzyki, poprzez prestiż Palamedy udzieliła się nagle ciżbie równie źle wychowanej, jak eleganczkiej. Widząc, że na estradzie zasiadają nie tylko Morel i pianista, ale i inni muzykanci, sądziłem, że zaczną od innych utworów, nie od Vinteuila. Bo myślałem, że istnieje tylko jego sonata skrzypcowa.

Pani Verdurin siadła z boku; na wspaniałych półkulach białego, lekko zaróżowionego czoła włosy były rozrzucone na wpół przez naśladownictwo pewnego osiemnastowiecznego portretu, na wpół przez potrzebę chłodu u osoby zgorączkowanej, której wstyd nie pozwala wyrazić swego stanu; siedziała sama, bóstwo prezydujące uroczystościom muzycznym, bogini wagneryzmu i migreny, niemal tragiczna wróżka, ściągnięta przez geniusza wkoło tych nudziarzy, przy których bardziej jeszcze niż zwykle miała gardzić wyrażaniem swoich uczuć wobec muzyki, którą znała lepiej od nich. Koncert zaczął się; nie znałem tego, co grano, znalazłem się w obcej krainie. Gdzie ją umieścić? W dziele jakiego autora się znalazłem? Byłbym rad wiedzieć, a nie mając obok siebie nikogo, kogo bym mógł spytać, byłbym chciał być osobistością z owych *Tysiąca i jednej nocy*, które odczytywałem bez ustanku, gdzie w chwilach niepewności zjawia się nagle geniusz lub czarująca dziewczyna niewidzialna dla innych, ale nie dla zakłopotanego bohatera, któremu objawia ściśle to, co pragnął wiedzieć. Otóż w tej właśnie chwili nawiedziło mnie takie czarodziejskie zjawisko. Jak w okolicy na pozór nieznannej, a którą w istocie oglądamy z nowej strony i minąwszy zakręt, wchodzimy nagle na inną drogę, gdzie każdy zakątek jest nam poufały (tylko żeśmy nie nawykli przybywać tam od tej strony), powiadamy sobie nagle: „Ależ to ścieżka do furtki moich przyjaciół X; jestem o dwie minuty od nich”, i w istocie zjawia się ich córka i wita się, mijając nas, tak ja nagle, wśród tej nowej dla mnie muzyki, odnalazłem się w pełni sonaty Vinteuila; jej lekka fraza, bardziej czarodziejska niż młoda dziewczyna, w srebrzystej szacie, ociekająca dźwiękami lśniąщими, lekkimi i miękkimi na kształt gazy, podeszła, łatwa do poznania w tym nowym stroju. Radość moja, że ją odnalazł, wzmagał akcent tak przyjacielski, tak znany, który przybierała, zwracając się do mnie, tak przekonywujący, tak prosty, mimo iż rozświetlony jej promienną pięknoscią. Tym razem zresztą przeznaczeniem jej było tylko pokazać mi drogę; nie drogę sonaty, bo to było niewydane dzieło Vinteuila, w którym jedynie przez aluzję podkreśloną w tym miejscu komentarzem programu (należało go mieć równocześnie przed oczami) muzyk jakby dla zabawy wprowadził na chwilę leciutką frazę z sonaty.

<sup>59</sup>*vademecum* (z łac.) — przewodnik. [przypis edytorski]

Zaledwie przywołana w ten sposób, znikła; po czym znalazłem się znów w nieznanym świecie, ale wiedziałem teraz — i wszystko mi już wciąż o tym przypominało — że to jest jeden ze światów, o których stworzenie nawet nie podejrzewałem Vinteuil; kiedy bowiem, zmęczony sonatą będącą dla mnie wszechświatem już wyczerpanym, próbowałem sobie wyobrazić inne, równie piękne, lecz odmienne, czyniłem jedynie tak jak owi poeci, którzy zapełniają swój rzekomy raj łąkami, kwiatami, rzekami, dublującymi łąki, kwiaty i rzeki ziemi. To, com miał przed sobą, dawało mi tyle szczęścia, ile by mi go dała sonata, gdybym jej nie znał; tym samym, będąc równie piękne, było inne. Podczas gdy sonata ukazywała mi liliowy i sielski świt, rozszczepiając swoją ulotną czystość, aby zawisnąć na lekkiej, a przecież silnej tkaninie wiciokrzewów i białych geranii, nowy utwór rozpościwał się na powierzchni gładkiej i równej jak powierzchnia morza w burzliwy poranek już zarumieniony purpurą, pośród cierpkiego milczenia, w bezkresnej pustce; i ten nieznaną wszechświat wylał się z ciszy i z ciemności, w różnym blasku jutrzeńki, wznosząc się stopniowo przede mną. Ta czerwień tak nowa, tak nieobecna w tkliwej, sielskiej i czystej sonacie, barwiła całe niebo — niby jutrzeńka — tajemniczą nadzieją. I już przesywał powietrze śpiew, pełna gama tonów, śpiew nieznaną, najróżniejszy od wszystkiego, co bym zdołał kiedy wyroić, niewysłowiony i krzykliwy zarazem, już nie, jak w sonacie, podobny do gruchania gołębi, ale rozdzierający powietrze, równie żywy jak szkarłatny odcień, w którym tonął początek, coś niby mistyczne pianie koguta, niewymowne, ale ostre wołanie wiekuistego poranka. Atmosfera zimna, splukana deszczem, elektryczna — o tak odmiennym charakterze, o całkiem innych ciśnieniach, w świecie tak odległym od dziewiczego i pełnego roślin świata sonaty, zmieniała się co chwila, zacierając purpurową obietnicę Jutrzeńki. O południu wszelako, w palącym i przelotnym blasku, zdawała się ona spełniać w ciężkim, wiejskim, niemal sielskim szczęściu, gdzie kołysanie się hucznych i rozpętanych dzwonów (podobnych tym, które rozpały żarem plac kościelny w Combray i które Vinteuil, słysząc je z pewnością często, odnalazł może w owej chwili w pamięci niby farbę pomieszczoną własną ręką na palecie) wyrażało jak gdyby materialnie najgrubszą radość. Prawdę mówiąc, z estetycznego punktu ten radosny motyw nie podobał mi się; wydał mi się prawie brzydki, rytm jego włócił się tak leniwo po ziemi, że można by go naśladować niemal wiernie jedynie samym hałasem, uderzając w pewien sposób pałeczkami o stół. Zdawało mi się, że Vinteuilowi zbrakło tu natchnienia, a tym samym i mojej uwadze zbrakło trochę wytrwania.

Patrzyłem na „pryncypalkę”, której surowa martwota zdawała się protestować przeciwko wybijaniu taktu, jakiemu oddawały się nieokrzese damy z największego świata. Pani Verdurin nie powiadała: „Pojmujecie, że ja znam trochę tę muzykę, no tak! Gdybym miała wyrazić wszystko, co odczuwam, nie skończylibyśmy tak prędko!”. Nie mówiła tego. Ale jej prosta i nieruchoma postawa, martwe oczy, niesforne kosmyki włosów mówiły za nią. Wyrażały także jej odwagę i to, że wykonawcy mogą jechać śmiało, nie oszczędzać jej nerwów, że się nie cofnie przy *andante*<sup>60</sup>, nie zaczną krzyżeć przy *allegro*<sup>61</sup>. Patrzyłem na muzyków. Wiolonczelista panował nad instrumentem, który ścisnął kolanami, pochylając twarz, której pospolite rysy dawały w manierycznych momentach mimowolny wyraz wstrętu; pochylał się nad swoim kontrabasem, skubał go z tą samą gospodarską cierpliwością, co gdyby obierał kapustę, podczas gdy obok niego harfistka (jeszcze dziecko) w krótkiej spódnicy, obramiona ze wszystkich stron promieniami złotego czworoboku podobnego do tych, które w czarnoksiężskiej izdebce wróżki wyobrażałyby wedle umownych a uświęconych form eter, zdawała się szukać po nich we właściwym momencie lubego dźwięku w ten sam sposób, w jaki alegoryczna boginka, stojąc przed złotą kratą niebieskiego sklepu, zrywałaby gwiazdy. Co się tyczy Morela, niewidzialny dotąd i zgubiony w jego włosach pukiel oderwał się i falował nad jego czołem. Obróciłem niezauważnie głowę ku publiczności, aby sobie zdać sprawę z tego, co pan de Charlus musiał myśleć o tym puku. Ale oczy moje napotkały tylko twarz lub raczej ręce pani Verdurin, bo twarz była całkowicie utopiona w dłoniach.

Ale rychło, gdy triumfalny motyw dzwonów wypędziły, rozproszyły inne, ogarnęła mnie znów ta muzyka; zdałem sobie sprawę, że jeżeli w tym septyecie<sup>62</sup> różne elemen-

<sup>60</sup>*andante* (muz., wł.) — tempo wykonywania utworu w muzyce: umiarkowane. [przypis edytorski]

<sup>61</sup>*allegro* (muz., wł.: radośnie) — tempo wykonywania utworu w muzyce: wesoło, żywo. [przypis edytorski]

<sup>62</sup>*septet* (muz.) — utwór na 7 głosów lub instrumentów solowych. [przypis edytorski]

ty wylaniają się kolejno, to po to, aby się stopić w końcu. I sonata Vinteuila i, jak się dowiedziałem później, wszystkie inne jego utwory, były wobec tego septetu jedynie nieśmiały — uroczymi, ale wątlymi — szkicami wobec wspaniałego i pełnego arcydzieła objawiającego mi się w tej chwili. Mimo woli przez porównanie przypominałem sobie również, że myślałem niegdyś o innych światach, jakie mógł być stworzyć Vinteuil, jako o światach tak kompletnie zamkniętych jak każda z moich miłości. Ale w rzeczywistości musiałem uznać, że w stosunku do mojej ostatniej miłości — Albertyny — pierwsze moje próby kochania (w Balbec zaraz z początku, potem po partii „lisa”, potem owej nocy w hotelu, potem w mglistą niedzielę w Paryżu, potem po raucie u księżnej Marii, potem znów w Balbec i wreszcie w Paryżu, gdzie moje życie było ściśle spojone z jej życiem) były jedynie wołaniem; tak samo jeżeli spoglądałem teraz nie już na moją miłość do Albertyny, ale na całe swoje życie, inne miłości również były w nim niby wątle i nieśmiałe próby, wołania przygotowujące tę pełniejszą miłość: Albertynę. I przestałem nadążać za muzyką, aby znów dociekać, czy Albertyna widziała w tych dniach pannę Vinteuil, tak jak się bada na nowo objaw choroby, o której rozrywka pozwoliła nam przez chwilę zapomnieć. Bo to we mnie działa się możebne uczynki Albertyny. Posiadamy duplikat wszystkich znajomych istot, ale zazwyczaj mieszczący się na horyzoncie naszej wyobraźni, naszej pamięci; jest stosunkowo na zewnątrz nas i to, co zrobił albo mógł zrobić, zawiera dla nas nie więcej elementów bólu niż przedmiot ustawiony w pewnej odległości, dostarczający nam jedynie bezbolesnych wrażeń wzrokowych. To, co dotyczy owych istot, percypujemy<sup>63</sup> w sposób kontemplacyjny; możemy ubolewać nad tym w odpowiednich zwrotach, które dają innym pojęcie o naszym dobrym sercu, lecz nie odczuwamy tego; ale od czasu mojej rany w Balbec duplikat Albertyny znajdował się w moim sercu, bardzo głęboko, trudny do wydobycia. To, co z niej widziałem, raniło mnie niby chorego o zmysłach tak boleśnie przemieszczonych, że kolor odczuwałby w swoim wnętrzu niby nacięcie w żywe ciało. Na szczęście nie uległem jeszcze pokusie zerwania z Albertyną; przykrość ujrzenia jej niebawem za powrotem była drobnostką w porównaniu z niepokojem, jakiego bym doznawał, gdyby rozstanie przypadło na chwilę, gdybym ją podejrzewał, zanimby zdążyła stać mi się obojętna. W chwili kiedy ją sobie wyobrażałem czekającą tak na mnie w domu jak ukochana kobieta, której się czas dłuży, uspioną może na chwilę w swoim pokoju, upieściła mnie w przelocie tkliwa fraza septetu, rodzinna i domowa. Wszystko tak dalece krzyżuje się i piętrzy w naszym wewnętrznym życiu, iż może frazę tę natchnął Vinteuilowi sen jego córki — jego córki, dziś przyczyny wszystkich moich udręczeń — kiedy w zaciszne wieczory słodycz jej umiała mu pracę; tę frazę, która mnie tak ukoiliła tym samym miękkim tłem milczenia, nasycającym często zadumę Schumann<sup>64</sup>, podczas której nawet kiedy „poeta mówi”, zgadujemy, że „dziecię śpi”. Odnajdę tego wieczora, kiedy mi się spodoba wrócić, Albertynę, dziecko moje, uspioną, rozbudzoną. A jednak — powiedziałem sobie — początek tego dzieła w pierwszych krzykach jutrenki przyrzekał coś bardziej tajemniczego niż miłość Albertyny. Próbowałem wygnać myśl o niej, aby myśleć tylko o muzyku. Bo też miałem wrażenie, że on jest tutaj. Można by rzec, że mocą reinkarnacji autor żyje na zawsze w swojej muzyce; czuło się radość, z jaką dobierał kolor jakiegoś dźwięku, zestrzajał go z innymi. Bo z głębszymi darami Vinteuil łączył dar, który posiada niewielu muzyków, a nawet niewielu malarzy; mianowicie ten, że używał barw nie tylko tak trwałych, ale tak własnych, iż jak czas nie zmienia ich świeżości, tak uczniowie naśladowujący ich wynalazcę, a nawet mistrze, którzy go przewyższyli, nie zaćmiewają ich oryginalności. Zdobycze rewolucji, jaką sprawiło ich zjawienie się, nie stapiają się bezimiennie z następnymi epokami; szaleje ona i wybucha na nowo, ilekroć się gra utwory wiekiustego odnowiciela. Każdy dźwięk podkreślała barwa, której wszystkie reguły świata opanowane przez najuczciwszych muzyków nie zdołałyby naśladować; tak że Vinteuil, mimo iż związany ze swoją epoką i zajmujący swoje miejsce w ewolucji muzyki, zawsze je miał opuścić, aby się wysunąć na czoło, z chwilą gdy się zagra któryś z jego utworów, robiący wrażenie czegoś wykwitłego po najnowszych muzykach, wskutek paradoksalnego i istotnie mylącego wrażenia trwałej nowości.

<sup>63</sup>percypować — odbierać jakieś zjawiska zmysłami, postrzegać. [przypis edytorski]

<sup>64</sup>Schuman, Robert (1810–1856) — niemiecki kompozytor i krytyk muzyczny, przedstawiciel romantyzmu; autor m.in. zbioru utworów na fortepian pt. *Sceny dziecięce* (*Kinderszenen*, 1838), z których dwa ostatnie to *Dziecko zasypia* oraz *Poeta mówi*. [przypis edytorski]

Symfoniczna muzyka Vinteuila, znana już z fortepianu, a słyszana na orkiestrę, była jak promień letniego dnia, który przyzmat okna rozkłada, zanim go wpuści do mrocznej jadalni; odsłaniała, niby niepodjęzowany i wielobarwny skarb, wszystkie klejnoty *Tysiąca i jednej nocy*. Ale jak porównać z tym nieruchomym blaskiem światła coś, co było życiem, wiekuiwym i szczęśliwym ruchem? Tęgo Vinteuila, którego znałem niegdyś tak nieśmiałym i smutnym, cechowało, kiedy trzeba było wybrać dźwięk, połączyć go z drugim, zuchwalstwo, oraz, w pełnym znaczeniu słowa, szczęście, co do którego wymowa jego dzieła nie zostawiała żadnej wątpliwości. Radość, jaką mu sprawiały pewne harmonie, przyplływ sił, jaki mu dała ta radość dla odkrycia innych, wiodły słuchacza ze zdobyczy w zdobycz lub raczej wiódł go sam twórca, w świeżo znalezionych barwach czerpiąc oszalałą uciechę, dającą mu moc odkrywania, rzucania się na kolory wołające go niejako; zachwycony, drżący, jak od wybuchu iskry, kiedy boskość rodziła się sama ze zderzenia blach, dyszący, upojny, opętany, nieprzytomny, gdy malował swój wielki fresk muzyczny, jak Michał Anioł<sup>65</sup> przywiązany do drabiny i miotający, z głową zwieszoną na dół, burzliwe ciosy pędzla na suficie Kaplicy Sykstyńskiej.

Vinteuil umarł od wielu lat; ale pośród tych instrumentów, które ożywił, dane mu było na czas nieograniczony przedłużyć bodaj część życia. Tylko swego ludzkiego życia? Gdyby sztuka była w istocie tylko przedłużeniem życia, czy warto było jej coś poświęcać, czy nie była czymś równie nierealnym jak samo życie? Wsłuchując się w ten septet, nie mogłem w to uwierzyć. Bez wątpienia purpurowy septet różnił się osobliwie od białej sonaty; nieśmiałe pytanie, na które odpowiadała lekka fraza, różniło się od zdyszanego błagania o spełnienie dziwnej obietnicy, które rozległo się tak ostre, tak nadprzyrodzone, tak krótkie, wstrząsając bezwładną jeszcze czerwień rannego nieba ponad morzem. A jednak te tak odmienne frazy miały te same składniki; tak samo bowiem jak istniał pewien świat, pochwytny dla nas w owych cząstkach rozproszonych tu i ówdzie, po jakichś mieszkaniach, muzeach, i stanowiących świat Elstira, ten, który Elstir widział, w którym żył, tak samo muzyka Vinteuila rozpościerała, nuta po nucie, dźwięk po dźwięku, nieznane barwy bezcennego, niepodjęzwanego wszechświata, przerywanego lukami powstałymi między audycjami jego dzieł; te dwa tak niepodobne pytania, władające tak odmiennymi tempami sonaty i septetu; jedno łamiące w krótkich wołaniach ciągłą i czystą linię, drugie stapiające w jednolitą armaturę rozproszone fragmenty. Mimo iż jedno tak spokojne i nieśmiałe, prawie oderwane i jakby filozoficzne, drugie tak natarczywe, trwożliwe, błagalne — była to jednak ta sama modlitwa tryskająca w obliczu różnych wewnętrznych wschodów słońca, jedynie załamana w odmiennych sferach innych myśli, wyszukań sztuki postępującej w ciągu lat, w których artysta chciał stworzyć coś nowego. Modlitwa, nadzieja — wciąż w gruncie ta sama — łatwa do poznania pod tymi przebraniem w rozmaitych utworach Vinteuila i skądinąd znajdująca się tylko w jego utworach. Muzykologowie mogliby łatwo ustalić powinowactwa tych fraz, ich genealogię w dziełach innych wielkich muzyków, ale tylko z ubocznych racji, z zewnętrznych podobieństw, analogii raczej zmyślnie odkrytych rozumowaniem niż wprost odczuty. Faza Vinteuila była różna od wszelkiej innej, jak gdyby na wspak konkluzjom wyłaniającym się z wiedzy istniała jedność „indywidualna”. Za to wtedy, kiedy całą mocą starał się być nowy, wówczas pod pozornymi różnicami poznawało się głębokie powinowactwa i celowe podobieństwa zachodzące w łonie samego dzieła. Kiedy Vinteuil podejmował na parę zawodów jedną i tę samą frazę, różnicował ją, zmieniając jakby dla igraszki rytm, znów ją wprowadzał pod pierwotną formę; wówczas te celowe podobieństwa, twory intelektu — tym samym powierzchowne — nigdy nie były tak uderzające jak owe podobieństwa ukryte, mimowolne, wybuchające w różnych barwach między dwoma różnymi arcydziełami; wówczas bowiem Vinteuil, starając się być nowym, wnikał sam w siebie całą potęgą twórczego wysiłku, dosięgał własnej istoty w tych głębokościach, gdzie, jakiegokolwiek zada się jej pytanie, odpowiada ona tym samym akcentem — swoim własnym. Taki akcent, ów akcent Vinteuila, dzieli od akcentu innych muzyków różnica o wiele większa, niż ta, którą wyczuwamy między głosami dwóch osób, nawet między rykiem lub krzykiem dwóch gatunków zwierząt; przez samą różnicę zachodzącą między

<sup>65</sup>Michał Anioł, właśc. *Michelangelo di Ludovico Buonarroti Simoni* (1475–1564) — wybitny malarz, rzeźbiarz, poeta i architekt włoskiego renesansu; znany z serii fresków biblijnych na sklepieniu Kaplicy Sykstyńskiej w Watykanie oraz namalowanego na ścianie ołtarzowej tej kaplicy fresku *Sąd Ostateczny*. [przypis edytorski]

myślą owych innych muzyków a wiekuistymi dociekaniem Vinteuila, pytanie, jakie sobie zadawał w tylu formach, jego swoista filozofia, ale równie oczyszczona z analitycznych form rozumowania, co gdyby się rozgrywała w świecie aniołów, tak że możemy zmierzyć jej głębokość, ale nie bardziej tłumacząc ją na mowę ludzką, niż są do tego zdolne odcielesnione duchy, kiedy wywołałszy je, medium zapyta je o tajemnice śmierci. I nawet biorąc w rachubę ową nabytą oryginalność, która mnie uderzyła dziś po południu, owo pokrewieństwo, jakie muzykologowie mogliby znaleźć między nimi, jest to ów jedyny akcent, do którego się wznoszą, do którego wracają mimo woli owi wielcy śpiewacy, jakimi są oryginalni muzycy; akcent będący dowodem nieprzeparcie indywidualnego istnienia duszy. Czy Vinteuil próbował tworzyć w stylu uroczystym, pięknym, czy też chciał być żywszym i weselszym, upiększyć to, co widział odbijające się w duszy ogółu, mimo woli zatapiał to wszystko głęboką falą, która czyni jego śpiew wiecznym i łatwym do poznania. Gdzie on się nauczył tego śpiewu różnego od innych, wspólnego wszystkim jego śpiewom, gdzie go usłyszał? Każdy artysta wydaje się obywatelem jakiejś ojczyzny nieznannej, zapomnianej przez niego samego, różnej od tej, z której się zjawi i wylądowuje na ziemi inny wielki artysta. Co najwyżej w ostatnich swoich dziełach Vinteuil zdawał się zbliżać do tej ojczyzny. Atmosfera była w nich już inna niż w sonacie; pytańniki fraz stawały się bardziej nagłe, niespokojne, odpowiedzi bardziej tajemnicze; czyste ranne i wieczorne powietrze oddziaływało nawet na struny instrumentów. Mimo iż Morel grał cudownie, dźwięki jego skrzypiec zdawały mi się szczególnie ostre, niemal krzyczące. Ta ostrość miała swój urok, czuło się w niej, niby w pewnych głosach, jakąś wartość moralną i wyższość intelektualną. Ale to mogło razić. Kiedy wizja wszechświata zmienia się, oczyszcza, kiedy się staje zgodniejsza ze wspomnieniem duchowej ojczyzny, naturalne jest, że to się wyraża u muzyka podniesieniem temperatury dźwięków, jak u malarza — kolorytu. Zresztą najinteligentniejsza publiczność nie myli się w tej mierze, skoro później uznano ostatnie dzieła Vinteuila za najgłębsze, mimo iż żaden program, żaden temat nie dostarczał tym sądom intelektualnego elementu. Odgadywano tedy, że chodzi o transpozycję głębi w sferę dźwięków.

Muzycy nie przypominają sobie tej straconej ojczyzny, ale każdy z nich zostaje zawsze bezwiednie zestrojony z nią w jakimś *unisono*<sup>66</sup>; szaleje z radości, kiedy śpiewa wedle swojej ojczyzny, zdradza ją czasem dla miłości sławy. Ale wówczas, szukając sławy, ucieka od niej, a znajduje sławę, jedynie gardząc nią, kiedy — bez względu na temat, jaki bierze — intonuje ów osobliwy śpiew, którego monotonia dowodzi stałości elementów składających jego duszę, bez względu bowiem na przedmiot artysta zostaje wierny samemu sobie. Ale wówczas cały realny osad tych składników, który zmuszeni jesteśmy zachować dla siebie, którego nie może udzielić w rozmowie nawet przyjaciel przyjacielowi ani mistrz uczniowi, ani kochanek kochance, owo „niewysłowione”, różnicujące to, co każdy odczuł i co musi zostawić na progu zdań, w których może komunikować się z drugimi jedynie w zakresie zewnętrznych i nieinteresujących wspólnych punktów, czyż nie ujawnia się w sztuce, w sztuce jakiegoś Vinteuila, Elstira, w tęczy barwach, wyrażając tajemnicę owych światów, które zwiemy indywidualnymi i których bez sztuki nie poznalibyśmy nigdy? Skrzydła, inny aparat oddechowy, które by nam pozwoliły przebyć bezmiary, nie zdałyby się nam na nic, bo gdybyśmy się udali na Marsa i na Wenus, zachowując te same zmysły, wszystkiemu, co moglibyśmy tam ujrzeć, dałyby one tę samą postać, jaką oglądamy na Ziemi. Jedyłą prawdziwą podróżą, jedyną kąpielą w wodzie Młodości byłoby iść nie ku nowym krajobrazom, ale mieć inne oczy, widzieć wszechświat oczami kogoś innego, stu innych, widzieć sto światów, które każdy z nich widzi, którym każdy z nich jest; a to możemy uczynić z jakimś Elstirem, z Vinteuilem; z podobnymi do nich lecimy naprawdę z gwiazd na gwiazdy.

Andante skończyło się rzewną frazą, której oddałem się cały; po czym przed następną częścią nastąpiła chwila spoczynku, kiedy wykonawcy odłożyli instrumenty, a słuchacze wymienili nieco wrażeń. Pewien książę, chcąc dowieść znawstwa, oświadczył: „To bardzo trudne do dobrego odegrania”. Milsze osoby rozmawiały chwilę ze mną. Ale czym były ich słowa, które jak wszelkie zdawkowe słowo ludzkie zostawiały mnie tak obojętnym, wobec niebiańskiej frazy, z którą dopiero co rozmawiałem? Byłem w istocie jak anioł,

<sup>66</sup>*unisono* (z wł., muz.) — jednym głosem, w jednej tonacji. [przypis edytorski]

który strącony z raju spada w płaską rzeczywistość. I jak pewne stworzenia są ostatnimi świadkami jakiejś formy, której natura poniechała, tak ja dumalem, czy muzyka nie jest jedynym przykładem tego, czym mogłoby być porozumienie dusz, gdyby nie było wynalazku mowy, formacji słów, analizy myśli. Muzyka jest niejako możliwością nie mającą następstw; ludzkość weszła na inne drogi — języka mówionego i pisanego. Ale ten powrót do czegoś niedającego się zanalizować był tak upajający, że po wyjściu z tego raju zetknięcie się z istotami mniej lub więcej inteligentnymi zdawało się straszliwie mdłe. W czasie muzyki mogłem sobie przypominać istoty ludzkie, łączyć je z nią; lub raczej łączyłem z muzyką wspomnienie jednej tylko osoby — Albertyny. I fraza, która kończyła *andante*, zdawała mi się tak boska, że powiadałem sobie, iż szkoda, że Albertyna nie wie — a gdyby wiedziała, nie zrozumiałaby — jakim zaszczytem jest dla niej być zespoloną z czymś tak wielkim, co nas kojarzy i od czego ona pożycza niejako patetycznego głosu. Ale skoro muzyka się przerwała, obecne w salonie istoty zdawały się nazbyt żadne.

Podano chłodniki. Pan de Charlus zaczął od czasu do czasu któregoś lokaja: „Jak się miewasz? Czyś dostał mój bilecik? Przyjdiesz?”. Zapewne była w tych zagadywaniach swoboda wielkiego pana, który sądzi, że komuś pochlebia, i bardziej jest spoufalony z ludem od mieszczaucha; ale była i chytryść przestępcy, który myśli, że to, z czym publicznie paraduje, staje się tym samym niewinne. I dodawał tonem „*Guermantes*” pani de Villeparisis: „To dzielny chłopak, dobry charakter, często zatrudniam go u siebie”. Ale te finty<sup>67</sup> zwracały się przeciwko baronowi, bo jego poufale grzeczności i bileciki do lokajów zdawały się jednak czymś dość osobliwym. Sami lokaje czuli się zresztą bardziej zakłopotani niż dumni, przez wgląd na kolegów.

Tymczasem septet, który rozpoczął się na nowo, zbliżał się ku końcowi; na parę zawodów jakaś fraza z sonaty wracała, ale za każdym razem zmieniona, w innym rytmie, z innym akompaniamentem, ta sama, a przecie inna, tak jak odradzają się rzeczy w życiu; i była to jedna z tych fraz, które mimo iż niepodobna zrozumieć, co za powinowactwo wyznacza im jako jedyne i nieodzowne mieszkanie przeszłość pewnego muzyka, znajdują się tylko w jego utworach i zjawiają się stale w dziele, niby jego wróżki, *driady*<sup>68</sup>, bóstwa domowe. Zrazu wyróżniłem w septyecie dwie lub trzy takie, które mi przypomniały sonatę. Niebawem spostrzegłem inną frazę z sonaty, jeszcze tak daleką, że ją ledwo poznałem; skąpana w fioletowej mgłę, która wznosiła się zwłaszcza w ostatniej części dzieła *Vinteuila*, tak iż nawet kiedy wprowadzał jakiś taniec, była niby uwięziona w opalu; wahała się, zbliżyła, pierzchła jak spłoszona, potem wróciła, splotła się z innymi, przybyłymi — jak się dowiedziałem później — z innych dzieł: wezwała jeszcze inne; te stawały się znowuż na przemian pełne pokus i perswazji i zawodziły koło boskie, lecz niewidzialne dla większości słuchaczy, którzy mając przed sobą jedynie gęstą zasłonę i nie widząc przez nią nic, w dowolnych miejscach przerywali okrzykami podziwu ciężką nudę, która dławiła ich śmiertelnie.

Potem te frazy oddaliły się, z wyjątkiem jednej, wracającej kilka razy, przy czym twarzą jej nie mogłem ujrzeć; ale była tak pieszczotliwa, tak inna — jak inna była z pewnością dla *Swanna* lekka fraza z sonaty — od tego, czego pragnienie obudziła we mnie jakakolwiek kobieta, tak słodkim głosem ofiarowywała mi szczęście, naprawdę warte osiągnięcia — niewidzialna istota, której języka nie znałem, a którą rozumiałem tak dobrze — jedyna może *Nieznaną*, którą mi kiedy dane było spotkać. Potem ta fraza rozpadła się, przeobraziła jak owa „*swannowska*” fraza w sonacie i znów stała się tajemniczym początkowym wołaniem. Przeciwwstawiała się mu inna fraza, bolesna, ale tak głęboka, tak nieuchwytna, tak wewnętrzna, niemal tak organiczna i sięgająca do trzewi, że kiedy wracała, nie wiadomo było, czy to są nawroty tematu muzycznego czy *newralgii*.

Niebawem dwa motywy sprzęgły się w zapasach; to jeden z nich zniknął zupełnie, to znów dostrzegało się jakiś strzęp drugiego. Zmagania, prawdę rzekłszy, jedynie energii; bo jeżeli ścierały się te istoty, to wyzwolone z fizycznego ciała, ze swej postaci, imienia, znajdując we mnie widza duchowego, niedbającego również o nazwy i o swoiste cechy, pochłoniętego jedynie ich niematerialną i dynamiczną walką, namiętnie śledzącego dźwięczne jej perypetie. Wreszcie zatriumfował motyw radosny; to już nie był ów

<sup>67</sup>*finta* — w szermierce: zwód, ruch wykonany dla zmylenia przeciwnika. [przypis edytorski]

<sup>68</sup>*driady* (mit. gr.) — boginki leśne, duchy drzew. [przypis edytorski]



niespokojny prawie apel rzucony w puste niebo; to była niewysłowiona radość, jak gdyby płynąca z Raju; radość równie odmienna od radości sonaty, jak od słodkiego i poważnego anioła Belliniego<sup>69</sup>, grającego na teorbanie<sup>70</sup>, mógłby być różny jakiś archanioł Mantegny, odziany w szkarłatną suknię i dmący w puzon. Wiedziałem, że tego nowego odcienia radości, tego wołania ku ponadziemskiej radości nie zapomniałbym nigdy. Ale czy mogłaby się kiedy ziścić dla mnie? Pytanie zdawało mi się tym ważniejsze, ile że fraza ta mogła najlepiej scharakteryzować owe sprzeczne z resztą mego życia, z widzialnym światem wrażenia, które w rzadkich odstępach odnajdywałem w swoim życiu jako wytyczne punkty dla zbudowania prawdziwego życia: wrażenie wież w Martinville, drzew w pobliżu Balbec. W każdym razie, aby powrócić do swoistego akcentu tej frazy, jakież to było osobliwe, że przecucie najodmienniejsze od tego, co nam wyznacza przyziemne życie, że najśmielsze zbliżenie się do zaziemskiej radości zmaterializowało się właśnie w smutnym i poprawnym mieszczeniu, którego spotykaliśmy na majowych nabożeństwach w Combray; ale zwłaszcza jak się to stało, że tę najdziwniejszą rewelację nieznanego typu radości zdołałem otrzymać od niego, skoro, jak powiadano, umierając, zostawił tylko sonatę, reszta zaś prawie nie istniała, zagrzebana w notatkach niepodobnych do odczytania. Niepodobnych do odczytania, w końcu jednak odczytanych, siłą cierpliwości, inteligencji i czci, przez jedyną osobę, która dość długo żyła w pobliżu Vinteuil, aby dobrze poznać jego sposób pracy, aby odgadnąć znaki jego instrumentacji: była nią przyjaciółka panny Vinteuil. Jeszcze za życia wielkiego muzyka poznała kult, jaki córka Vinteuil żywiła dla ojca. Właśnie z powodu tego kultu, w chwilach kiedy się idzie na wspak prawdziwym skłonnościom, obie dziewczyny mogły znaleźć obłąkaną przyjemność w profanacjach, które swego czasu opisałem. (Adoracja dla ojca była wręcz warunkiem świętokradztwa córki. Niewątpliwie, powinny były sobie odmówić rozkoszy tego świętokradztwa, ale nie wyrażało ich ono całkowicie). Zresztą profanacje te stawały się coraz rzadsze, w końcu znikły zupełnie, w miarę jak fizyczne i chorobliwe stosunki, niby mętny i dymny żar, ustąpiły płomieniowi wzniosłej i czystej przyjaźni. Przyjaciółkę panny Vinteuil przeszywała czasem dotkliwa myśl, że może ona przyspieszyła śmierć starego. Trawiąc lata na odcyfrowywaniu rękopisów Vinteuil, ustalając niemylnie lekturę tych hieroglifów, przyjaciółka panny Vinteuil miała tę pociechę, że muzykowi, którego ostatnie lata zasmuciła, zapewniła w odpłatę nieśmiertelność. Stosunki nieuświęcone prawem wynikają z węzłów pokrewieństwa równie wielorakich, równie złożonych, jedynie silniejszych niż te, które się rodzą z małżeństwa. Nawet nie wdając się w rozważanie stosunków o charakterze zbyt specjalnym, czyż nie widzimy co dnia, że cudzołóstwo, kiedy się wspiera na prawdziwej miłości, nie osłabia uczuć i powinności rodzinnych, ale je wzmacnia. Wiarołomstwo wprowadza ducha w literę, która bardzo często w małżeństwie pozostałaby martwa. Dobra córka, która jedynie przez konwenans będzie nosiła żałobę po drugim mężu matki, ileż wyleje łez, oplakując człowieka, którego matka wybrała spośród wszystkich za kochanka. Zresztą panna Vinteuil działała jedynie przez sadyzm, co jej nie usprawiedliwiało, ale znajdowałem później niejaka słodycz w tej myśli. W chwili gdy profanowała z przyjaciółką fotografię ojca, musiała (tak myślałem) zdawać sobie sprawę, że wszystko to jest jedynie chorobą, szaleństwem, nie zaś prawdziwym i radosnym okrucieństwem, jakiego by pragnęła. Myśl, że to jest jedynie komedia okrucieństwa, psuła jej rozkosz. Ale jeżeli ta myśl mogła jej wrócić później, wówczas, tak jak zepsuła rozkosz, tak musiała zmniejszyć jej cierpienie. „To nie byłam ja — musiała sobie powiedzieć — byłam obłąkana. Chcę się jeszcze modlić za ojca, nie rozpaczając o jego dobroci”. Ale możliwe jest, że ta myśl, która z pewnością nastęczyła się jej w rozkoszy, nie nastęczyła się jej w cierpieniu. Byłbym chciał móc jej podsunąć tę myśl. Jestem pewny, żebym jej oddał przysługę i że zdołałbym stworzyć dość słodką styczność między nią a wspomnieniem ojca.

Niby z nieczytelnych kajetów, w których genialny chemik, nie wiedząc, że śmierć jego jest tak bliska, notuje odkrycia mające może zostać na zawsze nieznanymi, przyjaciółka panny Vinteuil wydobyla z papierów bardziej nieczytelnych niż papirusy wypełnione

<sup>69</sup>*Bellini, Giovanni* (ok. 1430–1516) — malarz włoski epoki renesansu, twórca weneckiej szkoły kolorystycznej, najwybitniejszy z malarskiej rodziny Bellinich; autor głównie obrazów religijnych i portretów. [przypis edytorski]

<sup>70</sup>*teorban* — lutnia basowa, duży strunowy instrument muzyczny. [przypis edytorski]

pismem klinowym<sup>71</sup>, wiecznie prawdziwą, wiekuiście płodną formułę owej nieznannej radości, mistycznej nadziei szkarłatnego anioła poranku. A ja, dla którego mniej może niż dla samego Vinteuila ta kobieta była także, jeszcze tego wieczora — miała być zwłaszcza w przyszłości, budząc na nowo zazdrość o Albertynę — przyczyną tylu cierpień, dzięki niej, w odpłatę, mogłem usłyszeć dziwne wołanie, którego nie przestanę już słyszeć nigdy, jako przyrzeczenie i dowód, że istnieje coś innego niż nicość, którą znalazłem we wszystkich rozkoszach i w samej miłości; coś możebnego do osiągnięcia zapewne przez sztukę; i że jeżeli życie wydawało mi się tak czcze, to przynajmniej nie wyczerpało ono wszystkiego.

To, co młoda kobieta dzięki swojej pracy objawiła z Vinteuila, to było, prawdę rzekłszy, całe jego dzieło. Przy tym septyecie niektóre frazy z sonaty, jedyne, które publiczność знаła, zdawały się tak banalne, iż niepodobna było zrozumieć, jak mogły niegdyś budzić tyle zachwyty. Podobnie dziwi nas, że przez lata kawałki tak błahe jak *Pieśń do gwiazdy*, *Modlitwa Elżbiety*<sup>72</sup> mogły wprawiać na koncertach w szal fanatyków, którzy klaskali bez końca i krzyczeli „bis” po skończeniu utworów będących przecież nędzą dla nas, znających *Tristana*<sup>73</sup>, *Złoto Renu*<sup>74</sup>, *Śpiewaków norymberskich*<sup>75</sup>. Trzeba przypuszczać, że te bezbarwne melodie już zawierały, choć w minimalnych (i przez to może łatwiejszych do przyswojenia) ilościach, coś z oryginalności arcydzieł, jedyne, które dziś liczą się dla nas, ale których zrozumienie utrudniałaby może sama ich doskonałość; tamte przygotowały im może drogę w sercach. To pewne, że jeżeli tamte melodie dawały mgliste przeczucie przeszłego piękna, grążyły je w powszechnej nieświadomości. Tak samo z Vinteuilem; gdyby umierając, zostawił — poza pewnymi partiami sonaty — jedynie to, co zdołał skończyć, wówczas to, co by się zeń znało, byłoby wobec jego prawdziwej wielkości czymś równie błahym, jak gdyby Wiktor Hugo na przykład umarł po *Pas d'Armes du roi Jean*, po *Fiancée du Timbalier* i *Sarah la baigneuse*<sup>76</sup>, nie napisawszy *Legendy wieków* ani *Kontemplacji*<sup>77</sup>; to, co jest dla nas jego prawdziwym dziełem, zostałoby czysto potencjalne, równie nieznanne jak owe światy, których nasze poznanie nie dosięga, o których nigdy nie będziemy mieli pojęcia.

Zresztą pozorny kontrast, owa głęboka łączność między geniuszem (także talentem, a nawet cnotą) a futerałem przywar, w którym, jak się to zdarzyło Vinteuilowi, jest on tak często zawarty i przechowany, były czytelne, niby w przejrzystej alegorii, w samym zebraniu gości, wśród których się znalazłem po skończeniu koncertu. Zebranie, mimo że ograniczone tym razem do salonu pani Verdurin, podobne było do wielu innych, których elementów nie zna szeroka publiczność, a które filozofujący dziennikarze, bodaj trochę poinformowani, nazywają paryskimi lub panamistycznymi<sup>78</sup>, lub dreyfusowskimi, nie podejrzewając, że można je spotkać tak samo w Petersburgu, w Berlinie, w Madrycie, i w każdej epoce. W istocie, jeżeli podsekretarz stanu sztuk pięknych, prawdziwy artysta, człowiek wytworny i snob, parę diuszys i trzech ambasadorowie z żonami znaleźli się owego wieczora u pani Verdurin, bezpośrednim źródłem ich obecności były stosunki łączące pana de Charlus z Morelem, stosunki, które pobudziły barona do tego, aby dać największy rozgłos sukcesom swego młodego bożyszczka i uzyskać dlań Krzyż Legii. Dalszą przyczyną, która umożliwiła to zebranie, był fakt, iż młoda dziewczyna, utrzymu-

<sup>71</sup>papirusy wypełnione pismem klinowym — w rzeczywistości pismem klinowym, używanym w starożytności na Bliskim Wschodzie, nie pisano na papirusie: złożone z klinów znaki tworzone, dociskając końcówkę ryłka do powierzchni tabliczki z gliny. [przypis edytorski]

<sup>72</sup>*Pieśń do gwiazdy*, *Modlitwa Elżbiety* — pieśni z opery Richarda Wagnera *Tannhäuser* (1845). [przypis edytorski]

<sup>73</sup>*Tristan i Izolda* — dramat muzyczny Wagnera z 1859, bazujący na historii Tristana i Izoldy z cyklu legend arturiańskich. [przypis edytorski]

<sup>74</sup>*Złoto Renu* — pierwsza część tetralogii Wagnera *Pierścień Nibelunga*, wystawiona po raz pierwszy w 1869. [przypis edytorski]

<sup>75</sup>*Śpiewacy norymberscy* — opera Wagnera z 1868. [przypis edytorski]

<sup>76</sup>*Pas d'Armes du roi Jean*, *Fiancée du Timbalier*, *Sarah la baigneuse* — wczesne utwory poetyckie Viktora Hugo z lat 1823–1829, do których następnie napisali muzykę wielcy kompozytorzy XIX w., Camille Saint Saëns i Hector Berlioz. [przypis edytorski]

<sup>77</sup>*Kontemplacje* a. *Zamyślenia* — *Les Contemplations* (1855), obszerny zbiór wierszy Viktora Hugo, poświęcony jego 19-letniej córce, która utonęła w Sekwanie. [przypis edytorski]

<sup>78</sup>panamistyczny — związany z poglądem o istnieniu powszechnego ducha, duszy wcielonej w całość wszechświata. [przypis edytorski]

jąca z panną Vinteuil stosunki równie podejrzane, wydobyła na światło serię genialnych dzieł, które stały się taką rewelacją, że niebawem otwarto subskrypcję pod patronatem ministerstwa oświaty celem wzniesienia Vinteuilowi pomnika. Zresztą jak stosunki panny Vinteuil z przyjaciółką, tak i stosunki barona z Morelem stały się użyteczne dla tych dzieł; stworzyły rodzaj przecznicy, skrót drogi, dzięki któremu świat miał się zetknąć z tymi dziełami bez przeszkód jeżeli nie niezrozumienia, które miało trwać długo, to bodaj całkowitej niewiedzy, która mogłaby trwać całe lata. Za każdym razem kiedy zachodzi wydarzenie dostępne umysłowi felietonowego filozofa — to znaczy przeważnie wydarzenie polityczne — felietonowy filozof jest przekonany, że coś się zmieniło we Francji, że już się nie ujrzy podobnych wieczorów, że już się nie będzie podziwiała Ibsena<sup>79</sup>, Renana<sup>80</sup>, Dostojewskiego<sup>81</sup>, d'Annunzia<sup>82</sup>, Tolstoja<sup>83</sup>, Wagnera, Straussa<sup>84</sup>. Bo dziennikarze-filozofowie z dwuznacznych podszewek tych oficjalnych manifestacji czerpią argumenty na to, aby znaleźć coś „dekadence” w entuzjastycznie powitanej sztuce, która często jest ascetyczniejsza od innych. Ale nie ma nazwiska pośród nazwisk najbardziej czczonych przez tych felietonowych filozofów, które by najnaturalniej nie dało powodu do takich dziwnych biesiad, choćby dziwność ich była mniej jaskrawa i lepiej ukryta.

Co się tyczy tej fety, nieczyste elementy, które się w niej skojarzyły, uderzały mnie z innego punktu widzenia; niewątpliwie mógłbym bez trudu zanalizować je, mając sposobność poznać je oddzielnie. Ale jedno, wiążące się z panną Vinteuil i jej przyjaciółką, mówiąc o Combray, mówiły mi zarazem o Albertynie, to znaczy o Balbec: przecież dlatego że nigdy nie widział panny Vinteuil w Montjouvain i że się dowiedział o zażyłości jej przyjaciółki z Albertyną, miałem za chwilę, wróciwszy, zastać — zamiast samotności — czekającą na mnie Albertynę. Drugie, dotyczące Morela i pana de Charlus, mówiąc mi o Balbec (gdziem patrzył na początek ich stosunków na peronie w Doncières), mówiły mi o Combray i o jego dwóch „stronach”, bo pan de Charlus był jednym z Guermantów, hrabiów na Combray, mieszkających w Combray — mimo iż nie posiadających tam domu — między niebem a ziemią, jak Gilbert Zły na swoim witrażu. Morel wreszcie był synem starego kamerdynera, który mi dał poznać „różową damę” i pozwolił mi w tyle lat później rozpoznać w niej panią Swann!

W chwili gdy po skończeniu muzyki goście pana de Charlus zaczęli się z nim żegnać, baron popełnił ten sam błąd co za ich przybyciem. Nie poprosił, aby się zwrócili do „pryncypalki”, aby wdzięcznością, jaką mu wyrażano, objęto ją i jej męża. Nastąpiła długa defilada, ale defilada przed samym baronem, z czego zresztą zdawał sobie sprawę, mówiąc mi w chwilę później: „Sama forma uroczystości artystycznej przybrała później dość zabawny charakter »zakrystii«”. Przedłużano nawet podziękowania w rozmowach, które pozwalały wieszającym zostać dłużej z baronem, gdy ci, którzy mu jeszcze nie powinszowali udanego wieczoru, wystawali i dreptali w miejscu. Niejeden mąż miał ochotę odejść, ale żona, snobka, mimo iż diuszesa, protestowała: „Nie, nie, choćbyśmy mieli czekać godzinę, nie możemy odejść, nie podziękowawszy Palamedowi, który sobie zadał tyle trudu. On jeden zdolny jest dziś dawać takie uczy duchowe”. Nikt nie pomyślał

<sup>79</sup>Ibsen, Henryk (1828–1906) — dramaturg norweski, początkowo tworzący utwory oparte na motywach historycznych, legendach i sagach skandynawskich, później podjął tematykę społeczno-obyczajową w duchu realizmu i naturalizmu; autor m.in. dramatów *Nora czyli dom lalki* oraz *Dzika kaczka*. [przypis edytorski]

<sup>80</sup>Renan, Joseph Ernest (1823–1892) — francuski pisarz, historyk, filolog, orientalista, filozof pozytywista, krytyczny badacz historii religii; zasłynął jako autor pracy *Historia początków chrześcijaństwa* (1863–1883), z której szczególnie znany jest tom I pt. *Żywot Jezusa*. [przypis edytorski]

<sup>81</sup>Dostojewski, Fiodor (1821–1881) — wybitny powieściopisarz rosyjski, mistrz realistycznej prozy psychologicznej; autor m.in. powieści *Zbrodnia i kara*, *Idiota*, *Biesy*, *Bracia Karamazow*. [przypis edytorski]

<sup>82</sup>D'Annunzio, Gabriele (1863–1938) — włoski powieściopisarz, poeta i dramaturg, lotnik wojskowy podczas I wojny światowej, po wojnie nacjonalistyczny agitator, wywarł znaczny wpływ na Mussoliniego; w literaturze zasłynął z pierwszych prób futurystycznych, później skłaniał się do ekspresjonizmu; znany zwłaszcza z bestsellerowej powieści *Triumf śmierci* (1894). [przypis edytorski]

<sup>83</sup>Tolstoj, Lew (1828–1910) — rosyjski prozaik i dramaturg, myśliciel, krytyk literacki i publicysta; przedstawiciel realizmu, łączył wnikliwą obserwację z własnymi poglądami na rzeczywistość, głosił doktrynę „niesprzeciwiania się złu przemocą”, potrzebę odnowienia moralnego i powrotu do natury; autor m.in. powieści: *Wojna i pokój*, *Anna Karenina*; jego utwory wywarły duży wpływ na literaturę światową i rozwój myśli moralnej jego epoki. [przypis edytorski]

<sup>84</sup>Strauss, Richard (1864–1949) — niemiecki kompozytor i dyrygent, jeden z czołowych kompozytorów późnego romantyzmu; tworzył początkowo głównie poematy symfoniczne, później opery, pisane pod wpływem Wagnerowskiej koncepcji dramatu muzycznego. [przypis edytorski]

o tym, aby się przedstawić pani Verdurin, tak jak nikomu by nie przyszło na myśl przedstawiać się bileterce w teatrze, do którego wielka dama ściągnęłaby na jeden wieczór całą arystokrację.

— Był kuzyn wczoraj u Eliany de Montmorency? — spytała pani de Mortemart, żądna przedłużyć rozmowę.

— Och, Boże, nie; bardzo lubię Elianę, ale nie rozumiem sensu jej zaproszeń. Jestem zapewne trochę ograniczony — dodał baron z szerokim uśmiechem zadowolenia, gdy pani de Mortemart czuła, że będzie miała nowalnię „Palameda”, jak często miewała nowalnię „Oriany”. — Dostałam przed dwoma tygodniami bilecik od dobrej Eliany. Nad nazwiskiem „Montmorency”, grubo spornym, znajdowało się to uprzejme zaproszenie: „Kuzynie, bądź tak łaskaw pomyśleć o mnie w przyszły piątek o wpół do dziesiątej”. Poniżej widniały dwa słowa mniej wdzięczne: „Kwartet czeski”. Słowa te były niezrozumiałe, w każdym razie bez większego związku z poprzednim zdaniem, jak owe listy, na których odwołanie zaczęto inny list, rozpoczynający się od „Drogi przyjacielu”, przy czym brak dalszego ciągu: widać piszący, przez roztargnienie lub przez oszczędność nie wziął nowej ćwiartki. Bardzo lubię Elianę; toteż nie miałem do niej pretensji, po prostu przeszedłem do porządku nad dziwnym i niewczesnym „kwartetem czeskim”; że zaś jestem człowiekiem systematycznym, położyłem na kominku zaproszenie, aby „myśleć o pani de Montmorency” w piątek o wpół do dziesiątej. Mimo iż znany z mojej natury posłusznej, punktualnej i łagodnej, jak powiada Buffon<sup>85</sup> o wielbłądzie — tu śmiech błysnął szerzej na twarzy pana de Charlus, świadomego, przeciwnie, że go świat uważa za człowieka najtrudniejszego w pozycji — spóźniłem się o kilka minut (ot, tyle, żeby się przebrać w szlafrok) i bez zbytnich wyrzutów sumienia, uważając, że wpół do dziesiątej znaczy dziesiąta, punkt o dziesiątej w wygodnym szlafroku, w ciepłych pantoflach siadłem sobie przy ogniu, aby myśleć o Elianie, jak mnie o to prosiła, z intensywnością, która zaczęła słabnąć o wpół do jedenastej. Powiedz jej, proszę cię, kuzynko, że byłem ściśle posłuszny jej śmiałości żądaniu. Myślę, że będzie rada.

Pani de Mortemart pękała ze śmiechu, a pan de Charlus wtórował jej.

— A jutro — dodała, nie myśląc o tym, że już przekroczyła, i to grubo, czas, do którego miała prawo — czy będziesz u kuzynów La Rochefoucauld?

— Och, niepodobnie! Zaprosili mnie i ciebie, jak widzę, na rzecz najniemożliwszą do pojęcia i do wykonania, a która się zwie, jeśli mam wierzyć zaproszeniu: „Herbata tańcząca”<sup>86</sup>. Uchodziłem za młodu za bardzo zręcznego, ale wątpię, czy byłbym zdolny bez szwanku dla przyzwoitości pić herbatę, tańcząc. Otóż nigdy nie lubiłem jeść ani pić w sposób niechlujny. Powie mi kuzynka, że dziś nie mam już obowiązku tańczyć. Ale nawet siedząc wygodnie i pijąc herbatę — do której jakości nie mam zresztą zaufania, skoro się zowie „tańcząca” — bałbym się, że inni goście, młodszy i może mniej zręczni niż ja byłem w ich wieku, obleją mi herbatą frak, co by zmąciło przyjemność wypicia mojej filiżanki.

Ale pan de Charlus nie ograniczył się nawet do tego, aby pomijać w rozmowie panią Verdurin i mówić o wszelkiego rodzaju tematach, znajdując widoczną przyjemność w ich rozwijaniu, a to dla sadyistycznej przyjemności, jaką czerpał w tym, żeby trzymać bez końca na nogach i „w ogonku” osoby czekające z rezygnacją na swoją kolej. Baron krytykował całą część wieczoru, za którą odpowiedzialna była pani Verdurin:

— Ale *à propos* filiżanki, co to są za dziwne kubki podobne do tych, w których, kiedy byłem młodym człowiekiem, przysyłano sorbety od Poiré Blanche. Mówiono mi przed chwilą, że to na „kawę mrożoną”. Ale co się tyczy kawy mrożonej, nie widziałem ani kawy, ani mrozu. Jakieś osobliwe „coś” o nieokreślonym przeznaczeniu.

Mówiąc to, pan de Charlus zasłonił usta dłonią w białej rękawiczce i zerknął dyskretnie, tak jakby się obawiał, że go mogą usłyszeć, a nawet zobaczyć państwo domu. Ale to

<sup>85</sup> Buffon, Georges Louis Leclerc de (1707–1788) — francuski przyrodnik i filozof, autor liczącego 36 tomów dzieła *Histoire naturelle, générale et particulière* (Historia naturalna, ogólna i szczegółowa, 1749–1789), członek Akademii Francuskiej i Towarzystwa Królewskiego w Londynie; wywarł wielki wpływ na rozwój przyrodniczoznawstwa w XVIII w. [przypis edytorski]

<sup>86</sup> herbata tańcząca (fr. *thé dansant*) — popołudniowe tańce z drobnym poczęstunkiem, organizowane w tradycyjnej porze picia herbaty, popularne w 2 poł. XIX w. i pierwszych dekadach XX w., początkowo na przedmieściach, w miastach garnizonowych, w kąpieliskach itp. [przypis edytorski]

była tylko gra, bo za chwilę powtórzył to samo „pryncypałe”, a nieco później wypalił jej impertynencko: „A zwłaszcza już bez filiżanek do mrożonej kawy. Niech je pani daruje jakiejś przyjaciółce, której pani chce zszpecić dom. Ale niech ich nie podaje w salonie, bo mógłby ktoś pomyśleć, że się omylił co do ubikacji. To są najautentyczniejsze urywały”.

— Ależ kuzynie — mówiła dama, zniżając również głos i spoglądając pytająco na pana de Charlus, nie przez wzgląd na panią Verdurin, ale z obawy gniewu barona — może to stać, że ona jeszcze nie umie dobrze wszystkiego...

— Nauczy się ją.

— Och! — śmiała się dama — nie mogła znaleźć lepszego profesora! Ta ma szczęście! Z kuzynem człowiek jest pewny, że nie będzie fałszywej nuty.

— W każdym razie nie było jej w muzyce.

— Och! To było boskie. To są rozkosze, których się nie zapomina. *À propos* tego genialnego skrzypka — ciągnęła, myśląc w swojej naiwności, że pan de Charlus interesuje się skrzypkiem „jako takim” — czy pan zna skrzypka, który kiedyś grał cudownie sonatę Faurego<sup>87</sup>, nazywa się Frank...

— Tak, to ohyda — odparł pan de Charlus, nie troszcząc się o brutalność, z jaką dał uczuć kuzynce, że nie ma za grosz smaku. — W zakresie skrzypków radzę kuzynce trzymać się mojego.

Znów zaczęły się krzyżować oczy pana de Charlus i jego kuzynki, spuszczone i bawdawcze zarazem, bo zarumieniona i siłca się swoim zapałem naprawić gafę pani de Mortemart chciała zaproponować panu de Charlus urządzenie wieczoru dla Morela. Otóż dla niej wieczór ów nie miał — mimo iż tak twierdziła — na celu propagandy talentu, gdy właśnie to było celem pana de Charlus. Ona widziała jedynie sposobność do wydania szczególnie eleganckiego rautu i już obmyślała, kogo zaprosi, a kogo pominie. To przesiewanie przez sito, główne zajęcie osób wydających zabawy (tych właśnie, które czelność lub głupota dzienników „światowych” nazywa „elitą”), zmienia natychmiast spojrzenie — i pismo — głębiej, niżby to uczyniła sugestia hipnotyzera. Co by Morel miał grać, było dla niej rzeczą uboczną, i słusznie, bo gdyby nawet przez wzgląd na pana de Charlus wszyscy zechcieli milczeć w czasie muzyki, nikomu w zamian nie przyszłoby na myśl słuchać. O tym też pani de Mortemart nie pomyślała, postanowiła natomiast w lot, że pani de Valcourt nie będzie z rzędu wybranych; tym samym przybrała minę spiskowca. Do takich spisków zniżają się nawet te damy, które mogłyby śmiało drwić sobie z ludzkich sądów.

— Czy nie mogłabym wydać rautu, aby zaprodukować pańskiego przyjaciela? — szepnęła pani de Mortemart, ale zwracając się do pana de Charlus, bezwiednie, jak urzeczona, spojrzała na panią de Valcourt (wykluczoną) dla upewnienia się, czy ta dama nie słyszy. „Nie, nie może słyszeć, co ja mówię” — zakonkludowała w duchu, uspokojona własnym spojrzeniem, które przeciwnie, miało na panią de Valcourt wpływ wręcz sprzeczny z jego celem. „Oho! — powiedziała sobie pani de Valcourt — Maria Teresa organizuje z Palamedem coś, na czym ja nie mam być”.

— Chce kuzynka powiedzieć: mojego protegowanego — poprawił pan de Charlus, równie bezwzględny wobec wiedzy gramatycznej kuzynki, co wobec jej darów muzycznych. Potem, nie biorąc w rachubę niemych próśb pani de Mortemart, która tłumaczyła się z uśmiechem: „Ależ owszem — rzekł, krzycząc na cały salon: — mimo że zawsze jest pewne niebezpieczeństwo w takim przenoszeniu olśniewającej indywidualności w ramę, która nieodzownie musi uszczuplić jej siłę transcendentalną i którą w każdym razie trzeba by dostosować.

Pani de Mortemart pomyślała, że *mezzo voce*<sup>88</sup>, nawet *pianissimo*<sup>89</sup> jej zapytania było straconym trudem wobec poryku odpowiedzi. Omyliła się. Pani de Valcourt nie usłyszała nic z tej prostej przyczyny, że nie zrozumiała ani słowa. Jej niepokój zmniejszył się i zgasłby szybko, gdyby pani de Mortemart — bojąc się, że wobec tej niedyskrecji będzie musiała zaprosić panią de Valcourt, z którą była zbyt blisko, aby ją pominąć, o ile tamta wiedziała o czymś „z góry” — nie podniosła znów powiek w kierunku Edyty, jakby po

<sup>87</sup>Fauré, Gabriel Urbain (1845–1924) — francuski kompozytor i organista. [przypis edytorski]

<sup>88</sup>*mezzo voce* (wł.) — półgłos; *mezza voce* (muz.): półgłosem, ze stonowaną, umiarkowaną głośnością. [przypis edytorski]

<sup>89</sup>*pianissimo* (wł., muz.) — bardzo cicho. [przypis edytorski]

to, aby nie stracić z oczu niebezpieczeństwa, opuszczając zresztą żywo powieki, aby się zanadto nie angażować. Zamierzała nazajutrz po wieczorze przesłać jej list, dopełnienie niedyskretnego spojrzenia, jeden z owych listów niby to zręcznych, a w istocie będących jawnym przyznaniem. Na przykład: „Droga Edyto, tęsknię za tobą, nie bardzo spodziewałam się ciebie wczoraj wieczór (jakim cudem miała się mnie spodziewać — pomyślała Edyta — skoro mnie nie zaprosiła?), bo wiem, że niezbyt lubisz ten rodzaj zabawy. Mimo to bylibyśmy bardzo zaszczytzeni twoją obecnością (nigdy pani de Mortemart nie używała tego zwrotu: „zaszczytzeni”, wyjąwszy wtedy, gdy starała się w liście dać kłamstwu pozór prawdy). Wiesz, że jesteś zawsze w naszym domu u siebie. Zresztą dobrze zrobiłaś, bo to było całkiem chybione, jak każda rzecz zaimprovizowana w dwie godziny, itd.”. Ale już nowe zerknięcie pani de Mortemart zdradziło Edycie wszystko, co jej skrył skomplikowany język pana de Charlus. Spojrzenie to było nawet tak silne, że zawarty w nim oczywisty sekret i intencja ukrycia go, potrąciwszy panią de Valcourt, trysnęły na młodego Peruwiańczyka, którego przeciwnie, pani de Mortemart chciała zaprosić. Ale ten podejrzliwy człowiek, widząc najpewniej, że są tu w grze jakieś sekrety, a nie mogąc zgadnąć, że nie chodzi o niego, powziął odtąd dziłą nienawiść do pani de Mortemart, poprzysiął sobie spłacać jej tysiąc figłów, na przykład kazać jej posłać pięćdziesiąt mrożonych kaw w dniu, kiedy nie będzie przyjmowała, dać w dniu jej przyjęcia notatkę do pism<sup>90</sup>, że zabawę odwołano, i podać kłamliwe sprawozdania z innych jej przyjęć, zamieszczając spis właśnie tych osób, których z rozmaitych powodów pani domu nie chce przyjmować ani nawet znać.

Pani de Mortemart niepotrzebnie się troszczyła o panią de Valcourt. Pan de Charlus miał popsuć projektowaną fetę o wiele skuteczniej, niżby to zrobiła obecność tej damy.

— Ależ kuzynie — rzekła pani de Mortemart w odpowiedzi na wzmiankę o „dostosowaniu ramy”, której sens pod wpływem nerwowego podniecenia zdołała zrozumieć — oszczędzimy ci wszelkiego trudu, chętnie podejmuję się uprosić Gilberta, żeby się zajął wszystkim.

— Nie ma potrzeby, zwłaszcza że nie będzie zaproszony. Wszystko załatwię sam. Chodzi przede wszystkim o to, aby wykluczyć osoby mające uszy nie do słyszenia.

Kuzynka pana de Charlus licząca na atrakcyjność Morela, aby wydać wieczór, na którym, w przeciwieństwie do tylu krewnych, mogłaby powiedzieć, że „miała Palamedę”, uprzytomniła sobie nagle mnogość osób, z którymi pan de Charlus ją poróżni, skoro zacznie wykluczać i zapraszać. Myśl, że księżę Gilbert (z powodu niego po części chciała wykluczyć panią de Valcourt, której księżę nie przyjmował) miałby nie być proszony, przeraziła ją. Oczy jej przybrały niespokojny wyraz.

— Czy razi cię światło? — spytał pan de Charlus z udaną powagą, której ironia pozostała niezrozumiana.

— Nie, wcale nie, myślałam o trudnościach, oczywiście nie z mojego powodu, ale z powodu mojej rodziny... jakie by mogły wynikać, w razie gdyby się Gilbert dowiedział, że ja wydałam wieczór, nie zapraszając go... on, który zawsze, z najbliższej okazji...

— Właśnie o to chodzi, że okazja nie jest najbliższa. Sądzę, że zgiełk rozmów przeszkodził kuzynce słyszeć, że nie chodzi to o światowe grzeczności, ale o przestrzeganie rytuału właściwego prawdziwemu nabożeństwu.

Po czym uznawszy nie to, że następna osoba zbyt długo czeka, ale że nie przystoi przedłużać faworu tej, która miała na oku nie tyle Morela, ile własną „listę” gości, pan de Charlus, niby lekarz przerywający konsultację, skoro uzna, że siedział dość długo, dał do zrozumienia kuzynce, że audyencja skończona, nie żegnając jej, ale obracając się do następnej z brzegu osoby:

— Dobry wieczór, pani de Montesquiou, cudowne było, prawda? Nie widziałem Heleny, niech jej pani powie, że wszelka generalna abstynencja, nawet najszlachetniejsza jak jej, dopuszcza wyjątki, o ile są tak wspaniałe jak dzisiejszy wieczór. Pokazywać się rzadko to pięknie, ale to przymiot jedynie negatywny; powyżej tego, co rzadkie, stawiać to, co cenne, to jeszcze lepiej. Co się tyczy pani siostry, bardziej od kogokolwiek cenię jej systematyczną nieobecność, tam gdzie to, czego się może spodziewać, nie jest jej war-

<sup>90</sup>dać w dniu jej przyjęcia notatkę do pism, że zabawę odwołano — taką złośliwość zrobiono w istocie hr. Robertowi de Montesquiou, przyjacielowi Prousta, w dniu, w którym wydawał przyjęcie. [przypis tłumacza]

te; ale przeciwnie, na tak pamiętnej manifestacji jak dzisiejsza udział jej byłby dowodem wyższości i dałby tej uroczej osobie jeszcze jeden urok.

Baron podszedł z kolei do pana d'Argencourt. Bardzo się zdziwiłem, widząc tu tego człowieka, tak strasznego dla gatunku ludzi, do którego należał pan de Charlus, i widząc go równie czułym i uprzejmym dla barona, jak był dlań niegdyś oschły. Pan d'Argencourt kazał sobie przedstawić Morela i wyraził nadzieję, że go skrzypek odwiedzi. Faktem jest, że teraz pan d'Argencourt żył w otoczeniu takich figur. Nie znaczy to, aby się w tej mierze upodobnił do pana de Charlus. Ale od jakiegoś czasu niemal opuścił żonę dla młodej kobiety z towarzystwa, za którą szalał. Osoba ta, bardzo inteligentna, udzieliła mu swojej sympatii do ludzi inteligentnych i bardzo pragnęła ściągnąć do siebie pana de Charlus. Ale zwłaszcza pan d'Argencourt, bardzo zazdrosny, a trochę impotent, czując, że mało daje satysfakcji swojej ubóstwianej, chcąc ją wprowadzić w świat i rozerwać, mógł to uczynić bez niebezpieczeństwa, jedynie otaczając ją niegroźnymi mężczyznami, którym przeznaczał niejako rolę strażników seraju<sup>91</sup>. W zamian panowie ci uważali, że pan d'Argencourt zrobił się bardzo miły, oświadczyli, że jest o wiele inteligentniejszy, niż przypuszczali, z czego i jego kochanka, i on byli uszczęśliwieni.

Inni goście pana de Charlus odeszli dość szybko. Damy mówiły: „Nie chciałabym chodzić do »zakrystii« (salonik, gdzie baron, mając koło siebie Morela, przyjmował powinszowania i który sam tak nazywał), ale chciałabym, żeby mnie Palamed widział i wiedział, żem była do końca”. Żadna z dam nie troszczyła się o panią Verdurin. Niektóre udały, że jej nie poznają, i zegnały się przez pomyłkę z panią Cottard, mówiąc do mnie: „To pani Verdurin, prawda?”. Pani d'Arpajon spytała mnie tak, że gospodyni domu musiała słyszeć: „Czy istniał jakiś pan Verdurin?”. Nie znajdując nic z dziwności, jakich się spodziewały w tym salonie, który wyobrażały sobie bardziej różnym od wszystkiego, co znały, diuszesy nagradzały to sobie, w braku czego lepszego dławiąc wybuchy śmiechu wobec obrazów Elstira; za resztę, która znowuż wydawała się im podobniejsza do tego, czego się spodziewały, komplementowały pana de Charlus, mówiąc: „Jak ten nasz Palamed umie organizować te rzeczy; mógłby urządzić feerię w stajni czy w łazience, a i tak byłoby cudownie”. Najświetniejsze damy z zapalem winszowały panu de Charlus udanego wieczoru, którego sekretna sprężyna nie była tajemnicą dla wielu, co ich zresztą nie kłopotowało w niczym, ile że ci ludzie — może przez pamięć pewnych epok, kiedy ich rodzina doszła do identycznego stopnia całkiem świadomego bezwstydu — posuwali lekceważenie skrupułów prawie równie daleko jak troskę o etykietę. Wiele dam zaangażowało z miejsca Morela na wieczory, na których miał grać septet Vinteuil, ale żadnej nie przyszło nawet na myśl zaprosić na to panią Verdurin.

Pani Verdurin trzęsła się z wściekłości, kiedy pan de Charlus, który bujając w obłokach, nie mógł tego spostrzec, chciał dla przyzwoitości podzielić z „pryncypałką” swoją radość. I może raczej folgując swym zamiłowaniom literackim niż wybuchowi pychy, ten reżyser artystycznych zabaw rzekł do niej:

— No i co, czy pani kontenta? Sądzę, że jest z czego. Widzi pani, kiedy ja się wezmę do tego, żeby coś urządzić, musi się udać. Nie wiem, czy pani heraldyczne wiadomości pozwalają jej ściśle ocenić wagę uroczystości, ciężar, który podźwignąłem, objętość atmosfery, którą przemieściłem dla pani. Miała pani królową Neapolu, brata króla bawarskiego, trzech najdawniejszych parów. Jeżeli Vinteuil jest Mahometem, możemy powiedzieć, że poruszyliśmy dla niego najmniej ruchome z gór<sup>92</sup>. Niech pani pomyśli, że aby wziąć udział w pani wieczorze, królowa Neapolu przybyła z Neuilly, co jest dla niej o wiek trudniejsze niż opuścić Obie Sycylie — rzekł baron z szelmowską intencją mimo swej admiracji<sup>93</sup> dla królowej. — To jest wydarzenie historyczne. Pomyśl pani, ona bodajże nigdzie nie była od zdobycia Gaety. Wielce prawdopodobne jest, że w encyklopediach znajdą się, jako historyczne momenty, data zdobycia Gaety i wieczoru u Verdurinów. Wachlarz, który

<sup>91</sup>seraj — kobieca część tradycyjnego domu muzułmańskiego. [przypis edytorski]

<sup>92</sup>Jeżeli Vinteuil jest Mahometem (...) poruszyliśmy dla niego najmniej ruchome z gór — nawiązanie do przysłowia znanego również we Francji: [Skoro] nie przyszła góra do Mahometa, Mahomet przyszedł do góry. [przypis edytorski]

<sup>93</sup>admiracja (z łac.) — podziw, uwielbienie. [przypis edytorski]

odłożyła, aby lepiej oklaskiwać Vinteuilą, wart jest zażywać większej sławy niż ten, który pani de Metternich złamała, kiedy wygwizdano Wagnera<sup>94</sup>.

— Zapomniała nawet swego wachlarza — rzekła pani Verdurin, chwilowo ułagodzona wspomnieniem sympatii, jaką jej okazała królowa, i pokazując panu de Charlus wachlarz leżący na fotelu.

— Och! Jakież to wzruszające! — wykrzyknął pan de Charlus, zbliżając się ze czcią do relikwii. — Jest tym bardziej wzruszający, że jest szkaradny; ten fiołek jest niesamowity!

Spazmy wzruszenia i ironii wstrząsały nim na przemian.

— Mój Boże, ja nie wiem, czy pani odczuwa te rzeczy tak jak ja. Swann dostałby po prostu konwulsji, gdyby to widział. To wiem, że jaką bądź cenę uzyskalby ten wachlarz, kupię go na licytacji po królowej. Bo ją zlicytują, nie ma ani grosza — dodał, ile że okrutna złośliwość nigdy nie przestawała się łączyć u barona z najszczerzą czcią, obie bowiem płynęły z dwóch natur sprzecznych, ale kojarzących się w nim. Mogły nawet oświeć na przemian jeden i ten sam fakt. Bo pan de Charlus, który z wyżyn swoich bogactw dworował sobie z ubóstwa królowej, często znowuż rozplywał się nad tym ubóstwem i, kiedy mówiono o księżnej Murat<sup>95</sup>, królowej Obojga Sycylii, odpowiadał: „Nie wiem, o kim pan mówi. Jest tylko jedna królowa Neapolu<sup>96</sup>, która jest wspaniała, choć nie ma powozu. Ale ze swego omnibusu gasi wszystkie ekwipaże<sup>97</sup> i padłoby się na kolana w proch, widząc ją przejeżdżającą”.

— Zapiszę ten wachlarz do muzeum — ciągnął. — Na razie trzeba go będzie jej odwiedzić, żeby się nie musiała rujnować na fiakra, posyłając po to. Najinteligentniejsze, zważywszy historyczną wartość przedmiotu, byłoby skraćć ten wachlarz. Ale to by jej zrobiło różnicę, bo wielce prawdopodobne jest, że nie ma innego! — dodał, parskając śmiechem. — Słowem, widzi pani, że dla mnie przyszła. I nie jest to jedyny cud, jaki sprawiłem. Nie sądzę, aby ktokolwiek dziś miał moc poruszenia ludzi, których ja ściągnąłem. Zresztą trzeba każdemu oddać co mu się należy: Charlie i inni grali jak bogowie. I pani, droga gosposiu — dodał łaskawie — miała pani swoją cząstkę w tej fecie. Pani nazwisko nie będzie jej obce. Historia zapamiętała imię pafia, który uzbroił Joannę d'Arc, kiedy szła walczyć; w sumie posłużyła pani jako łącznik, ułatwiła pani fuzję między muzyką Vinteuilą a jego genialnym wykonawcą; miała pani ten zmysł, aby zrozumieć kapitalną wagę całego łańcucha okoliczności, który miał pozwolić wykonawcy skorzystać z autorytetu człowieka możnego (gdyby nie chodziło o mnie, powiedziałbym: opatrnościowego), do którego tak mądrze zwróciła się pani z prośbą o zapewnienie prestiżu temu zebraniu, o dostarczenie skrzypcom Morela uszu bezpośrednio połączonych z najautorytatywniejszymi językami; nie, nie, to nie jest nic! Nie ma żadnego „nic” w tak doskonałej realizacji. Wszystko się tu łączy. Stara Duras była bajeczna. Słowem, wszystko; i dlatego — zakończył baron, bo lubił karcic — nie pozwoliłem pani zaprosić figur wnoszących rozdźwięk; te figury, wobec decydujących osób, które ja tu ściągnąłem, grałyby rolę przecinków w cyfrze<sup>98</sup>, sprowadzając inne do roli prostych dziesiętnych. Mam bardzo ścisłe poczucie takich rzeczy. Rozumie pani, trzeba unikać gaf, kiedy wydajemy uroczystość, która ma być godna Vinteuilą, jego genialnego odtwórcy, pani i — śmiem powiedzieć — mnie. Wystarczyłoby, żeby pani zaprosiła taką Molé, a wszystko byłoby spaćkane. To byłaby kropelka neutralizująca, sprawiająca, że lek nie działa. Elektryczność byłaby

<sup>94</sup>Wachlarz, który (...) który pani de Metternich złamała, kiedy wygwizdano Wagnera — paryska premiera opery *Tannhäuser* Wagnera (13 marca 1861) spotkała się z sykami i gwizdami; obecna na przedstawieniu słynna z urody i elegancji bywalczyń salonów Wiednia i Paryża, propagatorka muzyki Wagnera, księżniczka Paulina von Metternich, wściekła na reakcję publiczności, uderzyła wachlarzem o balustradę łoża z taką siłą, że go złamała. [przypis edytorski]

<sup>95</sup>księżna Murat — potomkini napoleońskiego marszałka Joachima Murata i Karoliny Bonaparte, najmłodszej siostry Napoleona I; Napoleon I Bonaparte w 1808 nadał Joachimowi Muratowi królestwo Neapolu (z formalnym tytułem króla Neapolu i Sycylii, mimo że nie kontrolował Sycylii); zostało ono utracone w 1815, wraz ze śmiercią Murata, na rzecz jego rywala, Ferdynanda I Burbona, pierwszego z dynastii Burbonów Sycylijskich, rządzących zjednoczonym Królestwem Obojga Sycylii (tj. Sycylii i Neapolu) aż do jego włączenia do zjednoczonych Włoch (1861); potomkowie Murata zaliczani są do najwyższej arystokracji francuskiej. [przypis edytorski]

<sup>96</sup>królowa Neapolu — Maria Zofia Bawarska (1841–1925), bawarska księżniczka, żona Franciszka II, ostatniego króla (od 1859) Królestwa Obojga Sycylii, włączonego w 1861 do Królestwa Włoch. [przypis edytorski]

<sup>97</sup>ekwipaż (daw.) — lekki, luksusowy pojazd konny. [przypis edytorski]

<sup>98</sup>cyfra (daw.) — liczba, wielkość liczbowa; dziś popr.: pojedynczy znak pisarski służący do zapisywania liczb. [przypis edytorski]



zgasła, ptifury nie przyszyby na czas, oranżada przyprawiłaby wszystkich o biegunkę. To była osoba przeciwwskazana. Na samo jej nazwisko, jak w feerii, mosiądz nie wydalby żadnego dźwięku, flet i klarnet ochryphyby nagle. Sam Morel, gdyby nawet zdołał wziąć kilka tonów, nie utrzymałby się w takcie i w miejscu septetu Vinteuila miałyby pani jego parodię *à la Beckmesser*<sup>99</sup>, kończącą się pośród gwizdów. Ja, który bardzo wierzę we flidy osób, wybornie odczułem w rozkwicie pewnego *largo*<sup>100</sup>, otwierającego się jak kwiat, w pełni szczęśliwego finału, który był nie tylko radosny, ale nieporównanie radosny, że nieobecność pani Molé pobudzała muzyków i wzdymała radością nawet instrumenty. Zresztą w dniu, kiedy się przyjmuje monarchów, nie zaprasza się stróżki.

Nazywając ją — jak aktorkę — „la Molé”<sup>101</sup> (jak mówił zresztą z całą sympatią „la Duras”), pan de Charlus oddawał owej damie sprawiedliwość. Bo wszystkie te kobiety to były światowe aktorki. Zarazem faktem jest, że nawet z tego punktu widzenia hrabina Molé nie dorównywała reputacji intelektualnej, jaką jej robiono, co przywodziło na myśl owych miernych aktorów lub powieściopisarzy, którzy w pewnych epokach odgrywają rolę geniuszów dzięki mierności kolegów, wśród których nie ma wielkiego artysty, zdolnego pokazać, co jest prawdziwy talent, lub dzięki lichemu smakowi publiczności, która, choćby nawet znalazła się wspaniała indywidualność, nie umiała jej zrozumieć i ocenić. Co się tyczy pani Molé, lepiej zostać przy pierwszym wytłumaczeniu, mimo iż nie jest całkiem ściśle. Ponieważ „świat” jest królestwem nicości, między wartościami światowych dam istnieją jedynie nieznaczne stopnie, wzrastające obłądnie jedynie od uraz lub urojen pana de Charlus. I z pewnością, jeżeli baron mówił tak w owym języku będącym pretensjonalną mieszaniną rzeczy świata i sztuki, to dlatego, że jego babskie gniewy i kultura światowca dostarczały prawdziwej wymowie pana de Charlus jedynie błahych tematów. Ponieważ świat różnic nie istnieje na powierzchni ziemi, w żadnej z krain ujednostajnionych naszym poznaniem, tym bardziej nie istnieje on w „świecie”. Czy istnieje zresztą gdziekolwiek? Septet Vinteuila zdawał się mówić, że tak. Ale gdzie?

Ponieważ pan de Charlus lubił także powtarzać coś jednemu o drugim, starając się ludzi skłócić, dzielić, aby panować, dodał:

— Nie zapraszając jejmość pani Molé, odebrała jej pani sposobność do mówienia: „Nie wiem, czemu ta Verdurin mnie zaprosiła. Nie wiem, co to są za figury, nie znam ich”. Powiedziała już w zeszłym roku, że ją pani nuży swoim nadskakiwaniem. To gęś, niech jej już pani nie zaprasza. W sumie ta damulka to nic nadzwyczajnego. Może bywać u pani, nie robiąc ceregieli, skoro ja bywam. W rezultacie — zakończył baron — sędzę, że mi pani może podziękować; tak jak było, było doskonale. Oriana de Guermantes nie przyszła, ale nie wiadomo, może to i lepiej. Nie będziemy mieli do niej pretensji; i tak pomyślimy o niej na drugi raz, zresztą nie można o niej nie pamiętać, same jej oczy mówią nam: „Nie zapominaj o mnie, bo to są dwie niezapominajki”.

A ja myślałem mimo woli, jak bardzo „duch Guermantów” — kaprys pójścia lub niepójścia do kogoś — był mocny, skoro przeważał u księżnej obawę przed Palamedem.

— Wobec takiego sukcesu — ciągnął — jest się skłonny, jak Bernardin de Saint-Pierre<sup>102</sup>, wszędzie widzieć rękę Opatrzności. Księżna de Duras była zachwycona. Poleciała mi nawet powiedzieć to pani — dodał pan de Charlus z naciskiem, tak jakby pani Verdurin miała to uznać za wystarczający zaszczyt. Wystarczający a nawet trudny do uwierzenia, bo baron uważał za potrzebne dodać: „Ależ tak!”, uniesiony szaleństwem ludzi, których Jowisz chce zgubić. — Zaprosiła Morela do siebie, gdzie ma być ten sam program; zamierzam nawet poprosić o zaproszenie dla pana Verdurin.

<sup>99</sup>*à la Beckmesser* (fr.) — w stylu Beckmessera; *Beckmesser*: postać z opery Wagnera *Śpiewacy norymberscy* (1868): pedantyczny pisarz miejski, który staje do rywalizacji w konkursie śpiewaczym o rękę córki złotnika, krytykuje błędy w nowatorskim śpiewie konkurenta, ale później w swojej serenadzie sam popełnia szereg rażących błędów. [przypis edytorski]

<sup>100</sup>*largo* (wł.: szeroko; muz.) — tempo bardzo wolne; także: utwór lub część wykonywana w takim tempie. [przypis edytorski]

<sup>101</sup>*la Molé* (fr.) — ta Molé; w języku francuskim rodzajnikiem określonym *la* poprzedza się rzeczowniki określające osoby lub przedmioty już znane, w szczególności te, które są jedyne w swoim rodzaju. [przypis edytorski]

<sup>102</sup>*Bernardin de Saint-Pierre, Jacques Henri* (1737–1814) — francuski pisarz, podróżnik, przyrodnik, uczeń i przyjaciel Jana Jakuba Rousseau. [przypis edytorski]

Ta grzeczność dla samego męża była, czego pan de Charlus zupełnie nie odczuwał, najkrwawszą zniewagą dla małżonki, która czując się w prawie (na zasadzie rodzaju „dekretu moskiewskiego Komедii Francuskiej” obowiązującego w jej „kłanie”) zabronić grania gdziekolwiek bez jej wyraźnego zezwolenia, zdecydowana była zakazać Morelowi udziału w wieczorze księżnej de Duras.

Rozprawiając z taką swadą, pan de Charlus już tym samym drażnił panią Verdurin, która nie lubiła żadnych wyłomów w swojej „paczce”. Ilekroć, już w La Raspelière, słysząc jak pan de Charlus, zamiast poprzestać na swoim udziale w harmonijnym zespole „klanu”, wciąż rozmawia z Morelem, wykrzyknęła, pokazując barona: „Ależ ten się dolewa! Ależ się dolewa!”. Ale tym razem to było o wiele gorzej. Upojony własnymi słowami, pan de Charlus nie rozumiał, że uszczuplając rolę pani Verdurin i zakreślając jej ciasne granice, rozpętywał uczucie nienawiści, które było u niej jedynie swoistą formą, socjalną formą zawiści. Pani Verdurin naprawdę lubiła swoich stałych gości, swoich „wiernych”, chciała, aby byli całkowicie oddani swojej „pryncypalce”. Robiąc pewne ustępstwa, jak owi zazdrośnicy, którzy pozwalają, aby ich oszukiwano, ale pod ich dachem, a nawet w ich oczach (to znaczy, aby ich nie oszukiwano), pozwalała mężczyznom mieć kochankę, nawet kochanka, pod warunkiem, żeby to wszystko nie wychodziło poza jej dom, żeby się zawiązywało i trwało w cieniu „śródo”. Ukradkowe chichoty Odety ze Swannem kąsały niegdyś jej serce, jak od pewnego czasu *aparté*<sup>103</sup> barona z Morelem; w troskach swoich znajdowała tylko jedną pociechę, mianowicie niweczyć szczęście drugich. Nie mogłaby długo znieść szczęścia barona. I oto ten, niebaczny, przyspieszał katastrofę, chcąc najwyraźniej uszczuplić miejsce „pryncypalki” w jej „kłanie”! Już widziała Morela bywającego w świecie bez niej pod egidą barona. Było na to tylko jedno lekarstwo: kazać skrzypkowi wybierać między baronem a nią i korzystając ze swego wpływu na Morela, dowieść mu nadzwyczajnej przenikliwości dzięki raportom, które pani Verdurin kazała sobie sporządzać, i dzięki kłamstwom, które wymyślała. I jedno, i drugie miało wpłynąć na poparcie tego, w co sam Morel skłonny był wierzyć i o czym miał się dowodnie przekonać dzięki pułapkom, które pani Verdurin umiała zastawiać i w które naiwni wpadali: w ten sposób zamierzała osiągnąć to, żeby wybrał raczej ją niż barona. Co się tyczy światowych dam, które będąc w jej domu, nawet nie raczyły się przedstawić, pani Verdurin, zrozumiawszy ich wahania lub ich bezceremonialność, rzekła:

— Och, już ja widzę, co to za gatunek; te stare zdziury to nie nasz interes, oglądają ten salon ostatni raz.

Bo raczej by umarła, niżby przyznała, że ktoś był dla niej nie dość uprzejmy.

— Ach, drogi generale — wykrzyknął nagle pan de Charlus, spostrzegłszy generała Deltour, sekretarza przy prezydenturze Republiki, który mógł mieć wielki wpływ na krzyż Legii dla Morela i który, zasięgnąwszy porady u Cottarda, wymykał się szybko: — Dobry wieczór, drogi i kochany przyjacielu! I co, w ten sposób pan się ulatnia, nie pożegnawszy się ze mną? — rzekł baron z dobrodusznym i pewnym siebie uśmiechem, bo wiedział, że zawsze każdy chętnie porozmawia z nim chwilę dłużej. Że zaś w tym stanie podniecenia sam zadawał dyszkantem pytania i sam na nie odpowiadał, baron ciągnął: — No i co, jest pan zadowolony? Nieprawdaż, to było bardzo piękne? Andante, co? Nikt nie napisał czegoś bardziej wzruszającego. Pytam się, czy ktoś potrafi wysłuchać tego bez łez. Kochany pan jest, że pan przyszedł, generale. Niech pan powie, dostałem dziś rano przemiły telegram od Froberville’a, który mi oznajmia, że trudności ze strony WielkiegoKancelerstwa są, jak się to mówi, wyrównane. — Głos pana de Charlus wznosił się dalej, równie ostry, równie odmienny od jego zwykłego głosu, jak głos przemawiającego z emfazą adwokata różni się od codziennej dykcji: wokalny objaw nerwowej euforii, z rodzaju tej, która w czasie obiadów księżnej wzbijała tak wysoko diapazon<sup>104</sup> głosu i spojrzenia pani de Guermantes.

— Miałem zamiar przesłać panu jutro słówko przez żołnierza, aby wyrazić mój entuzjazm, zanim miałbym go sposobność wysłowić osobiście, bo pan był taki otoczony! Poparcie Froberville’a jest nie do pogardzenia, ale ja ze swej strony mam przyrzeczenie ministra — rzekł general.

<sup>103</sup>*aparté* (fr.) — rozmowa na stronie, sam na sam. [przypis edytorski]

<sup>104</sup>*diapazon* — skala, rozpiętość głosu. [przypis edytorski]

— A, cudownie! Zresztą widział pan, podobny talent zasługuje chyba na to. Hoyos był zachwycony; nie mogłem mówić z ambasadorową, czy była kontenta? Ale któż by nie był, z wyjątkiem tych, co mają uszy do niesłyszenia, co nic nie szkodzi zresztą, z chwilą gdy mają języki do gadania.

Korzystając z tego, że baron oddalił się nieco z generałem, pani Verdurin dała znak Brichotowi. Nie wiedząc, co mu pani Verdurin powie, profesor chciał ją bawić i nie domyślając się, jakie mi zadaje cierpienie, rzekł:

— Baron jest uszczęśliwiony, że panna Vinteuil i jej przyjaciółka nie przyjechały. One go straszliwie gorszą. Oświadczył, że ich obyczaje są wprost skandaliczne. Nie wyobraża sobie pani, jaki baron jest wstydlivy i surowy na punkcie obyczajów.

Wbrew oczekiwaniu Brichota pani Verdurin nie uśmiechnęła się.

— Potworny jest — rzekła. — Niech go pan wyciągnie na papierosa, żeby mąż mógł zabrać bez wiedzy Charlusa jego Dulcyneę<sup>105</sup> i żeby mógł oświecić tego chłopca, w jaką przepaść się stacza.

Brichot wahał się nieco.

— Powiem panu — rzekła pani Verdurin, aby usunąć ostatnie skrupuły profesora — że ja się z tym paskudztwem nie czuję bezpieczna w domu. Wiem, że on miał brzydkie historie i że policja ma go na oku.

Że zaś pani Verdurin miała niejaki dar improwizacji, kiedy złość była jej natchnieniem, nie poprzestała na tym:

— Zdaje się — ciągnęła — że on już siedział. Tak, tak, mówiły mi to osoby dobrze poinformowane. Wiem zresztą przez kogoś, kto mieszka na tej ulicy co on, że nie ma się pojęcia, co za bandytów ten baron sprowadza do siebie.

A gdy Brichot, który często bywał u barona, protestował, pani Verdurin wykrzyknęła namiętnie:

— Ależ skoro ja ręczę za to! Skoro ja panu powiadam! — zwrot, którym starała się zazwyczaj podeprzeć twierdzenie rzucone trochę na oślep. — Zginie zamordowany dziś lub jutro, jak zresztą wszyscy mu podobni. Nie doczeka może nawet tego, bo jest w łapach niejakiego Jupiena, którego miał bezczelność mi przysłać, a który jest eks-galernikiem, wiem o tym, słyszy pan, tak, zupełnie pozytywnie. Trzyma Charlusa przez listy, które mają być czymś przerażającym. Wiem to od kogoś, kto je czytał; powiedział mi: „Słabo by się pani zrobiło, gdyby pani to ujrzała”. W ten sposób Jupien ma go w garści i wyciska z niego pieniędzy, ile zechce. Wolałabym tysiąc razy śmierć niż żyć pod takim strachem, w jakim żyje Charlus. W każdym razie, jeżeli rodzina Morela zdecyduje się wnieść przeciw niemu skargę, nie mam ochoty być oskarżona o współnictwo. Jeżeli Morel chce żyć tak dalej, niech się to dzieje na jego ryzyko, ja spełnię swój obowiązek. Cóż pan chce! To nie zawsze jest wesołe.

I już mile podniecona oczekiwaniem rozmowy, jaką mąż miał odbyć ze skrzypkiem, pani Verdurin rzekła do mnie:

— Niech się pan spyta Brichota, czy ja nie jestem dzielna przyjaciółka i czy się nie umiem poświęcać, aby ratować kamratów. — Robiła aluzję do okoliczności, w których w samą porę poróżniła profesora najpierw z jego praczką, potem z panią de Cambremer, z których to perypetii Brichot wyszedł prawie całkiem ślepym i jak mówiono, morfinistą.

— Przyjaciółka nieporównana, przenikliwa i dzielna — odparł uczony z naiwnym wzruszeniem. — Pani Verdurin nie dała mi zrobić wielkiego głupstwa — rzekł Brichot, kiedy „pryncypałka” odeszła. — Nie waha się ciąć w żywe ciało. Jest radykalistką, jak powiada nasz Cottard. Przyznaję jednak, iż myśl, że biedny baronek nie zna jeszcze ciosu, który go ma ugodzić, sprawia mi wielką przykrość. On po prostu oszalał dla tego chłopca. Jeśli się pani Verdurin powiedzie, ten człowiek będzie bardzo nieszczęśliwy. Nie jest zresztą pewne, czy się jej uda. Obawiam się, że potrafi jedynie zasiać nieporozumienie, które w końcu, nie rozdzielając barona z Morelem, poróżni ich obu z nią samą.

To zdarzało się często z panią Verdurin i „wiernymi”. Ale widoczne było, że nad potrzebą zachowania przyjaźni „wiernych” coraz bardziej dominowała w niej potrzeba, żeby tej przyjaźni nie zagrażała wzajemna ich przyjaźń między sobą. Homoseksualizm nie raził

<sup>105</sup> *Dulcynea* — ukochna Don Kichota, wymaglinowana księżniczka, w rzeczywistości wiejska dziewczyna o imieniu Aldona Lorenzo. [przypis edytorski]

pani Verdurin, póki nie tykał prawowierności; ale jak Kościół, tak i pani Verdurin wolała wszystkie ofiary od ustępstw na punkcie prawowierności. Zaczynałem się obawiać, iż jej irytacja na mnie może pochodzić stąd, że ja nie pozwoliłem Albertynie wybrać się do niej tego dnia; bałem się również, żeby nie podjęła później na Albertynie (o ile się to już nie zaczęło) tej samej operacji celem rozdzielenia jej ze mną, jaką jej mąż miał podjąć na muzyku odnośnie do Charlusa.

— Nie, niech pan wyciągnie Charlusa, niech pan znajdzie jakiś pretekst, już czas — rzekła pani Verdurin — a zwłaszcza niech mu pan nie da wracać, zanim po was poślę. A! Co za wieczór — dodała pani Verdurin, zdradzając tym prawdziwą przyczynę swojej wściekłości. — Produkować arcydzieło wobec tych tłumoków. Nie mówię o królowej Neapolu, ta jest inteligentna i miła kobieta — czytaj: „była miła dla mnie”. — Ale inne! Och, to się można wścieć! Cóż chcecie, nie mam już dwudziestu lat. Kiedy byłam młoda, mówiono mi, że trzeba się umieć nudzić; przymuszałam się, ale teraz, och, nie, to ponad moje siły; jestem w tym wieku, żeby robić to, co chcę, życie jest za krótkie; nudzić się, żyć z głupcami, robić minę, że się ich ma za inteligentnych, och, nie, nie mogę. No, prędzej, Brichot, nie ma czasu do stracenia.

— Idę, idę — rzekł w końcu Brichot, gdy generał Deltour się oddalał.

Ale najpierw uczony wziął mnie na chwilę na bok.

— Obowiązek moralny — rzekł — jest mniej jasnym imperatywem, niż tego uczył nasi etycy. Niech się z tym pogodzą kawiarnie teozoficzne<sup>106</sup> i piwiarnie kantowskie: rozpaczliwie nie znamy istoty Dobra. Ja sam, który, bez przechwałki, skomentowałem dla swoich uczniów, w świętej niewinności, filozofię rzeczonoego Imanuela Kanta<sup>107</sup>, nie widzę żadnego ścisłego wskazania na *casus*<sup>108</sup> światowej kazuistyki<sup>109</sup>, wobec którego się znajduję, w tej *Krytyce praktycznego rozumu*, w której wielki renegat protestantyzmu platonizował germańską modą dla prehistorycznie sentymentalnych i aulicznych<sup>110</sup> Niemiec, w rezultacie *ad usum*<sup>111</sup> pomorskiego mistycyzmu. To jeszcze wciąż platońska *Uczta*, ale tym razem z Koenigsbergu, z tamtejszą niestrawną kuchnią, z kapustą, a bez żigolaków. Z jednej strony oczywiste jest, że nie mogę odmówić naszej przezacnej gospodyni tej drobnej przysługi; przysługi całkowicie zresztą zgodnej z tradycyjną moralnością. Przede wszystkim trzeba unikać mamienia się słowami, bo mało jest rzeczy, które by więcej płodziły głupstw. Ale wreszcie powiedzmy szczerze, że gdyby matki rodzin miały prawo głosowania, baronowi groziłoby nieuchronnie to, że byłby zbalotowany<sup>112</sup> jako nauczyciel cnoty. Na nieszczęście, on idzie ze swoim powołaniem pedagoga z temperamentem rozpustnika; zważ pan, ja nie mówię nic złego o baronie; ten luby człowiek, który umie krajać pieczone jak nikt, posiada obok geniuszu anatemy<sup>113</sup> skarby dobroci. Umie być zabawny jak pajac wysokiej klasy, podczas gdy z niejednym z kolegów-akademików, z przeproszeniem, nudzę się, jakby powiedział Ksenofont<sup>114</sup>, po sto drachm<sup>115</sup> za godzinę.

<sup>106</sup>teozofia (z gr. *theos*: bóg i *sophia*: mądrość) — światopogląd łączący w sobie różne idee wywodzące się z neoplatonizmu i buddyzmu: wiarę w bezosobowy, wieczny Absolut, kosmos będący jego emanacją, we wszechobecną świadomość (panteizm), w karwę (odpowiedzialność każdej istoty za własne czyny, których skutki oddziałują na następne wcielenie), reinkarnację (drogę wcieleń duszy od stadiów roślinnych, poprzez zwierzęce do ludzkiego), ewolucję wszechświata, w tym również ludzi, w kierunku doskonałości i zjednoczenia z absolutem. Takie poglądy religijno-filozoficzne propagowało założone w 1875 r. w Nowym Yorku przez Helenę Bławatską Towarzystwo Teozoficzne. [przypis edytorski]

<sup>107</sup>Kant, Immanuel (1724–1804) — niemiecki filozof oświeceniowy, twórca rewolucyjnej doktryny filozofii krytycznej, czołowa postać nowożytnego filozofii, profesor logiki i metafizyki na uniwersytecie w Królewcu (Koenigsbergu). Tu mowa o tzw. imperatywie kategorycznej, sformułowanej przez niego naczelną, uniwersalną bez względu na wiarę lub niewiarę zasadzie etycznej: „Postępuj zawsze tylko według takich zasad, co do których chciałbyś, aby były prawem powszechnym”. Kant zaproponował ją w dziele *Uzasadnienie metafizyki moralności* (1785) i rozwinął w *Krytyce praktycznego rozumu* (1788). [przypis edytorski]

<sup>108</sup>casus (łac.) — przypadek. [przypis edytorski]

<sup>109</sup>kazuistyka — drobiazgowo rozważanie szczegółowych problemów, najczęściej moralnych lub prawnych, poprzez podciąganie ich pod zasady ogólne. [przypis edytorski]

<sup>110</sup>auliczny (daw., rzad.) — dworski. [przypis edytorski]

<sup>111</sup>ad usum (łac.) — na użytek. [przypis edytorski]

<sup>112</sup>balotować (daw.) — tajnie głosować za pomocą kartek albo białych i czarnych galek; *zbalotowany*: odrzucony w wyniku tajnego głosowania. [przypis edytorski]

<sup>113</sup>anatemą — oficjalne potępienie, kłątwa, wykluczenie ze społeczności. [przypis edytorski]

<sup>114</sup>Ksenofont z Aten (ok. 430–ok. 355 p.n.e.) — grecki pisarz i historyk, żołnierz najemny, uczeń Sokratesa. [przypis edytorski]

<sup>115</sup>drachma — starożytna grecka moneta, na ogół srebrna. [przypis edytorski]

Ale boję się, że on wydaje na Morela nieco więcej tych drachm, niż zdrowa moralność zaleca. Nawet nie wiedząc ściśle, w jakiej mierze młody penitent okazuje się powolny lub oporny specjalnym ćwiczeniom, jakimi go chce umartwić jego katecheta, nie potrzeba być wielkim duchownym, aby wiedzieć, że grzeszylibyśmy, jak powiadają, zbytnią łagodnością w stosunku do tego różokrzyżowca<sup>116</sup> (który wiecie się pono od Petroniusza via Saint-Simon), gdybyśmy mu z zamkniętymi oczami udzielili po formie<sup>117</sup> zezwolenia na satanizowanie do woli. Pani Verdurin, dla dobra grzesznika i słusznie płonąć żądzą dokonania kuracji, zamierza, uświadamiając bez ogródek młodego narwańca, odjąć baronkowi wszystko, co baronek kocha, zadać mu może ostateczny cios. Otóż zabawiając tego człowieka, mam wrażenie, że go ściągam, jakby ktoś rzekł, w zasadzkę. I sam nie wiem czemu, wzdrygam się przed tym niby przed podłością.

To rzekłszy, profesor nie zawahał się popełnić tej podłości, biorąc barona pod ramię:

— No, baronie, chodźmy zapalić papierosa; nasz młody człowiek nie zna jeszcze wszystkich cudów tego przybytku.

Wymówiłem się, powiadając, że muszę wracać.

— Jeszcze chwilę — rzekł Brichot. — Ma mnie pan przecie odwiedzić, nie zapomniałem pańskiej obietnicy.

— Czy doprawdy nie chce pan, żebym kazał dla pana wyjąć srebra? Nie ma nic prostszego — rzekł do mnie pan de Charlus. — Ale, ale, pamięta pan, ani słowa Morelowi o sprawie Legii. Chcę mu zrobić niespodziankę, oznajmić mu to z chwilą, kiedy się goście trochę rozejdą. On powiada, że to nie jest ważne dla artysty, ale że jego wuj pragnie tego — Zacerwieniłem się, bo pomyślałem, że Verdurinowie wiedzą przez mojego dziadka, kim jest wuj Morela. — No, nie chce pan, żebym dla pana kazał wydobyć najpiękniejszą sztukę? — rzekł baron. — Zresztą zna je pan, widział je pan dziesięć razy w La Raspeliere.

Nie śmiałem rzec, że jeżeli coś mogłoby mnie interesować, to nie banalność mieszczkańskiego srebra, choćby najbogatszego, ale jakiś okaz, bodaj na pięknym sztychu, srebro pani du Barry<sup>118</sup>. Byłem zanadto wzruszony, a choćbym nawet nie był przejęty rewelacją tycząca przybycia panny Vinteuil, zawsze byłem w świecie o wiele zbyt roztargniony i podniecony, aby móc zwrócić uwagę na mniej lub więcej ładne przedmioty. Mogłoby tę uwagę przykuć jedynie wołanie jakiejś rzeczywistości zwracającej się do mojej wyobraźni; mógłby to na przykład uczynić tego wieczora widok owej Wenecji, o której tyle myślałem po południu, lub jakiś ogólny współczynnik wspólny wielu zjawiskom, a prawdziwszy od nich, który sam z siebie zawsze budził we mnie wewnętrzny, a zazwyczaj uspiętego ducha, ale którego wyłonienie się na powierzchnię mojej świadomości sprawiało mi wielką radość. Otóż kiedy wychodziłem z salonu zwanego salą teatralną i mijałem z Brichotem oraz z panem de Charlus dalsze salony, odnajdując pośród innych niektóre meble oglądane obojętnie w La Raspeliere, spostrzegłem pomiędzy urządzeniem tego domu a urządzeniem posiadłości wiejskiej jakieś rodzinne powinowactwo, ciągłość. I zrozumiałem Brichota, który mówił z uśmiechem:

— O, widzi pan tę głąb salonu, to może bodaj panu dać pojęcie o salonie z ulicy Montalivet sprzed dwudziestu pięciu lat.

Z jego uśmiechu poświęconego zmarłemu salonowi, który oglądał w myśli, rozumiałem, że tym, co Brichot, może nie zdając sobie z tego sprawy, cenił w dawnym salonie — bardziej niż wielkie okna, niż wesołą młodość „pryncypałów” i ich „wiernych” — była owa nierealna część (którą ja sam wydobywałem z pewnych podobieństw między La Raspeliere a Quai Conti), której część zewnętrzna, aktualna, dostępna kontroli wszystkich jest w salonie, jak we wszystkim, jedynie przedłużeniem; to była owa cząstka czysto duchowa, o kolorze istniejącym już tylko dla mego starego towarzysza, ta, której mi nie mógł pokazać; cząstka, która się oderwała od zewnętrznego świata, aby się schronić

<sup>116</sup>*różokrzyżowcy* — ruch duchowy i kulturowy powstały w Europie na pocz. XVII wieku, po opublikowaniu kilku tekstów, które ogłaszały istnienie tajnego bractwa, wtajemniczonego w wiedzę ezoteryczną; różokrzyżowcy działali we Francji, Niemczech i Anglii, nawiązywali do kabały, alchemii i chrześcijańskiego mistycyzmu; mieli znaczący wpływ na wolnomularstwo. [przypis edytorski]

<sup>117</sup>*po formie* (daw. rusycyzm) — zgodnie z formą, tj. z przepisami lub z przyjętym sposobem zachowania się; przepisowo. [przypis edytorski]

<sup>118</sup>*pani du Barry*, właśc. *Jeanne Becu*, *hrabina du Barry* (1743–1793) — francuska kurtyzana, metresa (oficjalna kochanka) króla Ludwika XV. [przypis edytorski]

w naszą duszę, dając jej jakąś nadwartość; zasymilowana z jej zwykłą substancją, zmieniając się w niej — zburzone domy, dawni ludzie, kłosze z owocami przy kolacjach, które sobie przypominamy — w przezroczysty alabaster naszych wspomnień, którego koloru niezdolni jesteśmy oddać, który my jedni widzimy, co nam pozwala, mówiąc o minionych rzeczach, powiedzieć komuś szczerze, że nie może mieć o nich pojęcia, że to nie jest podobne do tego, co widział. I to sprawia, że nie możemy oglądać w sobie samych bez pewnego wzruszenia odbłasku lamp, które zgasły, i zapachu grządek, które już nie zakwitną. Wzrusza nas myśl, że jedynie od istnienia naszej pamięci zależy na jakiś czas jeszcze ich przetrwanie. I przez to niewątpliwie salon z ulicy Montalivet psuł w oczach Brichota obecną rezydencję Verdurinów. Ale z drugiej strony dawał jej w oczach profesora piękno, którego nie mogła mieć dla nowego przybysza. Niektóre stare meble, które ja sam pamiętałem z La Raspelière, wstawione tutaj, czasem ustawione w ten sam sposób, wcielały w obecnym salonie części dawnego, odtwarzając go chwilami aż do halucynacji; a potem zdawały się prawie nierealne, tak bardzo w otaczającej rzeczywistości wskrzeszały fragmenty zniweczonego świata, jak gdyby oglądanego już gdzie indziej. Wyłoniła z marzenia kanapa między nowymi i bardzo realnymi fotelami, krzeselka obite różowym jedwabiem, wzorzysta kapa na stoliku do gry wyniesionym do godności osoby, od czasu jak — niby osoba — miała przeszłość, pamięć, w zimnym cieniu Quai Conti zachowując ogorzałość od słońca jeszcze z ulicy Montalivet (słońca, którego godziny stolik ów znał równie dobrze jak sama pani Verdurin), i przez oszklone drzwi w Denville, dokąd go zawieziono i skąd patrzył cały dzień poprzez kwitnący ogród na głęboką dolinę, oczekując godziny, kiedy Cottard i flecista utną na nim partyjkę; bukiet fiołków i bratków malowany pastelami, dar wielkiego artysty i nieżyjącego już przyjaciela, jedyny pozostały fragment życia, które znikło, nie zostawiając śladów, fragment streszczający wielki talent i długą przyjaźń, przypominający jego uważne i łagodne spojrzenie, jego piękną pulchną i smutną rękę, w czasie gdy malował; chaotyczny i miły bezład podarków „wiernych”, które towarzysząc wszędzie pani domu, nabrały w końcu niemal właściwości charakteru, linii losu; obfitość bukietów, pudeł z czekoladkami, systematyzująca tu jak i tam swój rozkwit w identycznym porządku botanicznym; ciekawy chaos osobliwych i zbytecznych przedmiotów, dotąd robiących wrażenie, że wyszły z pudełka, w którym je ofiarowano, i pozostających całe życie tym, czym były zrazu: noworocznymi podarkami; słowem, wszystkie te przedmioty, których nie dałoby się odróżnić od innych, ale które dla Brichota, starego uczestnika zabaw u Verdurinów, miały ową patynę, ów połysk rzeczy, z którymi łączy się ich duchowy dublet, dając im rodzaj głębi; wszystko to kłębiło się dokoła niego i śpiewało mu niby dźwięczne klawisze, budzące w jego sercu drogie podobieństwa, mgliste wspomnienia, które w upstrzonym nimi obecnym salonie wycinały, obrysowywały meble i dywany, tak jak to robi w piękny dzień słoneczna rama tworząca wycinki światła w powietrzu, i ścigając pewną ideę od poduszki do wazonu, od taboretu do resztek jakiegoś zapachu, od pewnego sposobu oświetlenia do jakiejś przewagi kolorów, rzeźbiły, wywoływały, uduchowiały, powoływały do życia formę, która była niby idealną fizjonomią salonu Verdurinów wrosniętą w ich kolejne siedziby.

— Spróbujemy — szepnął Brichot — ściągnąć barona na jego ulubiony temat. Wspaniały jest wtedy.

Z jednej strony pragnąłem uzyskać od pana de Charlus wskazówki dotyczące panny Vinteuil i jej przyjaciółki; z drugiej nie chciałem zostawiać Albertyny zbyt długo samej. Nie dlatego, żeby mogła zrobić zły użytek w tej swobody (nie mogła wiedzieć, kiedy wrócę, zresztą o tej porze wizyta u niej lub wyjście z domu byłyby zbyt rażące), ale żeby się jej moja nieobecność zbyt długo nie dłużyła. Toteż oświadczyłem profesorowi i panu de Charlus, że nie mam wiele czasu.

— Chodź pan i tak — rzekł pan de Charlus, już raczej przygaszony, ale czujący potrzebę przedłużania, przeciągania rozmowy. Ten sam rys zauważyłem już, tak samo jak u barona, u księżnej Oriany; rys ów, szczególnie właściwy tej rodzinie, przejawia się na ogół u wszystkich tych, co wyżywając się intelektualnie jedynie w rozmowie, to znaczy wyżywając się niecałkowicie, czują się niezaspokojeni nawet po kilku godzinach spędzonych razem i coraz to chciwiej czepiają się wyczerpanego partnera, mylnie żądając od niego nasycenia, którego uciechy towarzyskie dać nie mogą.

— Chodź pan — dodał baron — to jest najprzyjemniejszy moment zabawy, chwila, kiedy goście poszli, moment donii Sol<sup>119</sup>; miejmy nadzieję, że się zakończy mniej smutno. Szkoda, że pan się spieszy, prawdopodobnie do rzeczy, których lepiej by ci było nie robić. Wszyscy się dziś spieszą: ludzie odchodzą w momencie, gdy powinno by się przychodzić. Jesteśmy tu jak filozofowie Couture'a<sup>120</sup>; to byłby moment na zrekapitulowanie wieczoru, na to, co w stylu wojskowym nazywa się krytyką operacji. Poprosiłoby się pani Verdurin, żeby nam tu kazała podać kolacyjkę, na którą postaralibyśmy się jej nie zaprosić, po czym Charlie — wciąż *Hernani!* — zagrałby dla nas samych boskie adagio<sup>121</sup>. Jakież to cudowne, to adagio! Ale gdzie nasz młody skrzypek? Chciałbym mu przecie powinszować, to jest chwila rozczulen i uścisków. Przyznaj, profesorze, że grali jak bogowie, zwłaszcza Morel. Czy pan uważał chwilę, kiedy mu pukiel opada? Och! W takim razie, kochasiu, niceś<sup>122</sup> pan nie widział. Miał *fis*, od którego zdechliby z zazdrości Enesco, Capet i Thibaut<sup>123</sup>; jestem człowiek spokojny, ale przy tym tonie serce mi się ścisnęło tak, że ledwo mogłem wstrzymać łkanie. Sala dygotała; Brichot, drogi Brichot — wykrzyknął baron, potrząsając gwałtownie uczonym — to było boskie. Jedynie młody Charlie był nieruchomy jak głaz; nie widziało się nawet, żeby oddychał; robił wrażenie, że jest jak owe rzeczy z nieożywionego świata, o których mówi Teodor Rousseau<sup>124</sup>; które każą myśleć, ale nie myślą same. I naraz, nagle — wykrzyknął pan de Charlus z emfazą, zgrywając się jak w teatrze — naraz... pukiel! I przez ten czas, wdzięczny kontredans<sup>125</sup>, *allegro vivace*<sup>126</sup>. Wiesz pan, ten pukiel był niby znak objawienia, nawet dla najtępszych. Księżna Taorminy, głucha do tej chwili (bo nie ma cięższej głuchych, niż ci co mają uszy do niesłyszenia), księżna Taorminy wobec oczywistości cudownego pukla zrozumiała, że to jest muzyka i że nie będzie się grało w pokera. Och! To była chwila bardzo uroczysta.

— Daruję pan, że mu przerwę — rzekłem, aby sprowadzić pana de Charlus na przedmiot, który mnie zajmował — mówił pan, że córka autora miała przybyć. To by mnie bardzo interesowało. Czy pan jest pewien, że na nią liczone?

— Och! Nie wiem.

Pan de Charlus uległ tutaj, może bezwiednie, powszechnemu hasłu, które każe nie objaśniać zazdrośników, czy to aby się okazać idiotycznie „dobrym kolegą”, przez punkt honoru wobec tej, co budzi zazdrość (choćby się jej nie cierpiało), czy przez złośliwość wobec niej, odgadując, że zazdrość spotęgowałaby jedynie miłość, czy przez ową potrzebę robienia przykrości innym, polegającą na mówieniu prawdy wszystkim, ale na zamilczaniu jej zazdrośnikom (ile że niewiedza wzmaga ich męczarnie, a przynajmniej tak sobie wyobrażamy, w robieniu zaś przykrości innym kieruje się człowiek tym, co sam uważa, może mylnie, za najboleśniejsze).

— Wie pan — podjął baron — ten dom to jest po trosze świątynia przesady; przemili ludzie ci Verdurinowie, ale ostatecznie lubią zwabiać sławy takie czy inne. Ale pan mi jakoś nietęgo wygląda, zaziębi się pan jeszcze w tym wilgotnym pokoju — rzekł, podsuwając mi krzesło. — Skoro pan jest cierpiący, trzeba uważać, przyniosę panu futro. Nie, niech pan sam nie idzie, zabłąka się pan i gotów się pan zaziębić. Cóż za lekkomyślny człowiek, a nie ma pan przecie czterech lat, trzeba by panu starej niani jak ja, aby dbać o pana.

— Niech się pan nie deranżuje<sup>127</sup>, baronie, ja pójdę — rzekł Brichot, który się natychmiast oddalił; nie zdając sobie może ściśle sprawy z bardzo żywej przyjaźni pana de

<sup>119</sup>*donia Sol* — postać z przełomowego w historii literatury francuskiej dramatu Wiktora Hugo *Hernani*: ukochana tytułowego bohatera, która razem z nim popełnia samobójstwo. [przypis edytorski]

<sup>120</sup>*Couture, Thomas* (1815–1879) — francuski malarz, przedstawiciel akademizmu; znany szczególnie z obrazu *Rzymianie okresu upadku* (1847), który odniósł wielki sukces na wystawie w Salonie Paryskim. [przypis edytorski]

<sup>121</sup>*adagio* — utwór muzyczny w powolnym tempie. [przypis edytorski]

<sup>122</sup>*niceś pan nie widział* — konstrukcja z ruchomą końcówką czasownika; inaczej: nic pan nie widziałeś. [przypis edytorski]

<sup>123</sup>*Enesco, Capet i Thibaut* — znani skrzypkowie; *Enesco* (fr.), właśc. *George Enescu* (1881–1955): rumuński kompozytor, skrzypek i dyrygent, uważany za największego muzyka w historii Rumunii; *Lucien Capet* (1873–1928): francuski skrzypek i kompozytor; *Jacques Thibaud* (1880–1953): francuski skrzypek. [przypis edytorski]

<sup>124</sup>*Rousseau, Théodore* (1812–1867) — francuski malarz, autor malarstwa pejzażowego, zrywającego z akademicką tradycją pejzażu idealizowanego, inicjator i przywódca grupy tzw. barbizończyków. [przypis edytorski]

<sup>125</sup>*kontredans* — figurowy taniec towarzyski popularny we Francji pod koniec XVIII w. [przypis edytorski]

<sup>126</sup>*allegro vivace* (muz.) — w tempie bardzo szybkim. [przypis edytorski]

<sup>127</sup>*deranżować się* (daw., z fr.) — wytrącać się ze zwykłego trybu, przeszkadzać sobie, sprawiać sobie kłopot. [przypis edytorski]

Charlus dla mnie i z uroczych momentów serdeczności i prostoty, przegradzających jego oszalałe napady manii wielkości i manii prześladowczej, profesor bał się, że pan de Charlus, którego mu pani Verdurin powierzyła jako jeńca, zechce po prostu, pod pozorem mego palta, odszukać Morela i zniweczyć tym plan „pryncypalki”.

Tymczasem Ski usiadł do fortepianu, do którego nikt go nie zapraszał, i komponując sobie — za pomocą uśmiechniętego zmarszczenia brwi, spojrzenia w dal i lekkiego skrzywienia ust — wyraz, który uważał za „artystyczny”, nalegał na Morela, aby zagrał coś Bizeta<sup>128</sup>.

— Jak to, pan nie lubi tego, tej łobuzerskiej strony muzyki Bizeta? Ależ, drogi panie — mówił Ski z owym grasejowaniem<sup>129</sup> litery „r”, które mu było właściwe — to jest czarujące!

Morel, który nie lubił Bizeta, oznajmił to z przesadą, że zaś uchodził w „paczce”, rzecz doprawdy nie do wiary, za dowcipnego, Ski zaczął się śmiać, udając, że bierze okrzykiwanie się skrzypka za paradoks. Śmiech jego nie był, jak śmiech Verdurina, krztuszeniem się palacza. Ski przybierał najpierw sprytną minę, potem wydawał jakby mimo woli jeden ton, niby pierwszy dźwięk dzwonów; następowała cisza, w której filuterne spojrzenie rzeźbiarza zdawało się skrupulatnie badać zabawność tego, co ktoś powiedział; po czym wstrząsał powietrze drugi dzwon śmiechu, zmieniając się niebawem w wesołą sygnaturkę.

Wyraziłem panu de Charlus żal, że się Brichot trzusi.

— Ależ nie, on jest bardzo kontent, on pana bardzo kocha, wszyscy pana bardzo kochają. Mówiliśmy kiedyś o panu: „Nie widzi się go nigdzie, chowa się!”. Zresztą ten Brichot to taki zacny człowiek — ciągnął pan de Charlus, który widząc serdeczną szczerłość, z jaką się doń odnosił profesor Nauk Moralnych, nie domyślał się zapewne, że poza plecami Brichot używa sobie na nim. — To człowiek wielkiej wartości; mnóstwo wie, ale go to nie wysuszyło, nie zrobiło zeń szczura bibliotecznego jak tylu innych, których czuć atramentem. Zachował szerokość poglądów, tolerancję rzadką u jemu podobnych. Czasami widząc, jak on rozumie życie, jak umie każdemu oddać z wdziękiem, co mu się należy, człowiek myśli, gdzie taki zwykły belfrzyzna z Sorbony, eks-regent kolegium, mógł się tego wszystkiego nauczyć. Ja sam się dziwię.

Ja dziwiłem się bardziej, widząc, że rozmowa Brichota, który najmniej wybrednemu z gości Oriany wydałby się tak ciężki i głupi, przypadła do smaku najwybredniejszemu ze wszystkich, panu de Charlus. Ale nad tym rezultatem pracowały (obok innych wpływów, rozmaitych zresztą) wszystkie te, mocą których Swann z jednej strony tak długo czuł się dobrze w „paczce”, wówczas gdy był zakochany w Odecie, z drugiej zaś, ożeniwszy się, znajdował urok w pani Bontemps, która udając, że uwielbia państwa Swann, wysiadywała wciąż u pani, a rozkoszowała się anegdotami pana. Jak pisarz daje palmę inteligencji nie człowiekowi najinteligentniejszemu, ale *viveurowi* robiącemu śmiałą i wyrozumiałą uwagę o miłości — uwagę, która sprawia, że kochanka pisarza, sawantka<sup>130</sup>, godzi się z nim, że ze wszystkich, co u niej bywają, najmniej głupi jest jeszcze ten stary elegant, mający doświadczenie w sprawach serca — tak samo pan de Charlus za inteligentniejszego od innych przyjaciół uważał Brichota, który był nie tylko uprzejmy dla Morela, ale zbierał w tym duchu w greckich filozofach, w łacińskich poetach, we wschodnich opowieściach teksty strojące skłonności barona egzotyczną i uroczą poezją. Pan de Charlus doszedł wieku, w którym Wiktor Hugo lubi się otaczać zwłaszcza panami Vacquerie i Meurice<sup>131</sup>. Nad wszystko przekładał tych, którzy uznawali jego spojrzenie na życie.

— Widuję go często — dodał krzykliwym głosem, skandując wyrazy, przy czym żaden ruch warg nie ożywił jego poważnej i umęczonej maski, na którą z umysłu spuszczał swoje księżę powieki. — Chodzę na jego wykłady, atmosfera Quartier Latin<sup>132</sup> odmładza mnie, jest tam młodzież pracowita, myśląca, młodzi mieszczenie inteligentniejsi,

<sup>128</sup> *Bizet, Georges* (1838–1875) — francuski kompozytor, autor oper, muzyki symfonicznej i utworów fortepianowych; prekursor realizmu w operze XX w. [przypis edytorski]

<sup>129</sup> *grasejowanie* — wymawianie głoski „r” z charakterystyczną wibracją języzka. [przypis edytorski]

<sup>130</sup> *sawantka* (daw.) — kobieta wykształcona i wyemancypowana. [przypis edytorski]

<sup>131</sup> *Vacquerie* i *Meurice* — oddani wielbiciel Wiktora Hugo, młodsi od niego o 16–17 lat: *Auguste Vacquerie* (1819–1895): dziennikarz i pisarz; *Paul Meurice* (1818–1905): powieściopisarz i dramaturg. [przypis edytorski]

<sup>132</sup> *Quartier Latin* (fr.), *Dzielnica Łacińska* — dzielnica uniwersytecka Paryża, położona na lewym brzegu Sekwany; nazwa pochodzi od łaciny, języka używanego powszechnie na uniwersytetach aż do czasów Rewolucji francuskiej. [przypis edytorski]



wykształceńsi niż niegdyś, w innym środowisku, moi koledzy. To jest inna sfera, którą pan prawdopodobnie zna lepiej ode mnie, to jest młoda burżuazja — rzekł, wybijając to słowo, poprzedzone kilkakrotnym „b”, i podkreślając je przez nawyk wymowy, odpowiadający dawnemu swoistemu rozmiłowaniu barona w odcieniach, ale może i dlatego, żeby nie pominąć okazji zrobienia mi małej impertynencji.

Nie zmieniło to zresztą w niczym serdecznego współczucia, jakie budził we mnie pan de Charlus (od czasu jak pani Verdurin zdradziła przy mnie swój zamiar); ubawiło mnie to jedynie, a nie byłoby mnie uraziło nawet w innej okoliczności, kiedy bym nie czuł tyle sympatii do barona. Odziedziczyłem po babce osobliwy brak miłości własnej w stopniu, który łatwo mógłby trącić brakiem godności. Bez wątpienia nie bardzo zdawałem sobie z tego sprawę; słysząc za czasów szkolnych od najbardziej cenionych kolegów, że nie ścierpieliby, aby im ktoś uchybił, nie przebaczyliby niegrzeczności, wyrobiłem sobie w końcu w słowach i w czynach drugą naturę dosyć dumną. Uchodziłem nawet za nadmiernie dumnego, ponieważ nie będąc wcale tchórzem, łatwo miewałem pojedynki, których moralny prestiż sam zmniejszałem, drwiąc z nich sobie, co łatwo przekonywało, że były śmieszne. Ale natura, którą dławimy, i tak w nas mieszka. Do tego stopnia, że czasem kiedy czytamy nowe arcydzieło genialnego człowieka, odnajdujemy w nim z przyjemnością wszystkie własne refleksje, którymiśmy gardzili, wesołości i smutki, któreśmy dławili, cały zlekceważony przez nas świat uczuć, którego wartość odsłania nam nagle książka, gdzie go odnajdujemy. Z doświadczeń życia nauczyłem się w końcu, że kiedy sobie ktoś drwi ze mnie, źle jest uśmiechać się przyjaźnie i nie mieć doń o to urazy. Ale ten brak miłości własnej i pretensji, mimo iż przestałem go wyrażać aż do zatraty poczucia, że on we mnie istnieje, niemniej był pierwotnym elementem życiowym, w którym wzrosłem. Gniew i złość nawiedzały mnie w całkiem inny sposób, wściekłymi napadami. Co więcej, poczucie sprawiedliwości było mi obce — aż do zupełnego braku zmysłu moralnego. Byłem w głębi serca całkowicie po stronie tego, kto był słabszy i nieszczęśliwy. Nie miałem żadnego sądu o tym, w jakiej mierze stosunki Morela i pana de Charlus mogą być czymś złym lub dobrym; ale myśl o cierpieniach, jakie gotowano baronowi, była mi wręcz nieznośna. Byłbym go chciał ostrzec, nie wiedziałem jak to zrobić.

— Widok całego tego pracowitego światka bardzo ucieszny jest dla takiego starego pudła jak ja. Nie znam ich — dodał baron, zastrzegając się gestem, aby nie sprawiać wrażenia przechwałki, aby zaświadczyć o swojej czystości i nie podawać w wątpliwość czystości tych studentów — ale oni są bardzo uprzejmi, do tego stopnia, że czasem zatrzymują mi miejsce przez wzgląd na to, że jestem bardzo starym panem. Ale tak, drogi panie, niech pan nie przeczy, mam przeszło czterdzieści lat — rzekł baron, który przekroczył sześćdziesiątkę. — Trochę gorąco jest w sali, gdzie wyklada Brichot, ale to jest zawsze interesujące.

Mimo iż baron wolałby być wmieszany między młodzież szkolną, nawet popychany przez nią, czasem, aby mu oszczędzić długiego czekania, Brichot wprowadzał go z sobą. Jakkolwiek Brichot był w Sorbonie jak w domu, z chwilą gdy strojny łańcuchem pedel<sup>133</sup> szedł przed nim i kiedy on sam, uwielbiany mistrz, posuwał się w ciżbie młodzieży, nie mógł opanować pewnej nieśmiałości i mimo iż pragnąc skorzystać ze swojej powagi, aby zrobić grzeczność baronowi, był bądź co bądź trochę zażenowany; chcąc, by pedel przepuścił barona, mówił do pana de Charlus sztucznym i zaferowanym tonem: „Idzie pan za mną, baronie, znajdziemy panu miejsce”; po czym, nie zajmując się nim dłużej, kroczył rażno korytarzem do sali. Z obu stron kłaniał mu się podwójny szpaler młodych profesorów; Brichot, nie chcąc, aby się wydawało, że pozuje dla tych młodych ludzi, w których oczach czuł się Wielkim Mogołem<sup>134</sup>, przesyłał im tysiąc porozumiewawczych spojrzeń, życzliwych skinień, którym troska jego o to, aby zostać marsowym<sup>135</sup> i dobrym Francuzem, dawała wygląd jakiejś kordialnej<sup>136</sup> zachęty starego wiarusa, gdy powiada: „Kroćset bomb, potrafimy bić się do upadłego”. Potem wybuchaly oklaski uczniów. W tym, że pan de Charlus zachodził na wykład, Brichot znajdował czasem sposobność sprawienia

<sup>133</sup>pedel (daw.) — woźny, szczególnie w różnego rodzaju szkołach i zakładach naukowych. [przypis edytorski]

<sup>134</sup>Wielki Mogol — tytuł muzułmańskich władców pochodzenia turecko-mongolskiego, rządzących potężnym imperium w Indiach od XVI do XIX w. [przypis edytorski]

<sup>135</sup>marsowy — tu: żołnierski; od imienia Marsa, rzymskiego boga wojny. [przypis edytorski]

<sup>136</sup>kordialny (z łac.) — serdeczny. [przypis edytorski]

komuś przyjemności, uhonorowania kogoś. Powiadał na przykład jakiemuś krewniakowi lub któremuś z przyjaciół z miasta: „Gdyby to mogło zabawić pańską żonę lub córkę, uprzedzam pana, że baron de Charlus, książę d’Agrigente, potomek Kondeuszów<sup>137</sup>, będzie na moim wykładzie. To jest zawsze cenne wspomnienie widzieć jednego z ostatnich arystokratów, który zachował styl. Jeżeli panie zechcą przyjść, poznają go po tym, że będzie siedział obok mnie. Zresztą będzie tylko jeden taki, tęgi mężczyzna, siwe włosy, czarny wąs, medal wojskowy”.

„A, dziękuję panu” — powiadał ojciec. I aby nie urazić Brichota, mimo że żona była zajęta, wypędzał ją na ten wykład, podczas gdy młoda panna, zmęczona upałem i tłokiem, pożerała jednak oczami potomka Kondeuszów, dziwiąc się, że nie ma koronkowego kołnierza i że jest podobny do ludzi dzisiejszych. Ale baron nie spojrzął na nią; za to niejeden student, który nie wiedział, kto to taki, zdziwiony jego uprzejmością, stawał się ważny i sztywny, baron zaś wychodził rozmarzony i pełen melancholii.

— Niech pan daruje, że wracam do tego jeszcze raz — rzekłem spiesźnie do pana de Charlus, słysząc kroki Brichota — ale gdyby się pan dowiedział, że panna Vinteuil i jej przyjaciółka mają przybyć do Paryża, czy mógłby mnie pan uprzedzić, określając ściśle czas ich pobytu i nie mówiąc nikomu, żem pana o to prosił.

Nie sądziłem już, aby miała przybyć, ale chciałem się zabezpieczyć na przyszłość.

— Tak, zrobię to dla pana, choćby dlatego, że mam dla pana wielką wdzięczność. Nie przyjmując nigdy tego, com panu proponował, oddał mi pan, ze swoją szkodą, olbrzymią przysługę: zostawił mi pan wolność. Prawda, że wyrzekłem się jej na inny sposób — dodał melancholijnym tonem, w którym przebijała chęć zwierzeń. — Jest w tym coś, co uważam zawsze za rodzaj *vis major*<sup>138</sup>, zbieg okoliczności, który pan zaniedbałeś odwrócić na swoją korzyść, może dlatego, że los ostrzegł pana nieomylnie w owej godzinie, żebyś nie odwracał mojej drogi. Bo zawsze człowiek się miota, a Bóg go prowadzi. Kto wie, w dniu, kiedyśmy wyszli od pani de Villeparisis, gdybyś pan był przyjął, wiele rzeczy, które zaszły od tego czasu, nie stałyby się może nigdy.

Zakłopotany, odwróciłem rozmowę, chwytając się nazwiska pani de Villeparisis, i starałem się dowiedzieć od barona, tak kompetentnego w każdym względzie, dla jakich przyczyn arystokratyczny świat wyraźnie trzyma z daleka panią de Villeparisis. Baron nie tylko nie rozwiązał mi tego światowego problemu<sup>139</sup>, ale jak gdyby go wręcz nie znał. Zrozumiałem wówczas, że o ile sytuacja pani de Villeparisis miała się później wydać wspaniała potomności, a nawet za życia margrabinie nieświadomemu mieszczaństwu, o tyle wydawała się nie mniej wielką — całkiem na innym krańcu, na tym, co stykał się z panią de Villeparisis — światu Guermantów. To była ich ciotka, widzieli w niej zwłaszcza urodzenie, parantele, mir zachowany w rodzinie przez wpływ na tę lub ową szwagierkę. Widzieli to nie tyle od strony świata, ile od strony rodziny. Otóż te dane były u pani de Villeparisis jeszcze świetniejsze, niż przypuszczałem. Wstrząsnęła mnie swego czasu wiadomość, że nazwisko Villeparisis jest fałszywe. Ale są inne przykłady wielkich dam, które popełniły mezalians, zachowując mimo to wpływową stanowisko. Pan de Charlus rzekł mi na wstępie, że pani de Villeparisis była siostrzenicą słynnej księżnej de \*\*\*, osoby najslawniejszej wśród wielkiej arystokracji w czasie monarchii lipcowej<sup>140</sup>, ale wzbraniającej się utrzymywać stosunków z „królem-obywatelem” i jego rodziną. Tak byłbym pragnął słyszeć coś więcej o tej księżnej! A pani de Villeparisis, dobra pani de Villeparisis, której twarz była dla mnie twarzą zwykłej mieszczyki, pani de Villeparisis, która mi przesyłała tyle podarków i którą tak łatwo mogłem widywać co dzień, pani de Villeparisis była jej siostrzenicą, wychowaną przez nią, w jej pałacu \*\*\*.

— Spytała księcia de Doudeauville — rzekł pan de Charlus — mówiąc o trzech siostrach: „Którą z trzech wolisz?”. A kiedy Doudeauville odpowiedział: „Panią de Vil-

<sup>137</sup> *Kondeusze* — francuski ród arystokratyczny, będący boczną linią dynastii Burbonów, odgrywający znaczącą rolę we Francji w XVI i XVII w. [przypis edytorski]

<sup>138</sup> *vis major* (łac.) — siła wyższa. [przypis edytorski]

<sup>139</sup> *problem* (daw.) — problem, zagadnienie do rozwiązania. [przypis edytorski]

<sup>140</sup> *monarchia lipcowa* (1830–1848) — monarchia konstytucyjna we Francji za panowania króla Ludwika Filipa I, okres od obalenia Karola X przez rewolucję lipcową i ogłoszenia Ludwika Filipa królem Francuzów do rewolucji lutowej, która wprowadziła ustrój republikański. [przypis edytorski]

leparisis”, księżna de \*\*\* odpowiedziała: „Świnia!”. Bo księżna była bardzo dowcipna — rzekł pan de Charlus, dając słowu wagę i wymowę zwyczajną Guermantom.

Nie zdziwiłem się, że mu się to słówko wydało tak dowcipne, zważywszy w wielu okazjach odśrodkową, obiektywną skłonność ludzi, która każe im w ocenie czyjegós dowcipu abdykować z surowości, z jaką ocenialiby własny, oraz obserwować starannie, notować to, czego nie raczyliby stworzyć.

— Ależ co on wyprawia, przecież on przynosi moje palto! — rzekł baron, widząc, że Brichot tak długo szukał z takim rezultatem. — Trzeba mi było iść samemu. Ostatecznie, niech pan je narzuci na ramiona. Czy wiesz, że to bardzo kompromitujące, moje dziecko: coś tak jak pić z jednej szklanki, będę znał pańskie myśli. Ale nie, nie tak, no, niech mi pan pozwoli — i narzucając mi swój paltot, obciskał mi nim ramiona, obciągał mi go koło szyi, podnosił kołnierz, przy czym ręka barona wśród przeproszeń muskała mi pobródek. — W tym wieku jeszcze nie umie przykryć się koldrą, trzeba go opatulać, chybiłem powołania, Brichot, byłem stworzony na nianię.

Chciałem odejść, ale ponieważ pan de Charlus objawił chęć odszukania Morela, Brichot zatrzymał nas obu. Zresztą pewność, że w domu zastanę Albertynę, pewność równa tej, jaką miałem po południu, że wróci z Trocadéro, sprawiła, że w tej chwili równie mało tęskniłem do niej, jak mało odczuwałem tęsknoty tegoż dnia po telefonie Franciszki, siadając do fortepianu. I ilekroć w ciągu tej rozmowy chciałem wstać, ten spokój pozwolił mi poddać się protestom Brichota, który się bał, że moje odejście utrudni mu zatrzymanie barona aż do chwili, gdy pani Verdurin nas zawoła.

— No — rzekł do barona — niech pan trochę zostanie z nami, uściska go pan za chwilę — dodał Brichot, wlepiając we mnie martwe niemal oko, któremu operacje wróciły trochę życia, ale które nie było dość ruchliwe, aby popatrzeć złośliwie z ukosa.

— „Uściska”, jaki on głupi! — wykrzyknął baron piskliwym i rozanielonym tonem. — Wiesz, chłopcze, powiadam ci, jemu się zawsze zdaje, że jest na rozdawaniu nagród, marzy o swoich młodych uczniach. Zastanawiam się, czy on nie sypia z nimi.

— Chciałby pan widzieć pannę Vinteuil — rzekł do mnie Brichot, który usłyszał koniec naszej rozmowy. — Przrzekam uprzedzić pana, kiedy przybędzie; będę wiedział o tym przez panią Verdurin — dodał profesor, bo przewidywał z pewnością, że baronowi mocno grozi doraźne wykluczenie z „paczki”.

— Ha! ha! Widzę, że pan mnie uważa za mniej bliskiego pani Verdurin — rzekł pan de Charlus — na to, aby mieć wiadomości o przybyciu tych osób o straszliwej reputacji. Pan wie, to jest powszechnie znane. Pani Verdurin źle robi, że je sprowadza; to dobre dla zakazanych kólek. One są w przyjaźni z całą potworną bandą. Wszystko to musi się zbierać w jakichś okropnych miejscach.

Za każdym słowem barona cierpienie moje, zmieniając formę, wzmagало się.

— Oczywiście nie, nie uważam, abym był bliżej od pana z panią Verdurin — wygłosił Brichot, cedząc słowa, bo zląkł się, że obudził podejrzenia barona. A że widział, iż ja się chcę żegnać, przeto chcąc mnie zatrzymać przynętą obiecaną rozrywki, dodał: — Jest rzecz, o której baron zdaje się nie pomyślał, mówiąc o reputacji tych dwóch dam, mianowicie, że reputacja może być zarazem i okropna, i niezasłużona. I tak na przykład, w sferze analogicznych, ale głośniejszych faktów notoryczne jest, że omyłki sądowe są liczne i że historia zarejestrowała oskarżenie o sodomie<sup>141</sup>, piętnujące znamienitych ludzi, którzy byli jej zgoła niewinni. Świeże odkrycie wielkiej miłości Michała Anioła<sup>142</sup> do kobiety stanowi nowy fakt uprawniający tego przyjaciela Leona X<sup>143</sup> do pośmiertnej rewizji procesu. Sprawa Michała Anioła ma wszelkie tytuły, aby roznamiętnić snobów i zmobilizować La Villette, kiedy zniknie z horyzontu inna sprawa, w której anarchia była rzeczą elegancką i stała się modnym grzeszkiem naszych zacnych pięknoduchów. Ale o tej nie godzi się mówić, można by się przy tym pokłócić.

<sup>141</sup>sodomia (daw.) — pejoratywne określenie zachowań homoseksualnych. [przypis edytorski]

<sup>142</sup>Michał Anioł, właśc. *Michelangelo di Lodovico Buonarroti Simoni* (1475–1564) — jeden z najwybitniejszych włoskich malarzy, rzeźbiarzy i architektów epoki odrodzenia. W swoich sonetach opisywał m.in. swą miłość do Tommaso dei Cavalieri (ok. 1509–1587), wówczas 23-letniego młodzieńca. [przypis edytorski]

<sup>143</sup>Leon X, właśc. *Giovanni di Lorenzo de' Medici* (1475–1521) — papież od 1513; młodszy syn władcy Florencji, Wawrzyńca Medyceusza, bliski współpracownik i następcy Juliusza II; mecenas sztuki; ostatni papież niemający święceń kapłańskich w chwili wyboru; znany z wprowadzenia sprzedaży odpustów na odnowienie Bazyliki św. Piotra, co doprowadziło do wystąpienia Marcina Lutera (1517). [przypis edytorski]

Od czasu jak Brichot zaczął mówić o męskich reputacjach, pan de Charlus zdradzał całą twarzą ów specjalny rodzaj zniecierpliwienia, jaki objawia ekspert lekarski lub wojskowy, kiedy ludzie światowi zaczną pleść duby smalone na temat terapeutyki lub strategii bez żadnej znajomości przedmiotu.

— Nie ma pan najmniejszego pojęcia o tych rzeczach — rzekł w końcu. — Zacytuj mi pan jedną reputację fałszywą. Wymień pan nazwiska. Tak, ja znam wszystko — odparł gwałtownie pan de Charlus na nieśmiały sprzeciw Brichota. — Ludzi, którzy robili to kiedyś przez ciekawość lub przez kult zmarłego przyjaciela; znam i takich, co bojąc się zanadto zagalopować, kiedy pan im wspomni o piękności mężczyzny, odpowiedzą, że to jest dla nich po chińsku, że tak samo nie umieją rozróżnić mężczyzny pięknego od brzydkiego, jak nie umieją rozróżnić dwóch marek samochodu, nie znając się na automobilizmie. Wszystko to są błagi. Mój Boże, zauważ pan, nie twierdzę, aby reputacja zła (lub to, co przyjęto tak nazywać), a nieusprawiedliwiona była czymś absolutnie niemożliwym. Ale to jest tak wyjątkowe, tak rzadkie, że praktycznie nie istnieje. Bądź co bądź, ja, który jestem ciekawy, szperacz, znałem takie, i nie będące mitem. Tak, w ciągu mego życia stwierdziłem (mam na myśli: stwierdziłem naukowo, nie rzucam słów na wiatr) dwie reputacje nieusprawiedliwione. Powstają one zazwyczaj dzięki podobieństwu nazwisk lub z pewnych zewnętrznych oznak — na przykład obfitości pierścionków — oznak, które ludzie niekompetentni uważają za coś absolutnie charakterystycznego dla tego, o czym pan mówi, tak jak myślą, że chłop nie wymawia dwóch słów bez „wciurności” lub Anglik bez „*goddam*”<sup>144</sup>. To jest gwara teatrzyków bulwarowych. Co pana zdziwi, to, że reputacje nieuzasadnione uchodzą w oczach publiczności za najpewniejsze. Pan sam, profesorze, gotów włożyć rękę w ogień za cnotę tego lub owego, który tu bywa, a którego poinformowani znają jak zły szeląg, wierzysz z pewnością, jak wszyscy, w to, co się mówi o kimś znanym, wcielającym te gusty dla masy, wówczas gdy nie ma ich ani za grosz. Mówię „za grosz”, bo gdybyśmy ofiarowali dwadzieścia pięć ludwików<sup>145</sup>, ujrzelibyśmy, iż liczba tych świętych ludzi zmalałaby do zera. Bez tego taryfa świętych — jeżeli pan w tym widzi świętość — waha się na ogół między trzy a cztery na dziesięć.

O ile Brichot, mówiąc o „złej reputacji”, miał na myśli pleć męską, o tyle znowuż ja przerosłem słowa pana de Charlus na pleć żeńską, myśląc o Albertynie. Przeraziła mnie ta statystyka, nawet przyjąwszy, że baron musiał wyolbrzymiać cyfry w duchu swoich życzeń, a także wedle raportów plotkarzy, może kłamców, w każdym razie ludzi zmylnych własnym pragnieniem, które sumując się z pragnieniem pana de Charlus, fałszowało niewątpliwie cyfry.

— Trzy na dziesięć! — wykrzyknął Brichot. — Odwracając proporcję, jeszcze musiałbym pomnożyć przez sto liczbę winnych. Jeżeli jest taka, jak pan mówi, baronie, jeżeli się pan nie myli, nie ma co, jest pan jednym z rzadkich ludzi widzących prawdę, której nikt nie podejrzewał. W ten sposób Barres<sup>146</sup> poczynił w sferze korupcji parlamentarnej odkrycia, które sprawdziły się *ex post*, jak istnienie planety Le Verriera<sup>147</sup>. Pani Verdurin zacytowałaby chętniej ludzi, których wolę nie wymieniać, a którzy odgadli w biurze wywiadowczym sztabu generalnego machinacje popełnione, jak sądzę, z patriotyzmu, ale których ostatecznie sobie nie wyobrażałem! W przedmiocie wolnomularstwa, niemieckiego szpiegostwa, morfinomanii, Léon Daudet<sup>148</sup> pisze z dnia na dzień fantastyczną bajkę, która się okazuje najistotniejszą prawdą. Trzy na dziesięć! — powtarzał Brichot zdumiony.

Faktem jest, że pan de Charlus pomawiał o inwersję znaczną większość współczesnych, wyjmując bądź co bądź mężczyzn, z którymi miał stosunki i których psychika,

<sup>144</sup>*goddam* (ang.) — przekleństwo: cholera. [przypis edytorski]

<sup>145</sup>ludwik a. *luidor* (fr. *Louis d'or*: złoty Ludwik) — złota moneta francuska z podobizną króla, bita w latach 1640–1791; ludwikami nazywano później tradycyjnie złote 20-frankówki. [przypis edytorski]

<sup>146</sup>*Barrès, Maurice* (1862–1923) — francuski powieściopisarz, eseista, polityk i teoretyk nacjonalizmu; od 1889 członek Izby Deputowanych. [przypis edytorski]

<sup>147</sup>*Le Verrier, Urbain* (1811–1877) — francuski astronom i matematyk; w 1846 na podstawie matematycznej analizy perturbacji ruchu planety Uran przewidział istnienie nieznannej planety i obliczył parametry jej orbity, dzięki czemu wkrótce odkryto tę planetę, nazwaną potem Neptunem. [przypis edytorski]

<sup>148</sup>*Daudet, Léon* (1867–1942) — francuski literat, publicysta; monarchista i antysemita, razem z Charles'em Maurras utworzył nacjonalistyczną „*Action Française*”, popierał faszyzm Mussoliniego i Franco. [przypis edytorski]

o ile stosunki te były bodaj trochę zabarwione romantyzmem, zdawała mu się bardziej złożona. Podobnie widzimy, że donżuani niewierzący w honor kobiet przyznają go trochę jedynie jakiejś kobiecie, która była ich kochanką i co do której protestują szczerze i z tajemniczą miną: „Ależ nie, myli się pan, to nie jest taka kobieta”. Ten nieoczekiwany szacunek dyktuje im częścią miłość własna, której bardziej pochlebia, aby się takie fawory ograniczały do nich samych; częścią naiwność, biorąca się snadnie na wszystko, co kochanka zechciała w nich wmówić; częścią to poczucie życia, które sprawia, iż z chwilą gdy się zbliżamy do żywych istot, do egzystencji, wszelkie etykiety i przegródki stają się zbyt proste.

— Trzy na dziesięć! Ależ niech się pan strzeże: możesz pan być mniej szczęśliwy niż owi historycy, którzy mogą liczyć na przyszłą ratyfikację swoich sądów; gdybyś zechciał, baronie, pokazać potomności obraz, który nam tu malujesz, potomność mogłaby to uznać za kiepski żarcik. Ona sądzi jedynie z dokumentów i chciałaby się zapoznać z pańskim *dossier*. Otóż skoro żaden dokument nie potwierdza tego rodzaju zbiorowych przejawów, a jedyni ich świadkowie zbyt wiele mają powodów do tego, aby je zostawić w cieniu, bardzo by się oburzono w klanie pięknych dusz, uchodziłbyś pan wręcz za potwarce lub za wariata. O ile za życia uzyskałeś pan na konkursie elegancji maksimum głosów i rząd dusz na tej ziemi, o tyle za grobem mógłbyś być zbalotowany. Gra nie warta świeczki, jak mówi, Boże mi odpuść, nasz Bossuet<sup>149</sup>.

— Ja nie pracuję dla historii — odparł pan de Charlus — życie mi wystarcza; jest dostatecznie interesujące, jak powiadał biedny Swann.

— Jak to? Pan znalazł Swanna, baronie, ależ ja nic nie wiedziałem! Czy i on miał te gusty? — spytał Brichot zaniepokojony.

— Ależ z tego Brichota cham! Czy pan myśli, że ja znam tylko takich ludzi? Nie, nie sądzę — rzekł Charlus ze spuszczoneymi oczami, jak gdyby ważąc w myśli argumenty za i przeciw.

I myśląc, że skoro chodzi o Swanna, którego przeciwne gusty były zawsze znane, połowicznie wyznanie będzie niewinne dla tego, kogo dotyczy, a pochlebne dla tego, który je insynuuje, baron dodał:

— Nie mówię, żeby niegdyś w szkole, czasem, przypadkiem, raz... — rzekł baron w pół mimo woli i tak, jakby myślał głośno; po czym, poprawiając się: — Ale to już dwieście lat temu, skąd pan chce, żebym sobie przypominał, nudzi mnie pan — zakończył, śmiejąc się.

— W każdym razie, ładny to on nie był — rzekł Brichot, który sam szpetny, miał się za przystojnego, łatwo zaś uznawał innych za brzydkich.

— Cicho pan siedź — rzekł baron — nie wie pan, co pan gada; w owych czasach Swann miał cerę jak brzoskwinia — dodał, dając każdej sylabie inną nutę — ładny był jak amorek. Zresztą został zawsze uroczy. Kobiety szalały za nim.

— Pan znał jego żonę?

— Ech, przecie to ja go z nią zapoznałem. Zachwyciła mnie pewnego wieczoru w swoim kostiumie, kiedy grała Miss Sacripant; byłem z kolegami z klubu, każdy wziął sobie jakąś kobietkę, co do mnie zaś, mimo że miałem ochotę jedynie chrapnąć, złe języki twierdziły (bo to jest okropne, jaki ten świat jest złośliwy), że się przespałem z Odetą. Tylko że ona skorzystała z tego, żeby się mnie czepiać; w nadziei, że się jej pozbędę, przedstawiłem ją Swannowi. Od tej chwili nie przestała mnie męczyć, nie miała pojęcia o ortografii, to ja pisywałem jej listy. A później mnie przypadło zadanie oprowadzania jej. Oto, moje dziecko, co znaczy mieć dobrą reputację, widzisz. Zresztą zasługiwałem na nią tylko w połowie. Ona mnie zmuszała do tego, żeby jej urządzać straszliwe seanse z figurami, w pięcioro, sześcioro.

I pan de Charlus zaczął wyliczać kochanków Odety z taką ścisłością, jakby recytował listę królów francuskich: żyła z takim a takim, potem z tym a tym — wyliczał tak mężczyzn, z których ani jednego nie odgadł biedny Swann, oślepiiony na przemian zazdrością i miłością, ważący szanse i wierzący w przysięgi bardziej natarczywie niż jakaś sprzeczność, która się wymknie winnej, sprzeczność o wiele mniej uchwytna, a jednak o wiele bardziej

<sup>149</sup> Bossuet, Jacques-Bénigne (1627–1704) — francuski duchowny katolicki, biskup, teolog, wybitny mówca, wychowawca i nadworny kaznodzieja Ludwika XIV. [przypis edytorski]

znacząca i którą zazdrośnik mógłby wyzyskać logiczniej niż owe informacje, które wytacza fałszywie, aby zaniepokoić kochankę. I w istocie zazdrośnik jest — jak współcześni — za blisko, nie wie nic; jedynie dla obcych komizm cudzołóstwa przybiera ścisłość historii i wydłuża się w listę obojętną zresztą, a pełną smutku jedynie dla innego zazdrośnika, takiego jak ja na przykład, który nie może się powstrzymać od snucia analogii i który pyta sam siebie, czy kobieta, którą podejrzewa, nie posiada równie znamienitej listy. Ale nie dowie się nic; to jest jakby powszechna konspiracja, okrutny spiszek, w którym wszyscy biorą udział, a który polega na tym, aby podczas gdy kochanka przechodzi z rąk do rąk, trzymać mu na oczach zasłonę, którą on sili się wciąż bezskutecznie zerwać. I wszyscy solidarnie oslepiają nieszczęśnika; osoby dobre przez dobroć, złe przez złość, osoby pospolite dla figla, osoby dobrze wychowane przez grzeczność i przez dyskrecję, a wszyscy przez tę konwencję, która się zwie „zasadą”.

— Ale czy Swann nie dowiedział się nigdy, że pan się cieszył względami Odety?

— Ależ skądże, cóż za ohyda! Opowiedzieć Karolowi! Włosy na głowie powstają od tej myśli. Ależ, drogi panie, zabiłby mnie po prostu, zazdrosny był jak tygrys. Tak samo jak nie przyznałem się Odecie, której by to zresztą było wszystko jedno, że... ech, nie wyciągajcie mnie na głupstwa. A najlepsze, że to ona walila do niego z rewolweru, przy czym o mało nie trafiła we mnie. Och, miałem przyjemności z tą parą; i naturalnie to ja musiałem być jego świadkiem w pojedynku z Osmondem, który mi tego nigdy nie darował. Osmond zabrał mu Odetę, a Swann dla pocieszenia się wziął za kochankę — czy „fałszywą kochankę” — siostrę Odety. Ale nie każecie mi chyba opowiadać całej historii Swanna, mielibyśmy tego na dziesięć lat, rozumiecie, znam to wszystko jak nikt. To ja dotrzymałem towarzystwa Odecie, kiedy nie chciała widzieć Karola. To mi nie było w smak, tym bardziej że mam bardzo bliskiego krewnego, który nosi nazwisko de Crécy, nie mając oczywiście do tego żadnego prawa, ale któremu ostatecznie to nie było miłe. Bo ona się kazała zwać: „Odeta de Crécy”, i mogła to czynić, będąc jedynie separowana z mężem swoim, niejakim de Crécy. To był Crécy całkiem autentyczny, bardzo przyzwoity jegomość, którego oskubała do ostatniego grosza. Ale co ja będę panu opowiadał o tym Crécy; widziałem z nim pana w samowarku, urządził pan dla niego obiadek w Balbec. Musiał ich potrzebować biedaczysko, żył z małej pensyjki, którą mu wypłacał Swann; i domyślam się, że od czasu śmierci Swanna renta musiała z pewnością wyschnąć. Czego nie rozumiem — rzekł do mnie pan de Charlus — to żeś pan, bywający niegdyś tak często u Karola, nie poprosił mnie dziś, żebym pana przedstawił królowej Neapolu. W sumie widzę, że pan się nie interesuje osobami jako osobliwościami, a to mnie dziwi zawsze u kogoś, kto znał Swanna; u niego ten typ zainteresowań był tak rozwinięty, że niepodobna rzecz, czy to ja byłem w tym względzie jego mistrzem, czy on moim. To mnie dziwi w tym stopniu, co gdybym widział kogoś, kto znał Whistlera<sup>150</sup>, a nie miał pojęcia o smaku. Mój Boże, zwłaszcza dla Morela było ważne poznać królową; pragnął tego zresztą gorąco, bo to chłopak na wskroś inteligentny. To przykre, że ona poszła. Ale ostatecznie, postaram się ich spiknąć w tych dniach. Murowane, że ją pozna. Jedyłą możebną przeszkodą byłoby, gdyby umarła jutro. Otóż miejmy nadzieję, że to się nie zdarzy.

Naraz Brichot, wstrząśnięty proporcją „trzech na dziesięciu”, którą mu objawił pan de Charlus, Brichot, wciąż opanowany swoją myślą, z nagłością, która przypominała nagłość sędziego śledczego chcącego wycisnąć z oskarżonego zeznanie, ale która w rzeczywistości była popisem własnej bystrości oraz objawem wzruszenia, z jakim przyszło profesorowi rzucić tak poważne oskarżenie, spytał ponuro pana de Charlus:

— A czy Ski nie należy też do takich?...

Aby obudzić podziw dla swej rzekomej intuicji, profesor wybrał to nazwisko, powiadając sobie, że skoro jest tylko trzech niewinnych na dziesięciu, małą szansę omyłki nastęrcza Ski, który mu się wydawał trochę dziwny, cierpiał na bezsenność, perfumował się, krótko mówiąc, odbiegał od normy.

— Ależ ani trochę! — wykrzyknął baron z gorką, apodyktyczną i zrozpaczoną ironią. Fałsz, niedorzeczność, kulą w płot! Ski jest taki właśnie w oczach ludzi, którzy nie mają

<sup>150</sup>Whistler, James Abbot McNeill (1834–1903) — amerykański malarz działający w Anglii; związany z wczesną fazą impresjonizmu, znany z portretów i pejzaży. [przypis edytorski]

o tym pojęcia; gdyby był z takich, nie wyglądałby tak na to; mówię to bez cienia krytyki, bo on ma wdzięk i nawet ma dla mnie coś bardzo miłego.

— Ale niech nam pan powie jakieś nazwiska — nalegał Brichot.

Pan de Charlus zeszytywniał.

— Ech, drogi profesorze, pan wie, że ja żyję w abstrakcie; wszystko to interesuje mnie jedynie z punktu widzenia transcendentnego — odparł z nieufną drażliwością właściwą podobnym jemu i z przesadną grandilokwencją<sup>151</sup> cechującą jego rozmowę. — Ja, rozumie pan, interesuję się jedynie ogólnymi prawidłami, mówię o tym tak, jak o prawie ciężkości.

Ale te chwile podrażnienia i reakcji, w których baron starał się ukryć swoje prawdziwe życie, trwały bardzo krótko wobec coraz częstszych godzin folgi, kiedy pozwalał się go domyślać, roztaczał je z drażniącą łaskawością, jako że potrzeba zwierzeń była u niego silniejsza niż obawa zdradzenia się.

— Chciałem tylko powiedzieć — podjął — że na jedną złą reputację mylną przypadają setki dobrych reputacji równie nieuzasadnionych. Oczywiście, liczba tych, którzy na tę reputację nie zasługują, zmienia się wedle tego, czy się pan kierujesz zeznaniami podobnych im czy innych. I faktem jest, że jeżeli złośliwość tych drugich hamowana jest zbyt dużą trudnością, z jaką przyszłoby im uwierzyć w przywarę równie dla nich okropną jak kradzież lub morderstwo uprawiane przez ludzi, których delikatność i serce znają, niezyczliwość pierwszych osobiście podniecona jest potrzebą wierzenia... jak mam powiedzieć... w przystępność ludzi, którzy się im podobają, informacjami tych, których zmyliło podobne pragnienie, dystansem wreszcie, na jaki są zazwyczaj trzymeni. Byłem świadkiem, jak ktoś, dość źle widziany z powodu tych skłonności, pomawiał pewnego człowieka z towarzystwa o podobne gusty. A jedyną racją był fakt, że ów człowiek z towarzystwa był dlań uprzejmy! Wszystko to są źródła optymizmu — rzekł naiwnie baron — w szacowaniu liczby. Ale prawdziwym źródłem olbrzymiej różnicy między obliczeniami profanów a obliczeniami świadomych rzeczy jest tajemnica, jaką ci otaczają swoje postęпки, aby je ukryć tamtym. A tamci, pozbawieni wszelkich środków informacji, byliby dosłownie zdumieni, gdyby się dowiedzieli bodaj ćwierci prawdy...

— Zatem nasza epoka wraca do Greków — rzekł Brichot.

— Jak to do Greków? Pan sobie wyobraża, że to nie trwało potem? Spójrz za Ludwika XIV: młody Vermandois<sup>152</sup>, Molier<sup>153</sup>, książe Ludwik Badeński<sup>154</sup>, Brunszwik<sup>155</sup>, Charolais<sup>156</sup>, Boufflers<sup>157</sup>, Wielki Kondusz<sup>158</sup>, książe de Brissac<sup>159</sup>...

<sup>151</sup>grandilokwencja — górnolotny, napuszony styl mówienia. [przypis edytorski]

<sup>152</sup>Vermandois, właśc. *Ludwik de Bourbon, brabia Vermandois* (1667–1683) — nieślubny syn króla Ludwika XIV Burbona i Ludwiki de la Vallière; mieszkał pod opieką wuja, księcia Filipa I Orleańskiego, uważanego powszechnie za libertyna i homoseksualistę, i podobno został uwiedziony przez Filipa de Lorraine-Armagnac, najsłynniejszego z kochanków swego wuja. [przypis edytorski]

<sup>153</sup>Molier, właśc. *Jean-Baptiste Poquelin* (1622–1673) — największy francuski komediopisarz, aktor, dyrektor teatru. [przypis edytorski]

<sup>154</sup>Ludwik Wilhelm Badeński (1655–1707) — dowódca armii cesarskiej, margrabia badeński (Baden-Baden w pld. Niemczech). [przypis edytorski]

<sup>155</sup>Brunszwik, właśc. *Karol II, książe Brunszwiku* (1804–1873) — niemiecki książe Brunszwiku-Lüneburga z dynastii Welfów panujący w latach 1815–1830; znany ze swoich dziwactw, pozwał kilku wydawców gazet o zniesławienie, gdy twierdzili, że nakłaniał do kontaktów homoseksualnych. [przypis edytorski]

<sup>156</sup>Charolais, właśc. *Karol de Bourbon, brabia Charolais* (1700–1760) — francuski arystokrata, książe krwi; nie miał legalnego potomstwa, po jego śmierci hrabstwo Charolais stało się częścią ziem królewskich. [przypis edytorski]

<sup>157</sup>Boufflers, właśc. *Louis-François de Boufflers* (1644–1711) — francuski wojskowy, diuk de Boufflers, marszałek Francji, jeden z dowódców armii Ludwika XIV. [przypis edytorski]

<sup>158</sup>Wielki Kondusz, właśc. *Ludwik II de Bourbon-Condé* (1621–1686) — francuski arystokrata, książe krwi, książe de Condé, marszałek Francji, wybitny dowódca wojskowy. [przypis edytorski]

<sup>159</sup>książe de Brissac, właśc. *Henri-Albert de Cossé, książe de Brissac* (1645–1698) — francuski szlachcic, roztrwonił wielki majątek, swój i swojej żony, zmarł bezpotomnie, powodując wygaśnięcie rodu. [przypis edytorski]

— Hola, baronie: wiedziałem o *Monsieur*<sup>160</sup>, wiedziałem o Brissacu z Saint-Simona<sup>161</sup>; Vendôme<sup>162</sup> oczywiście, zresztą wielu innych. Ale ta stara kanalia Saint-Simon często wspomina o Wielkim Kondeuszu i o Ludwiku Badeńskim i nigdy tego nie mówi.

— To fatalne, że ja muszę uczyć historii profesora Sorbony. Ależ, drogi profesorze, pan jesteś ciemny jak tabaka w rogu.

— Nasz baron jest surowy, ale sprawiedliwy. A teraz zrobię panu przyjemność: przypomniłem sobie w tej chwili piosenkę z owej epoki, ułożoną w makaronicznej łacinie na burzę, która zaskoczyła Wielkiego Kondeusza, kiedy płynął Rodanem w towarzystwie swego przyjaciela, margrabiego de la Moussaye<sup>163</sup>. Kondeusz powiada:

*Carus amicus Mussoeus,  
Ah! Deus bonus, quod tempus,  
Landerirette,  
Imbre sumus perituri.*<sup>164</sup>

A la Moussaye uspokaja go, mówiąc:

*Securae sunt nostrae vitae,  
Sumus enim Sodomitae,  
Igne tantum perituri,  
Landeriri.*<sup>165</sup>

— Cofam to, com powiedział — rzekł Charlus zmanierowanym dyszkantem — jest pan istną studnią wiedzy; napisze mi to pan, prawda, chcę to zachować w archiwach rodzinnych, toż moja cioteczno-stryjeczna prababka była siostrą Kondeusza.

— Dobrze, baronie, ale co się tyczy Ludwika Badeńskiego, nie znajduję nic. Zresztą w owej epoce sądzę, że w ogólności sztuka wojenna...

— Cóż za głupstwo! Vendôme, Villars<sup>166</sup>, książę Eugeniusz<sup>167</sup>, książę Conti<sup>168</sup>, a gdybym panu powiedział o tych wszystkich bohaterach Tonkinu, Maroko — a mówię o naprawdę wspaniałych i pobożnych, i „z nowej generacji” — zdumiałbym pana. Ha! ha! Miałbym sporo do opowiedzenia ludziom, robiącym ankiety o nowej generacji, która odrzuciła czcze wyrafinowania swoich poprzedników jak powiada pan Bourget<sup>169</sup>! Mam młodego przyjaciela, o którym się dużo mówi, który dokonał tam wspaniałych rzeczy...

<sup>160</sup>*Monsieur* — tu: tytuł brata króla Francji Ludwika XIV, *Filipa I Orleańskiego* (1640–1701), księcia Orleanu, założyciela dynastii orleańskiej; Filip Orleański miał dwie żony (Henriette Annę Stuart i Elżbietę Wittelsbach, księżniczkę Palatynatu Reńskiego), ale powszechnie znane były jego homoseksualne skłonności; listy jego drugiej żony do krewnych zostały zredagowane i przetłumaczone w 1863; pochodzą z nich anegdota o homoseksualnych zachowaniach większości osób wymienionych przez pana de Charlus. [przypis edytorski]

<sup>161</sup>*Saint-Simon*, właśc. *Louis de Rouvroy, książę de Saint-Simon* (1675–1755) — francuski żołnierz, dyplomata i pamiętnikarz; jego obszerne *Pamiętniki* są klasyką literatury francuskiej, przedstawiają najpełniejszy, żywy opis dworu za panowania Ludwika XIV oraz okresu regencji 1715–1723. [przypis edytorski]

<sup>162</sup>*Vendôme*, właśc. *Louis-Joseph de Bourbon, książę de Vendôme*, zwany *Wielkim Vendôme* (1654–1712) — francuski generał Ludwika IV, marszałek Francji, jeden z najważniejszych dowódców w historii francuskiej armii. [przypis edytorski]

<sup>163</sup>*margrabia de la Moussaye*, właśc. *Amaury III Goyon, markiz de La Moussaye* (1601–1663) — francuski szlachcic, oficer. [przypis edytorski]

<sup>164</sup>*Carus amicus Mussoeus...* (łac.) — Drogi przyjacielu Muzejosie, ach, dobry Boże, co za pora, tralala, zginiemy w deszczu. [przypis edytorski]

<sup>165</sup>*Securae sunt nostrae vitae...* (łac.) — Bezpieczne są nasze życia, jesteśmy bowiem sodomitami, tylko od ognia zginiemy, tralalali. [przypis edytorski]

<sup>166</sup>*Villars*, właśc. *Honoré Armand de Villars* (1702–1770) — francuski szlachcic, żołnierz i polityk, książę i par Francji; powszechnie znany z homoseksualizmu, otrzymał przydomek „przyjaciel mężczyzny”. [przypis edytorski]

<sup>167</sup>*Eugeniusz Sabaudzki* (1663–1736) — książę Sabaudii, wybitny dowódca cesarskich wojsk austriackich. [przypis edytorski]

<sup>168</sup>*książę Conti*, właśc. *Franciszek Ludwik de Bourbon-Conti* (1664–1709) — książę Conti (od 1685); podobno należał do homoseksualnego kręgu królewskiego brata, Filipa I Orleańskiego; w 1697 wybrany przez większość i oficjalnie ogłoszony królem Polski, zmuszony do ustąpienia na rzecz Augusta II, który pierwszy wkroczył do Rzeczypospolitej. [przypis edytorski]

<sup>169</sup>*Bourget, Paul* (1852–1935) — francuski pisarz, autor powieści psychologicznych; pięciokrotnie nominowany do Nagrody Nobla w dziedzinie literatury, uznawany za jednego z największych powieściopisarzy przełomu XIX i XX w. [przypis edytorski]



Ale, ostatecznie, nie chcę być złośliwy; wróćmy do XVII wieku; wie pan, że Saint-Simon powiada o marszałku d'Huxelles<sup>170</sup> — pośród tylu innych: „Praktyk w rozpuście greckiej, z którą nie raczył się kryć, czepiał się młodych oficerów, instalował ich u siebie w domu, nie licząc rosnących młodych lokajów, i to bez osłonek, w armii i w Strasburgu”. Czytałeś pan zapewne listy *Madame*<sup>171</sup>; mężczyźni nie nazywali go inaczej niż „kurwą”. *Madame* mówi o tym dość wyraźnie.

— A mogła o tym wiedzieć z dobrego źródła, będąc żoną swojego męża.

— Bardzo interesująca figura, ta druga *Madame* — rzekł pan de Charlus. Można by z niej zrobić liryczną syntezę „żony pedeka”. Przede wszystkim kawał chłopa; żona pedeka jest zwykle mężczyzną, co ułatwia pedekowi zrobienie jej dzieci. Następnie, *Madame* nie mówi o zboczeniach męża, ale wciąż mówi o tym samym zboczeniu u innych, jak kobieta świadoma rzeczy i przez ten częsty narów, który sprawia, że lubimy znajdować w innych rodzinach skazy, od których cierpimy w naszej, aby dowieść samym sobie, że nie ma w tym nic wyjątkowego ani hańbiącego. Mówiłem panu, że to istniało we wszystkich czasach. Jednakże nasza epoka wyróżnia się specjalnie pod tym względem. I mimo przykładów, które zapożyczyłem z XVII wieku, gdyby mój wielki praszczur Franciszek de La Rochefoucauld<sup>172</sup> żył w naszych czasach, mógłby powiedzieć o nich z większą racją niż o swoich, no, Bricot, pomóż mi pan: „Rozpusta istniała zawsze, ale gdyby osoby, które wszyscy u nas znają, zrodziły się w dawnych wiekach, czy mówionoby dziś o zboczeniach Heliogabala<sup>173</sup>?”. Bardzo lubię to: „które wszyscy u nas znają”. Widzę, że mój roztropny krewniak znał ewidencję swoich najślawniejszych współczesników, jak ja swoich. Ale takich ludzi jest dzisiaj nie tylko więcej, mają też coś odrębnego.

Wyczułem, że pan de Charlus gotów jest opowiedzieć nam, w jaki sposób obyczaje te uległy ewolucji. Było coś dosyć skomplikowanie przykrego w usilności, z jaką baron wciąż wracał do tego tematu, w którym inteligencja jego, wciąż ostrzona w jednym kierunku, posiadała niejaką przenikliwość. Był „piłą”, jak uczony niewidzący nic poza swoją specjalnością; drażniący jak człowiek „dobrze poinformowany”, dumny z sekretów, które posiada i które rad by rozgadać; antypatyczny, jak ci, co z chwilą gdy chodzi o ich przywary, rozwodzą się nad nimi, nie widząc, że budzą niesmak; opętany jak maniak i zdradzający się nieodparcie jak przestępca. Cechy te, które chwilami stawały się równie niesamowite jak cechy wariata lub zbrodniarza, przynosiły mi zresztą pewne ukojenie. Poddając je bowiem koniecznej transpozycji, aby z nich wysnuć wnioski dotyczące Albertyny, przypominając sobie jej zachowanie się z Robertem, ze mną, powiadałem sobie (mimo przykrości, jaką mi sprawiało jedno z tych wspomnień, a melancholii, jaką mnie przejmowało drugie), powiadałem sobie, że one wykluczają chyba rodzaj tak wybitnej deformacji, nieodzownie, jak się zdaje, ekskluzywnej, która promieniowała z taką siłą ze słów i z osoby pana de Charlus. Niestety, baron zburzył rychło te przyczyny do nadziei w taki sam sposób, w jaki mi ich dostarczył, to znaczy bezwiednie.

— Tak — powiedział — nie mam już dwudziestu pięciu lat i widziałem wiele zmian dokoła; nie poznaję już ani społeczeństwa, gdzie bariery trzasły, gdzie ciżba wyzuta z elegancji i przyzwoitości tańczy tango nawet w mojej rodzinie; ani mód, ani polityki, ani sztuki, ani religii — niczego. Ale przyznaję, że co się najbardziej zmieniło, to to, co Niemcy nazywają homoseksualizmem. Mój Boże, za moich czasów, poza ludźmi, którzy nie cierpieli kobiet, i tymi, co kochali wyłącznie kobiety, a inne rzeczy robili tylko dla interesu, homoseksualiści byli dobrymi ojcami rodzin i miewali kochanki jedynie dla pozorów. Gdybym miał córkę na wydaniu i gdybym chciał mieć pewność, że nie będzie nieszczęśliwa, szukałbym zięcia jedynie wśród takich. Niestety, wszystko się zmieniło. Teraz i tacy rekrutują się z ludzi najbardziej łasych na kobiety. Myślałem, że mam pewien

<sup>170</sup> marszałek d'Huxelles, właśc. Nicolas Chalon du Blé, markiz d'Huxelles i Cormatin (1652–1730) — francuski dowódca i polityk, marszałek Francji; jeden z najbardziej znanych homoseksualistów w swoich czasach. [przypis edytorski]

<sup>171</sup> *Madame* — tu: tytuł bratowej króla Francji, drugiej żony Filipa I Orleańskiego, Elżbiety Wittelsbach (1652–1722), księżniczki Palatynatu Reńskiego, której ogromna korespondencja zawiera szczegółowe uwagi na temat dworu Ludwika XIV. [przypis edytorski]

<sup>172</sup> *La Rochefoucauld, François de* (1613–1680) — francuski książę, pisarz i filozof, znany ze swoich pesymistycznych, dowcipnych aforyzmów. [przypis edytorski]

<sup>173</sup> *Heliogabal* (204–222) — w młodości kapłan syryjskiego boga słońca, od 218 cesarz rzymski (jako Marek Aureliusz Antoninus); zyskał reputację rozpustnika i hedonisty. [przypis edytorski]

węch i że kiedy sobie powiem: „Z pewnością nie”, nie mogę się omylić. I oto przychodzi mi wszystko odszczekać. Jeden z moich przyjaciół, człowiek dobrze znany z tego, miał stangreta (dostarczyła mu go moja bratowa Oriana), chłopca z Combray, który uprawiał po trosze wszystkie rzemiosła, ale zwłaszcza uganiał za dziewczętami: byłbym przysiągł, że jest najdalszy od tych rzeczy. Doprowadzał do rozpacy kochankę, zdradzając ją z dwiema kobietami, które ubóstwiał, nie licząc innych — jedna aktorka, druga dziewczyna z szynkowni. Mój kuzyn, książę Gilbert, obdarzony właśnie ową drażniącą inteligencją ludzi, którzy we wszystko za łatwo wierzą, rzekł mi pewnego dnia: „Ale czemu X nie sypia ze swoim stangretem? Kto wie, czyby to nie sprawiło przyjemności Teodorowi (imię stangreta) i czy on nawet nie jest dotknięty, że mu pryncypał nie robi awansów”. Nie mogłem się powstrzymać, aby nie zamknąć buzi Gilbertowi; drażniła mnie ta rzekoma przenikliwość, która stosowana bez rozróżnienia jest brakiem przenikliwości; a także drażniła mnie naiwna chytryść mego kuzyna, który by chciał, żeby nasz przyjaciel X zaryzykował przejście po desce, po której, gdyby się okazała bezpieczna, on by się puścił z kolei.

— Jak to! Książę Gilbert ma te gusty? — spytał Brichot z odcieniem zdziwienia i niesmaku.

— Mój Boże — odparł pan de Charlus zachwycony — to jest tak powszechnie znane, iż nie sądzę, abym popełnił niedyskrecję, mówiąc, że tak. Otóż następnego roku wybrałem się do Balbec i tam dowiedziałem się od majtka, który mnie brał czasami na połów, że mój Teodor (który, nawiasem mówiąc, ma siostrę pokojówkę u przyjaciółki pani Verdurin, baronowej Putbus) zachodził do portu, ot, aby upolować jakiegoś majtka, i to z piekielnym tupetem, po to by kropnąć spacer łódką „i jeszcze, jeszcze coś”.

Na mnie wówczas przyszła kolej zapytania, czy jego pryncypał, w którym poznałem owego pana grającego w Balbec cały dzień w karty z kochanką i będącego głową małego stowarzyszenia czterech przyjaciół, jest w tym podobny do księcia de Guermentes.

— Ależ tak, to wszyscy wiedzą, wcale się z tym nie kryje.

— Ale miał z sobą kochankę?

— No więc, co to znaczy; jakież te dzieciaki są naiwne — rzekł baron ojcowskim tonem, nie domyślając się cierpienia, jakie czerpałem z jego słów, myśląc o Albertynie. — Uroczą jest ta jego kochanka.

— W takim razie jego trzech przyjaciele są też tacy?

— Ależ wcale nie — wykrzyknął baron, zatykając sobie uszy, tak jakbym, grając, wziął fałszywą nutę. — Teraz znowu wpada w drugą ostateczność! Więc już człowiekowi nie wolno mieć przyjaciół? Och, młodzi, młodzi, wszystko mieszają. Trzeba będzie od nowa cię wychować, moje dziecko. Otóż — podjął — przyznaję, że ten wypadek (a znam wiele takich), mimo iż staram się zachować umysł otwarty dla wszystkiego, co niezwykle, wprawia mnie w kłopot. Jestem może bardzo zacofany, ale nie rozumiem — rzekł baron tonem starego „gallikanina”<sup>174</sup> mówiącego o pewnych formach ultramontanizmu<sup>175</sup>, rojalisty-liberała mówiącego o Action Française<sup>176</sup> lub ucznia Claude Moneta<sup>177</sup> mówiącego o kubistach<sup>178</sup>. — Nie potępiam tych nowatorów; zazdroścę im raczej, staram się ich zrozumieć, ale nie mogę. Jeżeli tak kochają kobiety, po co, zwłaszcza w tym świecie robotniczym, gdzie to jest źle widziane, gdzie się kryją przez miłość własną, po co im to, co nazywają „chłopczykiem”? Widać to im daje coś innego. Ale co?

<sup>174</sup>*gallikanin* — ruch religijno-polityczny dążący do uniezależnienia Kościoła katolickiego we Francji od władzy papieskiej na rzecz władzy państwa. [przypis edytorski]

<sup>175</sup>*ultramontanizm* (z łac. *ultramontanus*: znajdujący się za górami) — pogląd głoszący, że polityka lokalnych kościołów rzymskokatolickich powinna być podporządkowana decyzjom papieża (którego siedziba znajduje się stale w Watykanie, a więc „za górami”; stąd nazwa); ultramontanizm jest więc stanowiskiem oznaczającym usztywnienie doktryny Kościoła katolickiego oraz centralizację władzy kościelnej. [przypis edytorski]

<sup>176</sup>*Action Française* (fr.: Akcja francuska) — francuski skrajnie prawicowy (nacjonalistyczno-katolicki i monarchistyczny) ruch ideowo-polityczny w I poł. XX wieku; również tytuł gazety tego ruchu, zał. w 1899; po wyzwoleniu Francji przez wojska alianckie i ustanowieniu nowych władz wielu działaczy Akcji Francuskiej, na czele z Charles'em Maurrasem, zostało oskarżonych o kolaborację z Niemcami i skazanych. [przypis edytorski]

<sup>177</sup>*Monet, Claude* (1840–1926) — malarz francuski, jeden z twórców impresjonizmu. [przypis edytorski]

<sup>178</sup>*kubista* — przedstawiciel *kubizmu*, kierunku w sztukach plastycznych powstałego na pocz. XX w., charakteryzującego się sprowadzaniem przedmiotów i postaci do układów uproszczonych brył geometrycznych, próbami jednoczesnego przedstawiania przedmiotu z różnych punktów widzenia. [przypis edytorski]

„Co kobieta może innego dawać Albertynie?” — myślałem, i tu tkwiło najoczywiściej moje cierpienie.

— Stanowczo, baronie — rzekł Brichot — jeżeli kiedy Fakultet zechce utworzyć katedrę homoseksualizmu, zaproponuję pana *primo loco*<sup>179</sup>. Lub raczej nie, bardziej by się panu nadał instytut specjalnej psychofizjologii. I widzę pana zwłaszcza na katedrze w Collège de France, oddającego się studiom, których rezultatów udzielałby pan niby jakiś profesor języka tamilskiego<sup>180</sup> lub sanskrytu<sup>181</sup>, wobec szczupłej garstki osób, które to interesuje. Miałbyś pan dwóch słuchaczy i pedela, przez co nie chcę rzucać cienia podejrzania na nasz korpus pedelów, który uważam za nieskazitelny.

— Nic pan o tym nie wie — odciął baron twardym i ostrym tonem. — Zresztą, myli się pan, sądząc, że to interesuje tak mało kogo. Wprost przeciwnie.

I nie zdając sobie sprawy ze sprzeczności między nieodmiennym kierunkiem jego własnej rozmowy a zarzutem, jaki stawiał innym, baron mówił ze zgorzłą i zatroskaną miną:

— Wręcz przeciwnie, to przerażające, ile się wszędzie o tym mówi! To hańba, tak, ale tak już jest, drogi profesorze. Zdaje się, że przedwczoraj u księżnej d’Agen nie mówiono o niczym innym przez dwie godziny; pojmuje pan, jeżeli teraz kobiety zaczną o tym paplać, to istny skandal! A najplugawsze jest — dodał baron z ogniem i energią — to, że one czerpią swoje informacje od kanalii, od prawdziwych świntuchów, jak ten młody Châtellerault (o tym można by powiedzieć więcej niż o kimkolwiek!), którzy im opowiadają historyjki o innych. Słyszałem, że on wieśna na mnie wszystkie możliwe psy, ale ja o to nie dbam; uważam, że błoto i świństwa ciskane przez osobnika, którego omal nie wyrzucono z Jockey Clubu za szachrowanie w karty, może spaść tylko na niego. I na miejscu Joasi d’Agen, szanowałbym na tyle swój salon, aby w nim nie było mowy o podobnych tematach i aby nie włóczono u mnie moich krewnych w błocie. Ale nie ma już towarzystwa, nie ma reguł, nie ma konwenansów, tak w rozmowie jak w toalecie. Tak, drogi panie, to koniec świata. Wszyscy się zrobili tacy źli. Istny wyścig, kto powie więcej złego o innych. Ohyda.

Będąc od dzieciństwa tchórzem, jak w Combray, kiedym uciekał, aby nie widzieć koniaku podsuwanego dziadkowi oraz próżnych wysiłków babki, błagającej go, aby nie pił, miałem tylko jedną myśl: uciec od Verdurinów przed egzekucją Charlusa.

— Muszę koniecznie iść — rzekłem do profesora.

— Idę z panem — odparł — ale nie możemy się wymknąć po angielsku. Chodźmy się pożegnać z panią Verdurin — zakończył profesor, kierując się do salonu z miną dziecka, które przy zabawie w fanty zagląda, „czy można wrócić”.

Podczas gdyśmy rozmawiali, Verdurin na znak żony zabrał Morela. Gdyby nawet zresztą po głębszym zastanowieniu pani Verdurin uznała, że roztropniej jest odłożyć te rewelacje, nie byłaby zdolna tego uczynić. Są pewne pragnienia — czasem zlokalizowane w ustach — które to pragnienia, skoro raz się im pozwoli wzrosnąć, domagają się zaspokojenia, bez względu na następstwa; nie możemy się oprzeć chęci ucałowania obnażonego ramienia, na które patrzemy od dawna i na które wargi nasze spadają niby wąż na ptaka; ani zjedzenia ciastka łaknącymi zębami; ani odmówić sobie zdumienia, zmieszania, bólu lub wesołości, jakie rozpetamy w czyjejś duszy nieoczekiwanym słowem. W takim nastroju, zawczasu opita melodramatem, pani Verdurin skłoniła męża, żeby wziął z sobą Morela i żeby się z nim rozmówił za wszelką cenę.

Zrazu Morel jął ubolewać, że królowa Neapolu wyszła, zanim go jej zdołano przedstawić. Pan de Charlus tyle mu się napowtarzał, że to jest siostra cesarzowej Elżbiety i księżnej d’Alençon, iż panująca ta nabrała w oczach Morela niezwyklej ceny. Ale pryncypał wytłumaczył mu, że nie po to się znaleźli tutaj, aby mówić o królowej Neapolu, i wszedł *in medias res*<sup>182</sup>.

<sup>179</sup>*primo loco* (łac.) — na pierwszym miejscu. [przypis edytorski]

<sup>180</sup>*tamilski* — język z rodziny drawidyjskiej, używany gł. w południowych Indiach oraz na wyspie Cejlon; jako język literacki wykształcił się w I w. n.e. [przypis edytorski]

<sup>181</sup>*sanskryt* — język indoaryjski z rodziny indoeuropejskiej, używany w staroż. Indiach, później jako język liturgiczny i literacki pełnił funkcję podobną do łaciny w Europie. [przypis edytorski]

<sup>182</sup>*in medias res* (łac.) — w środek rzeczy; w sedno sprawy. [przypis edytorski]

— Słuchaj pan — zakonkludował po jakimś czasie — jeżeli pan chce, zasięgniemy rady żony. Słowo honoru, nic jej jeszcze nie mówiłem. Zobaczymy, co ona na to wszystko powie. Mój pogląd może być mylny, ale pan wie, jaką żona ma głowę; przy tym ma dla pana niezmiernie wiele przyjaźni, chodźmy jej przedłożyć całą sprawę.

Pani Verdurin oczekiwała z niecierpliwością wzruszeń, jakich miała kosztować, rozmawiając ze skrzypkiem, a potem, kiedy on już odejdzie, każąc sobie ściśle zdać sprawę z dialogu między nim a mężem. I kiedy ona nie przestawała powtarzać: „Ale co oni mogą robić; mam choć nadzieję, że August, skoro go trzyma tak długo, zdołał go przekonać”, pan Verdurin wrócił z Morelem wyraźnie bardzo wzruszonym:

— Pan Morel chciałby cię poprosić o radę — rzekł Verdurin do żony z miną człowieka, który nie wie, czy ta prośba będzie wysłuchana.

Zamiast odpowiedzieć mężowi pani Verdurin, poniesiona zapalem, zwróciła się do Morela.

— Jestem absolutnie tego samego zdania co mąż; uważam, że pan nie może tego tolerować dłużej — wykrzyknęła gwałtownie, zapominając o czezej fikcji, umówionej między nią a mężem, mianowicie, że ona nie ma wiedzieć, o czym Verdurin mówił ze skrzypkiem.

— Jak to? Co tolerować? — wybąkał Verdurin, który starał się udać zdziwienie i silił się bronić swego kłamstwa z niezręcznością tłumaczącą się zmieszaniem.

— Zgadłam, o czym z nim mówiłeś — odparła pani Verdurin, nie troszcząc się o prawdopodobieństwo i mało dbając o to, co później, przypominając sobie tę scenę, skrzypek mógłby pomyśleć o prawdomówności „pryncypalki”. — Nie — podjęła — uważam, że pan nie powinien cierpieć dłużej tej haniebnej wspólnoty z plugawą figurą, której nie przyjmują nigdzie — dodała, nie zważając, że to jest nieprawda, i zapominając, że baron bywał u niej prawie co dzień. — Jest pan pośmiewiskiem całego konserwatorium — dodała, czując że to jest najskuteczniejszy argument. — Miesiąc więcej, a pańska przyszłość artystyczna jest złamana, podczas gdy bez Charlusa powinien byś pan zarabiał więcej niż sto tysięcy rocznie.

— Ale ja nigdy nic nie słyszałem, zdumiewa mnie pani, jestem pani bardzo wdzięczny — wybąkał Morel ze łzami w oczach.

Ale zmuszony równocześnie udawać zdziwienie i pokrywać wstyd, był bardziej czerwony i bardziej się pocił, niż gdyby odegrał pod rząd wszystkie sonaty Beethovena; w oczach jego zjawiły się łzy, których mistrz z Bonn z pewnością by mu nie wycisnął.

— Jeżeli pan nic nie słyszał, to chyba pan jeden! Ten pan baron ma obrzydliwą reputację i paskudne historie. Wiem, że policja ma go na oku, co jest zresztą dla niego najszczęśliwsze, jeżeli nie ma skończyć tak, jak wszyscy jemu podobni, zamordowany przez apaszów<sup>183</sup> — dodała, bo myśl o Charlusie przywodziła jej na pamięć impertynencje pani de Duras; toteż w przypływie wściekłości starała się pogłębić jeszcze rany, jakie zadawała nieszczęsnemu Charliemu, i pomścić te, które sama otrzymała tego wieczora. — Zresztą nawet materialnie on się panu nie zda na nic; jest całkiem zrujnowany, od czasu jak jest ofiarą szantażystów. Nie zdołają wycisnąć z niego wiele, a pan jeszcze mniej, bo wszystko jest zafantowane<sup>184</sup>, pałac, zamek itd.

Morel uwierzył w to kłamstwo tym łatwiej, ponieważ pan de Charlus lubił go brać na powiernika swoich stosunków z apaszami, rasy, do której syn lokaja, choćby sam najplugawszy, żywi wstręt równy jego przywiązaniu do bonapartyzmu.

Już w chytrym umyśle Morela zakiełkowała kombinacja analogiczna do tej, którą nazywano w XVIII wieku „odwróceniem aliansów”. Zdecydowany stanowczo zerwać z panem de Charlus, zamierzał wrócić nazajutrz do siostrzenicy Jupiena, aby wszystko naprawić. Nieszczęściem dlań, ten projekt miał zawieść, bo pan de Charlus miał jeszcze tego wieczora z Jupieniem schadzkę, na którą eks-krawiec, mimo świeżych wypadków, nie ośmielił się nie stawić. Kiedy za sprawą Morela zaszły inne wydarzenia i kiedy Jupien, płacząc, opowiedział swoje nieszczęścia baronowi, ten, nie mniej zbolący, oświadczył, że zaadoptuje opuszczoną dziewczynę, nada jej jeden z tytułów, którymi rozporządzał (prawdopodobnie tytuł panny d’Oleron), postara się uzupełnić jej wykształcenie i wyda

<sup>183</sup> *apasz* — chuligan, drobny przestępca, osoba z paryskiego półświatka. [przypis edytorski]

<sup>184</sup> *zafantowany* (daw.) — zajęty za długi. [przypis edytorski]

ją bogato za męża. Obietnice te mocno ucieszyły Jupiena, nie zrobiły zaś wrażenia na jego siostrzenicy, bo wciąż kochała Morela, który przez głupotę lub cynizm zachodził niedbale do sklepu, kiedy Jupiena nie było. „Co ty wyprawiasz — mówił, śmiejąc się — z tymi podkrążonymi oczami? Zgryzoty miłosne? Ba, lata płyną, ludzie się zmieniają... Ostatecznie wolno człowiekowi przymierzyć trzewik, a tym bardziej kobietę, i jeżeli mu się nie nada...”. Rozgniewał się tylko raz, kiedy płakała; uważał to za nikczemną i niegodną sztuczkę. Nie zawsze człowiek dobrze znosi łzy, które wyciska z oczu.

Ale zanadto uprzedziliśmy wypadki, bo wszystko to działo się dopiero po wieczorze Verdurinów, któryśmy przerwali i który trzeba nam podjąć w tym samym punkcie.

— Nigdy nie byłbym się domyślił — wzdychał Morel w odpowiedzi na słowa pani Verdurin.

— Oczywiście nie mówią tego panu w oczy; co nie przeszkadza, że pan jest pośmiewiskiem całego konserwatorium — odparła jadownicie pani Verdurin, chcąc dowieść Morelowi, że chodzi tu nie tylko o pana de Charlusa, ale i o niego. — Chcę wierzyć, że pan nic nie wie, mimo że gadają o tym dość głośno. Niech pan spyta Skiego, co mówiono kiedyś u Chevillarda, o dwa kroki od nas, kiedy pan wszedł do mojej łoży. Po prostu pokazują pana palcami. Co do mnie, powiem panu, że na to nie zważam; ale to fakt, że to straszliwie ośmiesza mężczyznę i że zostaje już pośmiewiskiem na całe życie.

— Nie wiem, jak pani dziękować — rzekł Charlie tonem takim, jakim się dziękuje dentyście, który nam zadał straszliwy, a pokrywany przez nas ból, lub krwiożerczemu sekundantowi, który nas zmusił do pojedynku o błahy żart, oświadczwszy: „Nie może pan tego schować do kieszeni”.

— Sądzę, że pan ma charakter, że pan jest mężczyzną — odparła pani Verdurin. — Potrafi pan mówić głośno i wyraźnie, chociaż on opowiada na prawo i lewo, że się pan nie ośmieli, że trzyma pana w ręku.

Charlie, sztukując pożyczoną godnością podarte strzępy własnej, przypomniał sobie coś, co przeczytał lub usłyszał, i natychmiast oświadczył:

— Nie nauczono mnie przymykać oczu na takie sprawy. Dziś wieczór zerwę z panem de Charlus. Królowa Neapolu już poszła, nieprawdaż?... Inaczej przed zerwaniem poprosiłbym go...

— Nie jest konieczne całkiem z nim zrywać — rzekła pani Verdurin, nie chcąc rozbijać swego kółka. — Doskonale mógłby go pan widywać tutaj, w naszej „paczce”, gdzie pana cenią, gdzie nikt o panu nie powie nic złego. Ale niech pan zażąda swobody ruchów; a następnie niech mu się pan nie pozwala wlec do wszystkich kłęb, które są przyjemne w oczy, ale chciałabym, żebyś pan słyszał, co one mówią za plecami. Zresztą niech pan tego nie żałuje; nie tylko zmywa pan plamę, która by panu została na całe życie, ale biorąc artystycznie, nawet gdyby nie chodziło o ubliżającą protekcję Charlusa, powiem panu, że marynowanie się w tym fałszywym wielkim świecie dałoby panu wygląd niepoważny, reputację amatora, salonowego muzyka, co jest groźne w pańskim wieku. Rozumiem, że dla wszystkich tych damulek bardzo wygodnie jest robić grzeczności przyjaciółkom, sprowadzając pana gratis; ale koszta tego opłaciłaby pańska przyszłość jako artysty. Iść do jednej, do dwóch — nie mówię. Wspominał pan o królowej Neapolu, która poszła, bo miała jakiś wieczór; to zacna kobieta i powiem panu, iż sądzę, że ona nieszczęśliwym okiem widzi Charlusa i przyszła zwłaszcza dla mnie. Tak, tak, wiem, że miała ochotę poznać mnie i męża. To jest dom, gdzie pan mógłby zagrać. A potem powiem panu, że gdyby pan gdzieś poszedł ze mną, którą artyści znają, wie pan, dla której zawsze są tacy mili, którą uważają po trosze za swoją, za swoją „pryncypałkę”, to zupełnie inna sprawa. Ale niech się pan strzeże zwłaszcza jak ognia chodzić do takiej Duras! Niech pan nie robi podobnego głupstwa! Znam artystów, którzy przychodzili mi się zwierzać potem. Wiedzą, że mnie mogą zaufać — rzekła z łagodną prostotą, jaką umiała nagle przybierać, dając swoim rysom wyraz skromności, oczom swoisty czar — ot, przychodzą mi opowiadać swoje kłopoty; ci, co uchodzą za największych milczków, gawędzą ze mną czasem godzinami, nie umiem panu powiedzieć, jacy są wówczas zajmujący. Biedny Chabrier powiedział zawsze: „Jedna pani Verdurin umie człowieka rozgadać”. Otóż wie pan, wszyscy, powiadam panu, bez wyjątku, płakali po prostu, że się dali złapać na granie u tej Duras. Nie tylko ona sama z rozmysłu upokarza ich przez służbę, ale nie mogli potem

nigdzie znaleźć *engagement*<sup>185</sup>. Dyrektorzy mówili: „A, to ten, co grywa u księżnej de Duras”. Skończone. Nie ma rzeczy, która by bardziej podcięła panu skrzydła. Pan wie, te światowe wysługi nie przydają artyście powagi; może ktoś mieć talentu ile wlezie, ale, smutno powiedzieć, wystarczy jednej pani de Duras, żeby człowiek zyskał opinię amatora. A dla artystów, pan wie, rozumie pan, że ja ich znam, toć od czterdziestu lat żyję z nimi, popieram ich, lansuję, interesuję się nimi, otóż, wie pan, dla nich powiedzieć o kimś „amator” to już koniec. I w gruncie zaczynano to mówić o panu. Ileż razy musiałam walczyć o pana, zapewniać, że pan nigdy by nie grał w jakimś pociesznym salonie! Wie pan, co odpowiadano: „Ależ będzie musiał; Charlus nawet się go nie spyta, on się go nie pyta o zdanie”. Ktoś myślał, że sprawi baronowi przyjemność, mówiąc: „Wspaniały artysta, ten twój przyjaciel Morel”. Czy pan wie, co on odpowiedział, z tą impertynencką miną, którą pan zna: „Skąd się panu uroiło, że to mój przyjaciel; nie jesteśmy z tej samej sfery, powiedz pan, że to moja kreatura<sup>186</sup>, mój protegowany...” — W tej chwili pod wysklepionym czołem bogini muzyki kłębiła się jedyna rzecz, której pewne osoby nie umieją zachować dla siebie, słowo, które powtarzać jest nie tylko wstrętne, ale nieostrożne. Ale potrzeba powtórzenia go mocniejsza jest niż honor, niż ostrożność. Tej właśnie potrzebie, po paru konwulsyjnych drganiach sferycznego i stroskanego czoła, uległa „pryncypałka”: — Powtórzono nawet mężowi, że powiedział: „mój służący”, ale tego nie mogą twierdzić — dodała. Podobna potrzeba skłoniła pana de Charlus, wkrótce po przysiędze danej Morelowi, że nikt nigdy nie dowie się o jego pochodzeniu, do zwierzenia pani Verdurin: „To syn lokaja”. Podobna również potrzeba, teraz kiedy słowo padło, miało mu dać krążyć z ust do ust między osobami powierzającymi je sobie pod pieczęcią tajemnicy — przyrzeczonej, a niedotrzymanej, tak jak jej nie dotrzymały one same. Te słowa miały w końcu wrócić, niby w grze w „lisa”, do pani Verdurin, różniąc ją z zainteresowanym, który się w końcu o tym dowie. Wiedziała o tym, ale nie mogła powstrzymać słowa, które jej parzyło język. Słowo „służący” musiało zranić Morela; mimo to powiedziała „służący”, a jeżeli zrobiła zastrzeżenie, uczyniła to po to, aby tym odcieniem wyrazić, że jest pewna reszty, i aby okazać bezstronność. Ta jej bezstronność wzruszyła ją samą tak, że zaczęła mówić tkliwie: — Bo widzi pan, ja jemu nie robię wyrzutów; ciągnie pana w przepaść, to prawda, ale to nie jego wina, skoro się sam w nią stacza, skoro się w nią stacza — powtórzyła silniej, oczarowana trafnością obrazu, który wyrwał się jej z ust tak szybko, że zauważyła go dopiero teraz i starała się go uwydatnić. — Nie; ale wyrzucam mu to — rzekła lirycznie jak kobieta oszołomiona swoim sukcesem — że on w stosunku do pana nie ma delikatności. Są rzeczy, których nie opowiada się całemu światu. I tak przed chwilą baron założył się, że się pan zaczerwieni z przyjemności, kiedy panu oznajmi (błaga oczywiście, bo jego protekcja byłaby dostateczną przeszkodą), że pan dostanie Krzyż Legii. To jeszcze mniejsza, mimo że nigdy tego nie lubiłam — dodała tonem delikatnym i godnym — żeby ktoś oszukiwał przyjaciół; ale pan wie, że są drobiazgi, które nam sprawiają przykrość. Na przykład kiedy baron, pękając ze śmiechu, opowiada, że jeżeli pan pragnie Krzyża Legii, to przez wzgląd na wuja, i że pański wuj był fagasem<sup>187</sup>.

— Powiedział to! — wykrzyknął Charlie, uwierzywszy z tych zręcznych cytatów w prawdę wszystkiego, co mówiła pani Verdurin. Pani Verdurin uczuła przypływ szczęścia, niby stara kochanka, która już na wpół opuszczona przez młodego amanta, zdoła szczęśliwie zerwać jego małżeństwo. I może nie obmyśliła swego kłamstwa i nie skłamała świadomie. Pewna logika uczuć, jeszcze pierwotniejszy może nerwowy odruch, który jej kazał, dla rozrywki i dla chronienia swego szczęścia, „mącić wodę” w swojej „paczce”, sprowadzał jej odruchowo na wargi (zanim miała czas skontrolować prawdziwość faktów) te twierdzenia szatańsko skuteczne, jeżeli nie całkiem ścisłe.

— Gdyby to mówił tylko nam, to by nie miało znaczenia — ciągnęła „pryncypałka”. — My wiemy, że tego, co on mówi, trzeba jednym uchem słuchać, a drugim wypuszczać; przy tym żadna praca nie hańbi, a wartość swoją zawdzięcza pan sobie; ale nie mogę ścierpieć, że on zabawia tym panią de Portefin — pani Verdurin zacytowała ją umyślnie, bo wiedziała, że Charlie kocha się w pani Portefin. — Mąż mówił mi, słysząc to: „Wolałbym

<sup>185</sup>*engagement* (fr.) — angaż, umowa z artystą. [przypis edytorski]

<sup>186</sup>*kreatura* (daw., z łac.) — osoba zawdzięczająca swoją pozycję komuś wpływowemu, wykreowana przez kogoś. [przypis edytorski]

<sup>187</sup>*fagas* (daw.) — służący, lokaj. [przypis edytorski]

dostać po papie”. Bo Gustaw pana kocha tyle co ja — w ten sposób dowiedziano się, że pan Verdurin nazywa się Gustaw. — W gruncie to jest tklive serce.

— Ależ ja ci nigdy nie mówiłem, że go kocham — mruknął Verdurin, robiąc zacnego burczymuchę. — To Charlus go kocha.

— Och, nie, teraz rozumiem różnicę, byłem ofiarą nędznika, a pan jest dobry — wykrzyknął szczerze Charlie.

— Nie, nie — szepnęła pani Verdurin, czując, że jej „środy” są ocalone, i nie nadużywając zwycięstwa. — Nędznik to za wiele powiedziane: robi dużo, bardzo dużo złego, nieświadomie; pan wie, ta historia z Legią nie trwała bardzo długo. A byłoby mi nieprzyjemnie powtórzyć panu wszystko, co opowiadał o pańskiej rodzinie — rzekła pani Verdurin, która byłaby w wielkim kłopotcie, gdyby jej przyszło to uczynić.

— Och! To nic nie znaczy, że nie trwało długo; to dowodzi, że to jest zdrajca! — wykrzyknął Morel.

W tej właśnie chwili weszliśmy do salonu.

— Ha! ha! — wykrzyknął pan de Charlus, odnajdując Morela i zbliżając się do muzyka z radością człowieka, który zorganizował umiejętnie cały wieczór pod kątem schadzki z kobietą i który w swoim upojeniu nie domyśla się, że sam zastawił pułapkę, w którą ludzie nastawieni przez męża złapią go, aby go publicznie ochłostać. — I cóż, nareszcie jesteś: gdzieś ty się ukrywał, młoda sławo i niebawem młody kawalerze Legii Honorowej? Bo niedługo będziesz mógł przypiąć sobie Krzyż Legii — rzekł pan de Charlus do Morela z akcentem tklivości i tryumfu, wzmianką o Krzyżu Legii potwierdzając właśnie kłamstwa pani Verdurin, w których Morel uznał z tą chwilą bezsporną prawdę.

— Zostaw mnie pan, zabraniam panu zbliżać się do mnie! — krzyknął Morel. — To dla pana nie pierwszyna, ja nie jestem pierwszy, którego pan próbuje znieprawić.

Jedyną moją pociechą była myśl, że ujrzę Morela i Verdurinów startych w proch przez pana de Charlus. Za tysiąc razy mniejsze rzeczy doznawałem jego oszalałych gniewów; nikt nie był od nich bezpieczny, król nie byłby go onieśmielił. Otóż stała się rzecz zdumiewająca. Ujraliśmy pana de Charlus, jak stał niemy, zdrętwiały, zgłębiając swoje nieszczęście i nie rozumiejąc jego przyczyny, nie znajdując słowa, podnosząc czy kolejno na wszystkich obecnych, z miną badawczą, oburzoną, błagalną, zdającą się pytać nie tyle, co się stało, ile co ma odpowiedzieć. A przecie pan de Charlus posiadał wszystkie zasoby nie tylko wymowy, ale zuchwalstwa, kiedy zdjęty od dawna kipiącą w nim wściekłością, przygwałdził kogoś osłupiałego za pomocą najkrwawszych słów wobec zgorszonego towarzystwa, nie przypuszczającego nigdy, aby się można było posunąć tak daleko. W takich wypadkach pan de Charlus ział ogniem, miotał się w istnych atakach, które wszystkich przyprawiały o drżenie. Ale bo wówczas baron miał inicjatywę, atakował, mówił to, co chciał (jak Bloch umiał żartować z Żydów, a rumienił się, kiedy ktoś wymówił to słowo przy nim). Może gdy ujrzał, że państwo Verdurin odwracają oczy i że mu nikt nie przyjdzie z pomocą, oniemił go doraźny ból, a zwłaszcza obawa przed przyszłym cierpieniem; i to, że nie namontowawszy się z góry i nie nastroiwszy swego gniewu, nie mając gotowej wściekłości w zanadrzu, zaskoczony nagle, otrzymał cios w chwili, gdy był bez broni. Wrażliwy, histeryczny, baron był człowiekiem szczerze impulsywnym, ale pozornie tylko odważnym; nawet pozornie złym (czego się zawsze domyślałem i co mi go czyniło sympatycznym). Ludzi, których nienawidził, nienawidził dlatego, iż sądził, że nim gardzą; gdyby byli dlań mili, wówczas zamiast się upijać wściekłością uściskałby ich; nie miał normalnych reakcji obrażonego na honorze człowieka. W środowisku przy tym nie będącym jego sfer, czuł się mniej swobodny i mniej odważny niż w Faubourg Saint-Germain. Faktem jest, że w tym pogardzanym salonie ów wielki pan (którego wyższość nad „lykami” nie bardziej była z nim zrosnięta niż u któregoś z jego przodków drżącego przed trybunałem rewolucyjnym), dotknięty paraliżem wszystkich członków i języka, umiał jedynie rzucać na wszystkie strony przerażone spojrzenia, oburzone własną krzywdą, błagalne i pytające. W tak okrutnej, a nieprzewidzianej sytuacji, ten wielki pyskacz umiał jedynie wyjąkać: „Co to znaczy, co się stało?”. Nie dosłyszano go nawet. I wiekuisty gest panicznego strachu tak mało się zmienił, że ten starszy pan, któremu się zdarzyła niemila

przygoda w paryskim salonie, powtarzał bezwiednie kilka schematycznych pów, w jakich dawna rzeźba grecka wystylizowała przestrach nimf ściganych przez bożka Pana<sup>188</sup>.

Ambasador w niełasce, biurokrata przeniesiony nagle w stan spoczynku, chłodno przyjęty światowiec, zawiedziony kochanek rozważają często przez całe miesiące wypadek, który stał się grobem ich nadziei; obracają go na wszystkie strony niby granat wydobyty nie wiadomo skąd i nie wiadomo przez kogo, bez mała jak aerolit<sup>189</sup>. Chcieliby poznać składniki szczególnego pocisku, który spadł na nich; odgadnąć zakłętę w nim złe intencje. Chemicy rozporządzają bodaj analizą; chorzy cierpiący na nieznaną im chorobę mogą sprowadzić lekarza; sprawy kryminalne rozplątuje mniej lub więcej sędzia śledczy. Ale rzadko odkrywamy pobudki bliźnich i ich niewytłumaczonych dla nas postępów. I tak (aby uprzedzić wypadki następujące po tym wieczorze, do którego powrócimy), dla pana de Charlus w zachowaniu się Morela jedno tylko było jasne. Charlie, który często groził baronowi, że rozgłosi jego miłość i zaloty, skorzystał zapewne z tego, że obecnie czuł się dość silny, aby latać na własnych skrzydłach. I widocznie przez czystą niewdzięczność opowiedział wszystko pani Verdurin. Ale w jaki sposób pani Verdurin dała się oszukać? Bo baron, zdecydowany przeczyć, sam był już przeświadczony, że uczucia, o jakie mogą go pomawiać, są urojeniem. Przyjaciele pani Verdurin, może sami dybiąc na cnotę Morela, przygotowali grunt. W rezultacie przez następne dni pan de Charlus wysyłał strasliwe listy do wielu „wiernych”, zgoła niewinnych, którzy myśleli, że baron oszalał. Potem wybrał się do pani Verdurin z długim i wzruszającym opowiadaniem, które nie osiągnęło zresztą upragnionego skutku. Bo z jednej strony pani Verdurin powtarzała baronowi: „Niech się pan już nim po prostu nie zajmuje, niech pan to zlekceważy, to dzieciak”, gdy baron wzdychał tylko do pojednania; z drugiej strony, aby osiągnąć ten cel, odejmując Morelowi wszystko, co skrzypek uważał za swój stan posiadania, baron prosił panią Verdurin, aby przestała przyjmować Morela; odmówiła, narażając się na wzburzone i sarkastyczne listy pana de Charlus. Przechodząc od jednego do drugiego przypuszczenia, baron nie dojrzał nigdy prawdy, mianowicie, iż rzecz wcale nie wyszła od Morela. Zapewne mógłby się tego dowiedzieć, prosząc skrzypka o chwilę rozmowy. Ale uważał to za niegodne siebie i sprzeczne z interesami swojej miłości. Był obrażony, czekał wyjaśnień. Zresztą prawie zawsze w związku z myślą o rozmowie zdolnej rozproszyć nieporozumienie czai się jakaś inna myśl, która z tych czy innych przyczyn każe nam tej rozmowy unikać. Ten, co w dwudziestu okazjach poniżył się i dowiódł własnej słabości, zdobędzie się na dumę dwudziesty pierwszy raz, właśnie wówczas, kiedy byłoby celowe nie upierać się i rozproszyć błąd utrwalający się w drugiej osobie wobec braku zaprzeczenia.

A teraz światowa strona tego wypadku. Rozeszła się pogłoska, że pana de Charlus wyrzucono za drzwi od Verdurinów, w chwili gdy się starał zgwałcić młodego muzyka. Pogłoska ta sprawiła, że nie dziwiono się, nie spotykając już pana de Charlus u Verdurinów; kiedy zaś przypadkiem spotkał gdzieś któregoś z „wiernych”, posądzonego i znieważanego przez barona, nikt się nie dziwił, że ów się nie wita z panem de Charlus. Sądzono, że już nikt z „paczki” nie kłania się baronowi.

Podczas gdy pan de Charlus, zmiażdżony słowami Morela i zachowaniem się „pryncypałki”, trwał w pozie nimfy zdjętej panicznym strachem, państwo Verdurin, jakby na znak dyplomatycznego zerwania, usunęli się do pierwszego salonu, zostawiając pana de Charlus samego, gdy na estradzie Morel pakował skrzypce.

— Opowiesz nam, jak się to odbyło — rzekła łakomie pani Verdurin do męża.

— Nie wiem co mu pani powiedziała — rzekł Ski. — Wyglądał straszliwie wzruszony, ma łzy w oczach.

— Sądzę, że to, co powiedziałam, było mu całkiem obojętne — rzekła pani Verdurin. Manewr ten, niezdolny zresztą oszukać wszystkich, miał zmusić rzeźbiarza do powtórzenia, że Charlie płakał. Łzy te napawały „pryncypałkę” zbyt wielką dumą, aby się chciała narazić na to, że ktoś z „wiernych” mógłby nie dosłyszeć i nie dowiedzieć się o nich.

<sup>188</sup> *Pan* (mit. gr.) — bóg opiekuńczy pól i lasów, pasterzy i ich stad, przedstawiany z kozłimi nogami; przypisywano mu dużą aktywność seksualną, a obiektami jego zalotów były zarówno nimfy, jak i młodzi chłopcy; jego nagły krzyk miał wywoływać wśród ludzi i zwierząt nagły popłoch i przerażenie, stąd określenie: paniczny strach. [przypis edytorski]

<sup>189</sup> *aerolit* — meteoryt kamienny. [przypis edytorski]



— Ależ nie, to mu nie było obojętne, widziałem przecie wielkie łzy błyszczące w jego oczach — rzekł rzeźbiarz oblesnym tonem, uśmiechając się z porozumiewawczą złośliwością, zerkając równocześnie dla sprawdzenia, czy Morel znajduje się wciąż na estradzie i czy nie może słyszeć. Ale była osoba, która usłyszała i której obecność, skoro ją tylko spostrzeżono, miała przywrócić Morelowi straconą nadzieję. Była to królowa Neapolu, która zapomniawszy wachlarza, uważała za uprzejmiejsze, opuszczając inny wieczór, wstąpić po wachlarz sama. Weszła skromnie, jakby zmieszana, gotowa się usprawiedliwić i zostać chwilę teraz, kiedy już nie było nikogo. Ale nie spostrzeżono jej wejścia w ogniu wydarzenia, które królowa rozumiała natychmiast i które ją oburzyło.

— Ski powiada, że on miał łzy w oczach, czy ty to zauważyłeś? — rzekła pani Verdurin. — Ja nie widziałam łez. A, owszem, przypominam sobie — poprawiła w obawie, aby nie uwierzono jej zaprzeczeniu. — Co do naszego baronka, nietęgą ma minę, powinien by usiąść na krześle, ledwo stoi na nogach, rozciągnie się — rzekła z bezlitosnym śmiechem.

W tej chwili, Morel podbiegł do niej.

— Czy ta pani, co weszła, to nie królowa Neapolu? — spytał (mimo iż wiedział, że to ona), pokazując królową, która podeszła do Charlusa. — Po tym, co się zdarzyło, nie mogę już, niestety, prosić barona, żeby mnie przedstawił.

— Zaczekaj pan, ja to zrobię — rzekła pani Verdurin i w towarzystwie paru „wiernych” (ale nie moim i nie Brichota, obaj bowiem czym prędzej poprosiliśmy o rzeczy i wyszliśmy) zbliżyła się do królowej, która rozmawiała z panem de Charlus. Ów wierzył przed chwilą, że jedynie nieprawdopodobna śmierć monarchini mogłaby udaremnić jego marzenie, mianowicie, aby przedstawić Morela królowej. Ale człowiek wyobraża sobie przyszłość jako refleks teraźniejszości rzutowanej w pustą przestrzeń, gdy ona jest wynikiem — często bardzo bliskim — przyczyn przeważnie dla nas nieuchwytnych. Nie upłynęła godzina, a oto pan de Charlus dałby wszystko za to, żeby Morela nie przedstawiono królowej. Pani Verdurin złożyła przed królową ukłon. Widząc, że ta jej nie poznaje, rzekła:

— Jestem pani Verdurin. Wasza królewska mość mnie nie poznaje.

— Owszem — rzekła królowa, mówiąc dalej do Charlusa tak naturalnie i z miłą tak doskonale nieobecna, że pani Verdurin nie wiedziała, czy to do niej odnosi się owo „owszem”, wymówione tonem tak cudownego roztargnienia, które wyrwało panu de Charlus, w pełni jego miłosnej rozpacz, uśmiech wdzięczności. Był to uśmiech smakosza i znawcy w zakresie impertynencji.

Morel, przeczuwając prezentację, zbliżył się. Królowa podała ramię panu de Charlus. Na niego też była zła, ale tylko dlatego, że nie stawił energiczniej czoła nikczemnym zuchwalcom. Rumieniła się zań ze wstydu, że Verdurinowie ośmielili się go traktować w ten sposób. Pełna prostoty sympatia, jaką im okazała przed paru godzinami, oraz impertynencka duma, z jaką stała teraz pośród nich, miały źródło w tym samym odruchu jej serca. Będąc głęboko dobrą, królowa pojmowała dobroć przede wszystkim jako niezłomne przywiązanie do tych, których kochała, do swoich, do wszystkich członków rodziny (do których należał pan de Charlus), następnie do wszystkich osób z mieszczaństwa lub z prostego ludu umięających szanować tych, których kochała, i żywić dla nich dobre uczucia. Okazała sympatię pani Verdurin, uważając ją za kobietę obdarzoną tymi instynktami. Niewątpliwie jest to ciasne, trochę torysowskie<sup>190</sup> i coraz bardziej przestarzałe pojęcie dobroci; co nie znaczy, aby ta dobroć była mniej szczerą i mniej gorącą. Starożytni kochali nie mniej silnie społeczność ludzką, której część stanowili, mimo iż ta społeczność nie przekraczała granic miasta; a ludzie dzisiejsi nie mniej kochają ojczyznę, niż ci, co będą kochali Stany Zjednoczone całej Ziemi. Miałem tuż obok siebie przykład matki, której pani de Cambremer i pani de Guermantes nigdy nie mogły skłonić do tego, żeby wzięła udział w jakiejś akcji filantropijnej, w parriotycznym bazarze, w jakiejkolwiek karocie<sup>191</sup> lub patronażu. Nie chcę twierdzić, aby miała rację, działając jedynie wówczas, kiedy ją wołało serce, i zachowując dla rodziny, dla domowników, dla nieszczęśliwych, których przypadek sprowadził na jej drogę, skarby miłości i szlachetności; ale wiem, że te skarby,

<sup>190</sup>torys — członek powstałego pod koniec XVII w. angielskiego stronnictwa politycznego, wspierającego silną władzę królewską, interesy ziemiaństwa i Kościoła; w 1834 stronnictwo przekształciło się w Partię Konserwatywną, potocznie nadal nazywaną torysami. [przypis edytorski]

<sup>191</sup>karota (daw.) — zbieranie datków na cele dobroczynne, kwesta. [przypis edytorski]

jak u babki, były niewyczerpane i o wiele przekraczały wszystko, co mogły zrobić i zrobiły kiedykolwiek panie de Guermites lub de Cambremer. Charakter królowej Neapolu był zgoła odmienny, ale trzeba się z tym pogodzić, że pojmowała sympatyczne istoty wcale nie w stylu powieści Dostojewskiego (które Albertyna znalazła w mojej bibliotece i zagarnęła), gdzie mają fizjonomie oblesnych pieczeniarzy, złodziejów, pijaków, płaskich, to znów zuchwałych, rozpustnych, w potrzebie morderców. Zresztą, ostateczności spotykają się: tutaj człowiekiem szlachetnym, bliskim, znieważonym, krewniakiem potrzebującym obrony był pan de Charlus, to znaczy, mimo jego urodzenia i wszystkich pokrewieństw z królową, ktoś, czyje cnoty sąsiadowały z przywarami.

— Niedobrze wyglądasz, kuzynie — rzekła do pana de Charlus. — Oprzyj się na moim ramieniu. Bądź pewny, że zawsze cię ono podeprze. Dostyc jest silne na to. — Potem, podnosząc dumnie oczy i spoglądając (opowiedział mi to Ski) wprost na panią Verdurin i na Morela, dodała: — Wiesz, że niegdyś w Gaecie umiało ono trzymać w respekcie kanalię. Potrafi ci posłużyć za szaniec.

I w ten sposób, prowadząc pod ramię barona i nie pozwoliwszy przedstawić sobie Morela, wyszła wspaniała siostra cesarzowej Elżbiety.

Można było przypuszczać, sądząc po strasliwym charakterze pana de Charlus, po terrorze, jakim gnębił nawet krewnych, że będzie w następstwie tego wieczoru ścigał swoją wściekłością Verdurinów i stosował wobec nich represje. Widzieliśmy, czemu nie stało się to od razu. Następnie baron, zaziębiwszy się w jakiś czas potem i dostawszy zakaźnego zapalenia płuc, które srożyło się w owym czasie, długo był, wedle uznania lekarzy i własnego poczucia, o włos od śmierci, pozostając przez kilka miesięcy w największym niebezpieczeństwie. Czy to była po prostu metastaza<sup>192</sup> fizyczna, zastąpienie innym cierpieniem neurozy, która wyładowywała się dotychczas w atakach furii? Bo zbyt proste byłoby przyjąć, że baron, który nigdy nie brał serio, z towarzyskiego punktu widzenia, Verdurinów, zrozumiawszy w końcu rolę, jaką odegrali, nie mógł mieć do nich pretensji, jakie by miał do równych sobie; zbyt proste również byłoby przypominać, że nerwowcy, burząc się z lada okazji na urojonych i niewinnych wrogów, stają się bezsilni, z chwilą gdy ktoś podejmie przeciw nim ofensywę. Snadziej uspokaja się ich, tryskając im zimną wodę w twarz, niż starając się wykazać czczość ich uraz. I zapewne nie w jakiejś metastazie trzeba szukać tego braku reakcji, ale w samej chorobie. Zmęczyła barona tak, że mało zostawało mu sił na myślenie o Verdurinach. Był na wpół umierający. Wspominałem o ofensywie; nawet te ofensywy, które będą miały skutek jedynie pośmiertny, wymagają, jeżeli się je chce przyzwoicie „zmontować”, poświęcenia części swoich sił. Zbyt mało zostawało ich panu de Charlus na taki wysiłek. Mówi się o śmiertelnych wrogach, którzy otwierają oczy, aby się ujrzeć wzajem w momencie śmierci, i zamykają je szczęśliwi. To musi być rzadkie, chyba że nas śmierć zaskoczy w pełni życia. Przeciwnie, w chwili kiedy człowiek nie ma już nic do stracenia, nie szuka ryzyka, które podjąłby lekko w pełni sił. Duch zemsty stanowi część życia, opuszcza nas najczęściej na progu śmierci — mimo wyjątków, które, jak to ujrzymy, tworzą częste sprzeczności nawet w jednym charakterze ludzkim. Przypomniał sobie na chwilę Verdurinów, pan de Charlus czuł się zbyt znużony, obracał się do ściany i nie myślał już o niczym. Jeżeli często milczał w ten sposób, to nie dlatego, aby stracił swadę. Płynęła jeszcze niby ze źródła, ale zmieniła się. Oderwana od wybuchów, które krasila tak często, stała się wymową niemal mistyczną, którą upiększały kojące słowa ewangelii, pozorna rezygnacja śmierci. Wymowny był zwłaszcza w dniach, w których sądził, że jest ocalony. Recydywa pogrążała go w milczeniu. Chrześcijańska słodycz, w którą wysublimowała się wspaniała porywczność barona (jak u Racine'a<sup>193</sup> w Esterę tak odmienny duch Andromaki) budziła podziw otoczenia. Byłaby wzbudziła podziw samych Verdurinów, każąc im ubóstwiać człowieka, którego wady zrodziły ich nienawiść. Zapewne wypływały na wierzch myśli mające tylko pozór chrześcijański. Baron błagał archaniola Gabriela, aby mu oznajmił, jak prorokowi, kiedy przyjdzie do niego Mesjasz. I przerywając sobie słodkim, ale bolesnym uśmiechem, dodawał:

<sup>192</sup>metastaza (med.) — przerzut (np. nowotworowy). [przypis edytorski]

<sup>193</sup>Racine, Jean Baptiste (1639–1699) — wybitny francuski dramaturg, autor tragedii opartych na motywach klasycznych i biblijnych; do jego dzieł należą m.in. *Andromacha* (1667) i *Estera* (1689). [przypis edytorski]

— Ale nie chciałbym, żeby archanioł kazał mi, jak Danielowi, czekać cierpliwie „siedem tygodni i sześćdziesiąt dwa tygodnie”<sup>194</sup>, bo wcześniej umrę.

Tym, którego tak czekał, był Morel. Toteż baron prosił archanioła Gabriela, żeby mu go przyprowadził, jak młodego Tobiasza<sup>195</sup>. I przechodząc do bardziej ludzkich metod (niby chory papież, który każąc odprawiać msze, nie zaniedbuje wezwać lekarza), podsuwał odwiedzającemu, że gdyby Brichot przywiódł mu szybko młodego Tobiasza, może archanioł Gabriel zgodziłby się wrócić mu wzrok jak ojcu Tobiasza lub jak w świętej sadzawce Betsaidy<sup>196</sup>. Ale mimo tych zbyt ludzkich nawrotów niemniej czystość moralna odezwań się pana de Charlus stała się urocza. Próżność, obmowa, szal złości i pychy — wszystko znikło. Moralnie pan de Charlus wzniósł się o wiele ponad poziom, na którym żył niegdyś. Ale ta doskonałość, co do której wymowa barona zdolna była poniekąd omamić wzruszonych słuchaczy, ta doskonałość znikła wraz z chorobą, na której tle się rozwinęła. Pan de Charlus stoczył się po pochyłości z rosnącą, jak to ujrzymy, chyżością. Ale scena u Verdurinów była już tylko dość odległym wspomnieniem, któremu doraźniejsze gniewy nie pozwoliły wskresnąć.

Cofnijmy się do wieczoru Verdurinów. Kiedy państwo zostali sami, Verdurin rzekł:

— Czy wiesz, dokąd poszedł Cottard? Jest u Saniette’a, którego manewr giełdowy, mający go ocalić, spalił na panewce. Wyszedłszy od nas i przed chwilą wróciwszy do siebie, dowiadując się, że nie ma już ani franka, a ma blisko milion długów, Saniette dostał ataku.

— Ale też po co grał; idiotyczne, to człowiek najmniej stworzony do tego! Sprytniejsi dają się oskubać, a on był przeznaczony na to, aby go każdy wykierował.

— Ależ rozumie się, od dawna wiemy, że to idiota — rzekł Verdurin. — Ale ostatecznie stało się. Jutro gospodarz wyrzuci go na bruk, znajdzie się w ostatniej nędzy; rodzina nie lubi go, a z pewnością nie Forcheville mu pomoże! Toteż pomyślałem... wiesz, ja nie chcę nic zrobić, co by ci się miało nie podobać, ale moglibyśmy może zapewnić mu niedużą rentę, tak aby nie odczuł zbyt swojej ruiny, aby się mógł leczyć u siebie w domu.

— Ależ najchętniej; to bardzo ładnie, żeś o tym pomyślał. Ale ty mówisz: „u siebie w domu”; ten głupiec zatrzymał mieszkanie za drogie, to niemożliwe, trzeba by mu znaleźć jakieś dwa pokoiki. Zdaje się, że on wciąż ma apartament za jakieś sześć czy siedem tysięcy.

— Sześć tysięcy pięćset. Ale on jest bardzo przywiązany do tego mieszkania. Ostatecznie, miał już pierwszy atak, nie pożyje więcej niż dwa, trzy lata. Przypuśćmy, że wydamy na niego dziesięć tysięcy rocznie przez trzy lata. Sądzę, że możemy sobie na to pozwolić. Moglibyśmy na przykład w tym roku zamiast wynająć la Raspelière wziąć coś skromniejszego. Przy naszych dochodach myślę, że te dziesięć tysięcy franków przez trzy lata są w granicach możliwości.

— Przypuśćmy, ale to ma tę złą stronę, że się rozgłosi, nałoży na nas obowiązek robienia tego samego dla innych.

— Zgadujesz, że pomyślałem o tym. Zrobię to jedynie pod wyraźnym warunkiem, żeby nikt o tym nie wiedział. Ślicznie dziękuję, nie mam ochoty, żebyśmy awansowali na dobroczyńców rodzaju ludzkiego. Żadnej filantropii! Można by po prostu powiedzieć, że mu to zapisała księżna Szerbatow.

— Ale czy uwierzy? Radziła się Cottarda w sprawie testamentu.

— W ostateczności można by Cottarda przypuścić do sekretu; przywykł do tajemnicy zawodowej, zarabia masę pieniędzy, to nie będzie nigdy jeden z pasażerów, za których trzeba bulić. Może on sam się zgodzi powiedzieć Saniette’owi, że księżna użyła go za pośrednika. W ten sposób my byśmy nawet nie figurowali w tej sprawie. To by nam oszczędziło piły scen wdzięczności, wylewów, frazesów.

<sup>194</sup>siedem tygodni i sześćdziesiąt dwa tygodnie — Dn 9, 25 (czas, jaki wg objaśnienia wizji proroka Daniela przekazanego mu przez archanioła Gabriela miał upłynąć pomiędzy ogłoszeniem powrotu wygnańców żydowskich do kraju i odbudowy Jerozolimy a pojawieniem się Władcy-Pomazańca, Mesjasza). [przypis edytorski]

<sup>195</sup>Tobiasz — postać biblijna, bohater *Księgi Tobiasza*: na polecenie ojca, który utracił wzrok, wyruszył do Medii odebrać dług; w podróży towarzyszył mu Azariasz, który namówił go do ślubu z Sarą, pomógł w uwolnieniu jej od złego ducha i przekazał mu sposób, w jaki może uzdrowić ślepotę ojca; po powrocie Azariasz okazał się zesłanym przez Boga aniołem Rafałem. [przypis edytorski]

<sup>196</sup>sadzawka Betsaidy — *Betesda*, biblijny zbiornik wodny w Jerozolimie, miejsce uzdrowień znane z J 5, 2–5: kiedy anioł zstępował do tej sadzawki i poruszał jej wody, nabierały one własności uzdrawiających; w starożytnych manuskryptach ewangelii wg Jana występuje pod nazwą *Bethesda*, *Bethzatha* lub *Bethsaida*. [przypis edytorski]

Verdurin dodał tu jakieś słowo wyrażające najoczywściej ten rodzaj wzruszających scen i frazesów, których chciałby uniknąć. Ale nie powtórzono mi go wiernie, bo nie było francuskie; to było jedno z owych wyrażen zadomowionych w pewnych rodzinach na oznaczenie pewnych rzeczy, zwłaszcza rzeczy drastycznych, prawdopodobnie dlatego, aby je móc nazywać bezpiecznie w obecności zainteresowanych. Ten rodzaj wyrażen bywa szczątkiem dawnego charakteru jakiejś rodziny. W rodzinie żydowskiej na przykład będzie to termin rytualny użyty w nowym sensie; może jedyne słowo hebrajskie, jakie ta rodzina, zupełnie zasymilowana, zna jeszcze. W rodzinie wybitnie prowincjonalnej będzie to szczątek lokalnego narzecza, mimo że rodzina nie mówi już narieczem i nawet go nie rozumie. W rodzinie pochodzącej z południowej Ameryki, a mówiącej tylko po francusku, będzie to słowo hiszpańskie. W następnym pokoleniu słowo to przetrwa już tylko jako wspomnienie z dzieciństwa. Przypomnimy sobie, że rodzice, wymawiając przy stole jakieś słowo, robili aluzję do służby, tak aby służba nie rozumiała; ale dzieci nie wiedzą, co znaczyło ściśle to słowo, czy było hiszpańskie, hebrajskie, niemieckie, gwarowe, czy nawet w ogóle należało do jakiegoś języka, czy to nie było imię własne lub słowo sztucznie ukute? Wątpliwość można rozstrzygnąć jedynie wtedy, kiedy się ma jakiegoś dziadka, wuja, żyjącego jeszcze starego krewniaka, który się musiał posługiwać tym samym słowem. Ponieważ nie znalazłem żadnego krewniaka Verdurinów, nie mogłem ściśle odtworzyć tego słowa. Tyle jest pewne, że musiało ono wywołać uśmiech pani Verdurin, bo użytek owego języka, mniej powszechnego, bardziej osobistego i tajemnego niż język zwyczajny, daje tym, co się nim posługują samolubne uczucie, niepozbawione zadowolenia.

Skoro przeszła chwila wesołości, pani Verdurin rzekła:

— Ale jeżeli Cottard wypaple?

— Nie wypaple.

Wypaplał — przede mną przynajmniej, bo przez niego właśnie dowiedziałem się o tym fakcie w kilka lat później na pogrzebie Saniette'a. Żałowałem, że tego nie wiedział wcześniej. Po pierwsze szybciej by mi to uświadomiło, iż nigdy nie trzeba mieć pretensji do ludzi ani sądzić ich ze wspomnienia jakiejś ich niegodziwości, nie wiemy bowiem, co w innych momentach mogli postanowić w duszy i uczynić dobrego. Niewątpliwie zło, któreśmy stwierdzili nieodwołalnie, powróci, ale dusza jest o wiele bogatsza, ma wiele innych form, również powtarzających się u tych ludzi, do których uprzedzamy się na zasadzie ich złego uczynku. Następnie, z bardziej osobistego punktu, rewelacja Cottarda, gdyby ją uczynił wcześniej, nie pozostałaby bez wpływu na mnie. Zmieniając mój sąd o Verdurinach, rozproszyłaby moje podejrzenia co do ich możebnej roli między Albertyną i mną; rozproszyłaby je może zresztą niesłusznie. Bo jeżeli pan Verdurin, którego uważałem coraz to więcej za najgorszego człowieka, miał swoje zalety, był to jednak spryka, okrutny w swojej dokuczliwości oraz tak zazdrosny o władzę w swoim kółku, że się nie cofał przed najgorszym kłamstwem, podsycał najniedorzeczniejsze nienawiści, aby rwać między „wiernymi” więzy niemające za jedyne cel wzmocnienia „paczki”. Był to człowiek zdolny do cichej bezinteresowności i hojności, co niekoniecznie znaczy człowiek uczuciowy ani sympatyczny, ani skrupulatny, ani prawdomówny, ani zawsze dobry. Dobroć cząstkowa, wzięta po trosze w spadku po rodzinie zaprzyjaźnionej z moją cioteczną babką, prawdopodobnie istniała w nim tedy, zanim ją poznałem, jak Ameryka lub biegun północny istniały przed Kolumbem lub Pearym<sup>197</sup>. Niemniej w chwili mego odkrycia natura pana Verdurin odsłoniła mi nową niepodjęwaną fizjonomię; i pojąłem trudność ustalenia obrazu zarówno jakiegoś charakteru, jak społeczeństw i namiętności. Charakter zmienia się bowiem nie mniej od nich i jeżeli chcemy sfotografować to, co w nim jest stosunkowo niezmiennie, ukazuje zakłopotanej soczewce kolejno rozmaite fizjonomie (z tym jeszcze, że ów przedmiot nigdy nie jest nieruchomy, ale się rusza).

## ROZDZIAŁ TRZECI. ZNIKNIĘCIE ALBERTYNY

Wychodząc z wieczoru u Verdurinów bardzo późno, w obawie, aby się Albertyna nie znudziła, poprosiłem Brichota, żeby mnie wysadził przed domem, po czym mój fiaker odwiezie go. Powinnował mi (nie wiedząc, że czeka na mnie młoda dziewczyna), że wra-

<sup>197</sup>Peary, Robert Edwin (1856–1920) — amerykański oficer marynarki, badacz polarny, zdobywca bieguna północnego (6 IV 1909). [przypis edytorski]

cam wprost do domu, że tak wcześniej i rozsądnie kończę wieczór, którego przeciwnie, opóźniłem jedynie istotny początek. Potem zaczął mówić o panu de Charlus. Baron byłby zapewne zdumiony, słysząc jak profesor, tak dlań serdeczny, profesor, który stale głosił zasadę: „Nigdy nic nie powtarzam”, mówi o nim i o jego życiu bez najmniejszych ogródek. A zdumienie i oburzenie Brichota byłoby może nie mniej szczere, gdyby mu pan de Charlus powiedział: „Zapewniano mnie, że pan źle mówi o mnie”. Brichot lubił w istocie pana de Charlus i gdyby sobie uprzytomnił jakąś swoją rozmowę na temat barona, raczej przypominałby sobie uczucia własnej sympatii niż treść słów, podczas gdy mówił o nim to samo co cały świat. Nie poczuwałby się do kłamstwa, zapewniając: „Ja, który mówię o panu z taką przyjaźnią!”, skoro w istocie odczuwał nieco przyjaźni, mówiąc o baronie. Baron miał zwłaszcza dla Brichota urok, którego przede wszystkim profesor szukał w życiu światowym, polegający na oglądaniu w autentycznym egzemplarzu tego, co długo mógł uważać za wymysł poetów. Brichot, który często wykladał drugą *Sielankę* Wergilego, nie bardzo wiedząc, czy ta fikcja ma jaki podkład realny, znajdował na starość w rozmowie z panem de Charlus trochę owej przyjemności, którą mistrze jego, panowie Mérimée<sup>198</sup> i Renan, oraz jego kolega pan Maspero<sup>199</sup>, podróżując po Hiszpanii, Palestynie lub Egipcie, czerpali z dzisiejszych krajobrazów i ludów Hiszpanii, Palestyny i Egiptu, poznając ramę i niezmiennych aktorów starożytnych scen będących przedmiotem ich studiów książkowych.

— Bez obrazu tego szlachetnego rycerza — oświadczył Brichot, jadąc ze mną powozem — powiedzmy, że on jest po prostu bajeczny, kiedy komentuje swój sataniczny katechizm z werwą trochę kołową, z naiwnością dziecięcia, a uporem reakcjonisty. Zapewniam pana, jeżeli mi wolno się wyrazić jak jego dostojność biskup Hulst, że się nie nudzę w dni, kiedy mnie odwiedza ten feudal, który chcąc bronić Adonisa<sup>200</sup> przeciw naszej epoce niedowiarków, podał się instynktom swojej rasy i stał się krzyżowcem Sodomu.

Słuchałem Brichota i nie byłem z nim sam. Od chwili zresztą kiedy opuściłem dom, czułem się tajemniczymi nićmi związany z młodą dziewczyną, która znajdowała się w tej chwili w swoim pokoju. Nawet kiedy rozmawiał z którymś z gości Verdurinów, czułem ją mętnie przy sobie, miałem mgliste poczucie Albertyny, tak jak się ma poczucie własnych członków; kiedy zaś zdarzyło mi się pomyśleć o niej, czyniłem to tak, jak się myśli o własnym ciecie, z przykrym poczuciem swojej zupełnej niewoli.

— I co za magiel — podjął Brichot — rozmowa tego apostoła, zdolna zasilić wszystkie przypisy do *Causeries du lundi*<sup>201</sup>! Pomyśl pan, dowiedziałem się od niego, że pewien traktat o etyce, w którym czciłem zawsze najwspanialszą konstrukcję moralną naszej epoki, zrodził się pod piórem mego czcigodnego kolegi X z natchnienia młodego listonosza. Nie wahajmy się uznać, że mój znamienity przyjaciel nie raczył wydać nam w trakcie swoich wywodów nazwiska tego efeba<sup>202</sup>. Okazał w tym więcej obyczajności, lub jeśli pan woli mniej wdzięczności, niż Fidiasz<sup>203</sup>, który wypisał imię umiłowanego atlety na pierścieniu swego *Jowisza Olimpijskiego*. Baron nie znał tej historii. Domyśla

<sup>198</sup> Mérimée, Prosper (1803–1870) — francuski dramaturg, pisarz i archeolog; w 1830 odbył podróż do Hiszpanii, z której po powrocie do Paryża publikował żywe relacje w „Revue de Paris” (*Lettres d’Espagne*, 1831). [przypis edytorski]

<sup>199</sup> Maspero, Gaston (1846–1916) — francuski egiptolog i archeolog; od 1880 dyrektor francuskiej misji archeologicznej w Egipcie; autor m.in. dzieła *Histoire ancienne des peuples de l’Orient classique* (t. 1–3, 1895–1897). [przypis edytorski]

<sup>200</sup> Adonis (mit. gr.) — otaczany kultem piękny młodzieniec, w którym kochały się boginie Afrodyta i Persefona. Na skutek sprzeczki bogów Adonis zginął stratowany przez dziką, po czym został wskrzeszony przez Zeusa. Kult Adonisa dotarł do Grecji w okresie archaicznym z terenów bliskowschodnich, jego śmierć i zmartwychwstanie odzwierciedlały cykliczne zmiany w przyrodzie. [przypis edytorski]

<sup>201</sup> *Causeries du lundi* (fr.: Pogawędki poniedziałkowe) — cykl kilkuset cotygodniowych felietonów na tematy literackie i krytycznych portretów literackich autorstwa Charlesa Augustina Sainte-Beuve, publikowanych w latach 1849–1869 w kilku paryskich gazetach, zebranych później w kolejnych tomach *Causeries du lundi* (t. 1–16, 1851–62), *Nouveaux lundis* (t. 1–13, 1863–70), *Premiers lundis* (t. 1–3, 1874–75). [przypis edytorski]

<sup>202</sup> efeb (gr.) — pot. piękny młodzieniec; w staroż. Grecji młodzieniec u progu dorosłości, 18–20 letni, przechodzący obowiązkowe szkolenie wojskowe (efebie), które poprzedzało uzyskanie pełnego obywatelstwa. [przypis edytorski]

<sup>203</sup> Fidiasz (490–430 p.n.e.) — najwybitniejszy rzeźbiarz grecki okresu klasycznego; autor m.in. posągów Ateny Promachos i Ateny Partenos na ateńskim Akropolu oraz posągu Zeusa w Olimpii, zaliczanego do siedmiu cudów świata starożytnego. [przypis edytorski]

się pan, jak zachwyciła jego ortodoksję. Łatwo sobie pan wyobrazi, że za każdym razem kiedy będę dyskutował z moim kolegą jakąś doktorską tezę, znajdę w dialektyce barona, zresztą bardzo subtelnej, tę samą zaprawę, jakiej pikantne rewelacje użyły w oczach Saint-Beuve'a nie dość skwapliwemu w zwierzeniach dzieła Chateaubrianda. Od naszego kolegi, którego mądrość jest złota, ale który posiadał sam tego złota zbyt mało, listonosz przeszedł do rąk barona — och, „bez cienia złej myśli” (trzeba słyszeć ton, jakim on to mówi!). A że ten Szatan jest najuczynniejszy z ludzi, uzyskał dla swego protegowanego miejsce w koloniach, skąd ów, wdzięczna dusza, przesyła mu od czasu do czasu wyborne owoce. Baron ofiarowuje je swoim dostojnym znajomym; ananasy młodego człowieka figurowały świeżo na stole Quai Conti, wyrrywając pani Verdurin, tym razem bez złośliwości, słowa: „Pan ma chyba jakiegoś wujaszka czy siostrzeńca w Ameryce, żeby dostawać podobne ananasy”. Wyznaję, że gdybym wówczas wiedział prawdę, byłbym je jadł z niejaką wesołością ducha, recytując sobie *in petto*<sup>204</sup> początek ody Horacego, którą lubił przypominać Diderot<sup>205</sup>. W sumie, jak mój kolega Boissier<sup>206</sup>, wędrując od Palatynu do Tiburu, czerpię z rozmów z baronem o wiele żywsze i soczystsze pojęcie o pisarzach wieku Augusta<sup>207</sup>. Nie mówmy nawet o epoce dekadencji i nie sięgajmy do Greków, mimo iż powiedziałem zacnemu baronowi, że przy nim sam się czuję Platonem u Aspazji<sup>208</sup>. Co prawda osobiście powiększyłem proporcje obu postaci; mój przykład, jak powiada La Fontaine, zacerpnięty był „z mniejszych bydłatek”. Jak bądź się rzeczy mają, nie przypuszcza pan zapewne, aby się baron czuł dotknięty. Nigdy go nie widział równie rozanielonym. Dziecinne upojenie wyrwało go z arystokratycznej flegmy. „Co za pochlebcy, wszyscy ci sorbonardzi! — wykrzyknął zachwycony. — Pomyśleć, że musiałem dożyć swoich lat, aby mnie ktoś porównał z Aspazją! Taka stara malatura jak ja! O, moja młodości!”. Chciałbym, żeby go pan widział, kiedy to mówił, skandalicznie wypudrowany, swoim zwyczajem, i — w swoim wieku! — wypizmowany jak lalusz. Poza tym, poza swoją manią genealogiczną najlepszy człowiek w świecie. Z wszystkich tych przyczyn byłbym w rozpacz, gdyby dzisiejsze zerwanie miało być ostateczne. Bądź co bądź zdziwił mnie sposób, w jaki ten młody człowiek stanął dęba. On przecież okazywał od jakiegoś czasu wobec barona wierność seida<sup>209</sup>, powolność lennika, nie zwiastujące wcale podobnego buntu. Mam nadzieję, że w każdym razie, nawet gdyby (*Dii, omen avertant*<sup>210</sup>) baron nie miał już wrócić na Quai Conti, schizma ta nie rozciągnie się na mnie. Zbyt wiele zyskujemy obaj na wymianie mojej słabej wiedzy i jego doświadczenia. — Ujrzymy, iż jeżeli pan de Charlus, na próżno spodziewając się, że mu Brichot sprowadzi Morela, nie okazał profesorowi gwałtownej urazy, w każdym razie sympatia jego opadła na tyle, żeby mu pozwolić sądzić Brichota bez żadnej pobłażliwości. — I przysięgam panu, mimo iż wymiana jest tak bardzo nierówna, wówczas kiedy mi baron udziela tego, czego go nauczyło życie, nie umiałbym się zgodzić z Sylwestrem Bonnard<sup>211</sup>, że najlepiej jeszcze w bibliotece śni się sen istnienia.

Przybyliśmy przed bramę. Wsiadłem, aby podać woźnicy adres Brichota. Widziałem z chodnika okno Albertyny, to okno niegdyś zawsze ciemne wieczorem, kiedy nie mieszkała u mnie; obecnie elektryczne światło z wewnątrz, paskowane listwami żaluzji, prądkowało je całe równoległymi smugami złota. To czarodziejskie pismo, jasne dla mnie i kreśląc memu spokojnemu umysłowi ściśle i bliskie obrazy, w których posiadanie mia-

<sup>204</sup>*in petto* (wł.) — w głębi serca; prywatnie. [przypis edytorski]

<sup>205</sup>Diderot, Denis (1713–1784) — francuski pisarz, krytyk i filozof, współredaktor *Wielkiej Encyklopedii Francuskiej*, autor powiastki filozoficznej *Kubuś Fatalista i jego pan*. [przypis edytorski]

<sup>206</sup>Boissier, Gaston (1823–1908) — francuski uczonek, członek Akademii Francuskiej. [przypis edytorski]

<sup>207</sup>August a. Oktawian August, właśc. *Gaius Iulius Caesar Octavianus* (63 p.n.e.–14 n.e.) — pierwszy cesarz rzymski; po okresie wojen domowych zapoczątkował epokę pokoju wewnętrznego i dobrobytu, zreformował armię i finanse, patronował rozbudowie i upiększaniu Rzymu, był opiekunem literatury. [przypis edytorski]

<sup>208</sup>Aspazja z Miletu (ok. 470–ok. 400 p.n.e.) — wpływała kochanka (później zapewne żona) ateńskiego przywódcy Peryklesa; słynęła z urody, wykształcenia i inteligencji, jej dom stanowił intelektualne centrum Aten, gdzie spotykali się najznakomitsi pisarze i myśliciele. [przypis edytorski]

<sup>209</sup>seid — tu z fr. *séide* (znaczenie, które trafiło do jęz. francuskiego za sprawą powiastki Woltera): osoba, która wykazuje ślepe, fanatyczne oddanie panu, przywódcy lub sekcje; w jęz. polskim *seid*: w islamie tytuł potomków proroka Mahometa lub, w niektórych krajach muzułmańskich, grzecznościowy tytuł muzułmanina. [przypis edytorski]

<sup>210</sup>*Dii, omen avertant* (łac.) — bogowie, oddalacie złą wróżbę. [przypis edytorski]

<sup>211</sup>Sylwester Bonnard — główny bohater powieści Anatola France'a *Zbrodnia Sylwestra Bonnard* (1881): historyk i filolog, żyjący wśród książek. [przypis edytorski]

lem wejść za chwilę, było niewidzialne dla Brichota, który został w dorożce, prawie ślepy; tak samo zresztą byłoby niezrozumiałe dlań, gdyby widział. Jak przyjaciele odwiedzający mnie przed obiadem, kiedy Albertyna wracała ze spaceru, i profesor również nie miał pojęcia, że dziewczyna całkowicie moja czeka na mnie w pokoju przyległym do mojego.

Dorożka odjechała. Stałem chwilę sam na chodniku. Niewątpliwie te jasne pręgi, którym<sup>212</sup> widział z dołu, wydałyby się komu innemu czysto powierzchowne; ja dawałem im osobliwą konsystencję, pełnię, solidność, dzięki sensowi istniejącemu dla mnie poza nimi, w skarbie niepodejrzewanym przez innych, który tam ukryłem i z którego tryskały owe horyzontalne promienie. Tak, to był może skarb, ale skarb, dla którego wyrzekłem się wolności, samotności, myśli. Gdyby Albertyny nie było na górze, a nawet gdyby mi chodziło tylko o rozkosz, szukałbym jej u nieznanach kobiet, których życie próbowałbym przeniknąć, w Wenecji może, co najmniej w jakimś zakątku nocnego Paryża. Ale teraz, kiedy przychodziła godzina pieszczoty, znaczyła ona dla mnie nie podróż, nie wyjście z domu, ale powrót. A powrót nie po to, żeby znaleźć samotność i żeby opuściwszy innych, dostarczających nam z zewnątrz pokarmu dla myśli, musieć co najmniej szukać jej w samym sobie; przeciwnie, mniej samotny niż na wieczorze u Verdurinów, mając się znaleźć z osobą, na której rzecz zabdykowałem z własnej osobowości, której oddałem ją całkowicie, bez możliwości pomyślenia przez chwilę o sobie, nawet bez wysiłku myślenia o niej, skoro będziemy razem. Tak iż podnosząc ostatni raz oczy na okno pokoju, w którym się miałem znaleźć za chwilę, miałem uczucie, że widzę świetlną kratę, która się zamknie za mną, a której złote sztaby sam wykułem na wiekuiącą niewolę.

Zręczyny nasze miały coś z procesu i zrodziły w Albertynie trwożliwość przestępcy. Zmieniała obecnie rozmowę, kiedy chodziło o jakieś osoby, mężczyzn, kobiety, o ile to nie byli starzy ludzie. O to, co chciałem wiedzieć, należało ją pytać wówczas, kiedy nie podejrzewała jeszcze, że jestem zazdrosny. Trzeba korzystać z tych czasów! Wówczas kochanka nasza opowiada nam swoje przyjemności, nawet sposoby, w jakie ukrywa je innym. Nie przyznałaby mi się teraz jak w Balbec (częścią dlatego, że to była prawda, częścią dla usprawiedliwienia się, że nie jest dla mnie tkliwsza, bo już ją męczyłem wówczas i widziała z mojej czułości, że nie potrzebuje mi jej okazywać tyle co innym, aby jej uzyskać więcej niż od innych), nie wyznałaby mi teraz jak wówczas: „Uważam, że to głupie pokazywać, że się kogoś kocha; wręcz przeciwnie, z chwilą gdy mi się ktoś podoba, udaję, że na niego nie zwracam uwagi. W ten sposób nikt nic nie wie”.

Jak to, to ona mi to powiedziała! Ta sama dzisiejsza Albertyna, ze swymi pretensjami do szczerości i do tego, że jest na wszystkich obojętna. Nie wygłosiłaby już obecnie tej zasady! Teraz w rozmowie ze mną poprzesztawała na stosowaniu jej, mówiąc o kimś, kto mnie mógł niepokoić: „Och, nie wiem, nie przyglądałam się jej, jest nieinteresująca”. I od czasu do czasu, aby uprzedzić coś, czego się mogłem dowiedzieć, czyniła owe wyznania, już samym akcentem zdradzając kłamstwo, zanim jeszcze poznamy rzeczywistość, którą zwierzenia te mają przeinaczyć, usprawiedliwić.

Albertyna nigdy się nie zdradziła, że mnie podejrzewa, iż jestem o nią zazdrosny, baczny na wszystko, co robi. Jedyne słowa, dość dawne co prawda, które wymieniliśmy na temat zazdrości, zdawały się dowodzić czegoś przeciwnego. Przypominałem sobie, że w piękny wieczór księżycowy, na początku naszych stosunków, jednego z pierwszych dni, kiedy ją odprowadziłem i kiedy z równą przyjemnością byłbym ją opuścił, aby gonić za innymi, rzekłem: „Wiesz, jeżeli cię chcę odprowadzić, to nie przez zazdrość; jeżeli masz jakieś plany, oddalę się dyskretnie”. A ona odpowiedziała: „Och, wiem, że nie jesteś zazdrosny i że ci to wszystko jedno; ale nie mam żadnych planów, tylko być z tobą”. Innym razem było to w La Raspeliere, gdzie pan de Charlus, zerkając na Morela, ostentacyjnie nadskakiwał Albertynie; powiedziałem: „I co, bardzo ci nadskakiwał?”. I dodałem w pół ironicznie: „Cierpiałem męki zazdrości”. Albertyna, posługując się językiem właściwym czy to pospolitej sferze, z której wyszła, czy jeszcze pospolitszej, w której się obracała, rzekła: „Co ty robisz za siuchty! Wiem, że nie jesteś zazdrosny. Po pierwsze powiedziałeś mi to, a po wtóre to się widzi, och!”. Nigdy nie okazała od tego czasu, aby zmieniła zdanie; musiało się w niej jednak wytworzyć w tej mierze wiele nowych pojęć, które

<sup>212</sup>którem widział — konstrukcja ruchomą końcówką czasownika; inaczej: które widziałem. [przypis edytor-ski]

mi ukrywała, ale które przypadek mógł zdradzić, bo tego wieczora, kiedy za powrotem, ściągnąwszy ją do swojego pokoju, powiedziałem (z pewnym zakłopotaniem, którego sam nie zrozumiałem, bo przecie oznajmiłem Albertynie, że wychodzę, i powiedziałem, że nie wiem dokąd, może do pani de Villeparisis, może do pani de Guermantes, może do pani de Cambremer; prawda, że właśnie nie wymieniłem Verdurinów): „Zgadnij, skąd wracam; od Verdurinów”, ledwo miałem czas to wymówić, Albertyna ze zmienioną twarzą rzuciła mi w odpowiedzi te słowa, eksplodujące z niej z niepowstrzymaną siłą:

— Domyślałam się tego.

— Nie wiedziałem, że moja wizyta u Verdurinów sprawi ci przykrość.

Nie powiedziała co prawda, że jej to sprawiło przykrość, ale to było widoczne; co prawda i ja sobie nie powiedziałem tego, że jej to sprawi przykrość. Mimo to, wobec wybuchu jej gniewu, jak wobec owych wypadków, które w rodzaju wstecznego jasnovidzenia oglądamy niby coś już znanego w przeszłości, zdawało mi się, że nie mogłem się spodziewać czego innego.

— Przykrość? Gwiźdź na to. To mi jest naj-ab-so-lut-niej wszystko jedno. Czy nie miało tam być panny Vinteuil?

Na te słowa, rzekłem wzburzony, aby okazać, że wiem więcej, niż ona myśli:

— Nie powiedziałaś mi, żeś ją spotkała kiedyś.

Myśląc, iż osobą, której zatajenie jej wymawiam, jest pani Verdurin (gdy ja miałem na myśli pannę Vinteuil), Albertyna rzuciła w przestrzeń: „Czy ja ją spotkałam?”, mówiąc to równocześnie do siebie samej, tak jakby się starała zebrać wspomnienia, i do mnie, jak gdyby się ode mnie miała tego dowiedzieć; i w istocie mówiła to z pewnością po to, żebym powiedział, co wiem, a może także, aby zyskać na czasie, zanim sformułuje tę drażliwą odpowiedź. Ale jeżeli zaprzętała mnie panna Vinteuil, bardziej jeszcze pochłaniała mnie obawa, która mnie nawiedziła już wcześniej, a która teraz owładnęła mną z całą siłą, mianowicie, że Albertyna zapragnie odzyskać wolność. Wracając, sądziłem, że pani Verdurin przechwalała się po prostu wizytą panny Vinteuil i jej przyjaciółki, tak że czułem się spokojny. Dopiero Albertyna, pytając: „Czy nie miała tam być panna Vinteuil”, dowiodła mi, że się nie mylił zrazu; ale uspokoiła mnie świadomość, że wyrzekając się bytności u Verdurinów i wybierając się do Trocadéro, Albertyna poświęciła dla mnie pannę Vinteuil. Ale racją ściągnięcia jej z Trocadéro, które zresztą opuściła dla spaceru ze mną, była obecność Lei. Pod wrażeniem tej myśli wymówiłem imię Lei; na co Albertyna, podejrzliwa, sądząc, że mi powiedziano może więcej, uprzedziła mnie i zaczęła obficie mówić, kryjąc jednak nieco czoło:

— Znam ją wybornie; wybrałyśmy się w zeszłym roku z przyjaciółkami do teatru, kiedy ona grała; po przedstawieniu byliśmy u niej w garderobie, ubierała się przy nas. To było bardzo interesujące.

Wówczas myśl moja musiała opuścić pannę Vinteuil i w rozpaczliwym wysiłku, w owym otchłannym pędzie ku niemożliwym rekonstrukcjom, uczepiła się aktorki, wieczoru, kiedy Albertyna była w jej garderobie. Z drugiej strony, po wszystkich jej przysięgach, i to składanych tonem tak szczerym, po tak pełnej ofercie jej wolności, jak przypuszczać, aby się w tym kryło coś złego? A jednak czyż moje podejrzenia nie były niby macki skierowane ku prawdzie, skoro o ile Albertyna poświęciła mi Verdurinów, aby iść do Trocadéro, bądź co bądź u Verdurinów miała być panna Vinteuil, a w Trocadéro była Lea? Myślałem, że się niesłusznie o nią niepokoję, a jednak w tym wyznaniu, o które nie prosiłem, Albertyna zdradziła mi, że zna Leę bliżej, niż przypuszczałem w swoich obawach, i że ją widywała w okolicznościach nader podejrzanych. Bo kto ją mógł wciągnąć do tej garderoby? O ile przestawałem się dręczyć panną Vinteuil, w chwili gdy się dręczyłem Leą, tymi dwoma katami mego dnia, powodem była niemoc mego umysłu niezdolnego wyobrazić sobie zbyt wiele scen naraz lub krzyżowanie się moich nerwowych wzruszeń, których zazdrość była tylko echem. Mogłem wnioskować, że Albertyna tak samo nie należała do Lei jak do panny Vinteuil i że wierzę w Leę tylko dlatego, że przez nią cierpię jeszcze. Ale to, że moje zazdrości gasły — aby się zbudzić niekiedy, kolejno — nie znaczyło również, aby każda z nich nie odpowiadała przeciwnie jakiejś przeczuwanej prawdzie; nie należało może sobie mówić o tych kobietach: „żadna”, ale „wszystkie”. Mówię: „przeczuwanej”, bo nie mogłem być obecny we wszystkich punktach przestrzeni i czasu, w których trzeba by się znaleźć, a do tego jakież instynkt poddałby mi ich wzajemną zgodność, aby mi dać



zaskoczyć tu o tej godzinie Albertynę z Leą lub z dziewczętami z Balbec, lub z przyjaciółką pani Bontemps, o którą się swego czasu ocierała, lub z młodą dziewczyną z tenisa, która ją trącała łokciem, lub z panną Vinteuil?

Muszę wyznać, że najpoważniejszym, najbardziej uderzającym objawem wydało mi się to, że Albertyna uprzedziła moje oskarżenie. Powiedziała: „Myślę, że tam była panna Vinteuil dziś wieczór”, na co ja odrzekłem możliwie najokrutniej: „Nie mówiłaś mi, żeś ją spotkała”. W ten sposób kiedy Albertyna nie była dla mnie serdeczna, zamiast jej powiedzieć, że jestem smutny, stawałem się dokuczliwy. Była chwila, że czułem do niej nienawiść, co zwiększało jedynie we mnie potrzebę zatrzymania jej.

— Zresztą — rzekłem gniewnie — jest wiele innych rzeczy, które ukrywasz, nawet najobojętniejszych; na przykład, powiedzmy mimochodem, twoja trzydniowa wycieczka do Balbec. — Dodałem: „powiedzmy mimochodem” jako uzupełnienie „nawet najobojętniejszych”, tak aby w razie gdyby Albertyna powiedziała: „A cóż było niewłaściwego w wycieczce do Balbec?”, móc odpowiedzieć: „Już sobie nie przypominam. Tak mało zwracam uwagi na to, co mi ludzie opowiadają, że mi się to myli w głowie”. I w istocie, jeśli wspomniałem o jej trzydniowej wycieczce z szoferem aż do Balbec, skąd dostałem pocztówki z takim opóźnieniem, mówiłem całkiem na ślepo.

Żałowałem nawet, że tak źle wybrałem przykład, bo naprawdę ta wyprawa, w której Albertyna ledwie miała czas dojechać i wrócić, nie dopuszczała nawet czasu na przemyślenie jakiejś dłuższej nieco schadzki z kimkolwiek. Ale z tego co powiedziałem, Albertyna pomyślała, że ja wiem istotną prawdę i że jedynie ukrywałem to przed nią; była tedy przekonana od niedawna, że ja ją każę śledzić w ten czy inny sposób, że wreszcie jestem, tak czy inaczej, jak rzekła przed tygodniem Annie, „lepiej od niej samej poinformowany o jej życiu”. Toteż przerwała mi wyznaniem bardzo niepotrzebnym, bo faktem jest, że nie domyślałem się niczego. I zmiażdżyło mnie to: tak wielkie może być rozchylenie między prawdą, którą kłamczyni przekształciła, a pojęciem, jakie, w duchu jej kłamstw człowiek zakochany w kłamczynie stworzył sobie o tej prawdzie. Ledwie wymówił słowa: „Powiedzmy mimochodem, twoja trzydniowa wycieczka do Balbec”, Albertyna przerwała, mówiąc całkiem naturalnie: „Chcesz powiedzieć, że ta podróż do Balbec nigdy nie istniała? Oczywiście! I zawsze się zastanawiałam, czemu ty udawałeś człowieka, który w to wierzy? A przecież to było bardzo niewinne. Szofer chciał mieć dla siebie wolne trzy dni. Nie śmiał ci tego powiedzieć. Wówczas przez dobroć dla niego wymyśliłam rzekomą wycieczkę do Balbec. Taka już jestem! I potem na mnie spadają te historie! Wysadził mnie po prostu w Auteuil, u mojej przyjaciółki przy ulicy de l'Assomption, gdzie spędziłam trzy dni, nudząc się jak mops. Widzisz, że to nic poważnego, nie ma żadnej katastrofy. Zaczęłam się domyślać, że ty wiesz może wszystko, widząc, żeś się zaczął śmiać, kiedy z tygodniowym opóźnieniem przychodziły pocztówki. Uznaję, że to było śmieszne, lepiej było wcale nie wysyłać pocztówek. Ale to nie moja wina. Kupiłam je z góry i dałam szoferowi, zanim mnie wysadził w Auteuil, a potem ten ciołek zapomniał ich w kieszeni, zamiast je przesłać w kopercie przyjacielowi w pobliżu Balbec, który miał je wysłać do ciebie. Oczekiwałam ich z dnia na dzień, czy przyjdą! Szofer przypomniał sobie dopiero po pięciu dniach i zamiast mi powiedzieć, ciemną, wysłał je wprost do Balbec. Kiedy mi to powiedział, ależ mu zmyłam głowę! Niepokoić ci daremnie z winy cymbała w nagrodę za to, że siedziałam przez trzy dni jak w więzieniu, po to, żeby on mógł załatwić swoje rodzinne sprawy. Nie śmiałam nawet wychodzić w Auteuil z obawy, aby mnie nie widziano. Jedyny raz kiedy wyszłam, to przebrana za mężczyznę, ot, bardziej dla hecy. A mój pech, który mnie ściga wszędzie, chciał, że pierwszą osobą, na którą wpadłam, był ten Żydzia, twój przyjaciel, Bloch. Ale wątpię, abys ty się od niego dowiedział, że podróż do Balbec istniała tylko w mojej wyobraźni, bo mam wrażenie, że mnie nie poznał”.

Nie wiedziałem, co powiedzieć, zmiażdżony tyłoma kłamstwami, nie chcąc okazać zdziwienia. Z uczuciem zgrozy, które nie budziło we mnie chęci wypędzenia Albertyny — przeciwnie! — łączyła się straszliwa chęć płaczu. Tę chęć spowodowało nie samo kłamstwo i unicestwienie wszystkiego, co tak bardzo uważałem za prawdę, że mi się czuło niby w zrównanym z ziemią mieście, gdzie ani jeden dom nie pozostał, gdzie nagą ziemię wzdymają jedynie zgłiszczki; ale ta melancholia, że podczas trzech dni nudy u przyjaciółki w Auteuil, Albertynie nie przysłała ani razu ochota — może nawet myśl — aby spędzić po kryjomu dzień u mnie lub poprosić mnie depeszą o odwiedzenie w jej Auteuil. Ale nie

miałem czasu oddać się tym myślom. Nie chciałem zwłaszcza zdradzić mego zdziwienia. Uśmiechnąłem się z miną człowieka, który wie więcej, niż mówi:

— Ależ to jest jedna rzecz pośród tysięcy. Tak na przykład owego popołudnia kiedyś poszła do Trocadéro, wiedziałaś, że panna Vinteuil miała być u pani Verdurin.

Zaczerwieniła się:

— Tak, wiedziałam.

— Czy możesz przysiąc, że nie dlatego, aby z nią wznowić stosunki, chciałaś iść do Verdurinów?

— Ależ oczywiście, tak, mogę ci przysiąc. Czemu „wznowić”? Nnigdy nie było nic, przysięgam.

Byłem zgnębiony, że Albertyna tak kłamie, że przeczy oczywistości, którą rumieniec jej zdradził mi aż nadto. Fałsz jej przygnębiał mnie. A mimo to, ten fałsz, zakłęcia niewinności, w którą bezwiednie gotów byłem uwierzyć, mniej zadały mi bólu niż jej szczerść, kiedy na moje pytanie: „Czy możesz mi bodaj przysiąc, że przyjemność ujrzenia panny Vinteuil nie grała żadnej roli w chęci wizyty u Verdurinów”, odpowiedziała: „Nie, nie mogę. Spotkanie panny Vinteuil sprawiłoby mi wielką przyjemność”. Sekundę przedtem miałem do Albertyny pretensję, że mi kryje stosunki z panną Vinteuil, a teraz wyznanie przyjemności, jakiej się spodziewała, odjęło mi ręce i nogi. Zresztą tajemnica, jaką robiła z tej wizyty, powinna mi była starczyć za dowód. Ale już o tym nie dosyć myślałem. Czemu mówiąc teraz prawdę, Albertyna wyznawała mi ją tylko w połowie? — to było jeszcze bardziej głupie niż złe i smutne. Byłem tak złamany, że nie miałem odwagi nalegać na ten punkt, w którym się czułem słaby, nie mogąc przeciwstawić jej obciążającego dowodu; aby odzyskać przewagę, szybko przeszedłem na przedmiot, który by mi pozwolił pognębić Albertynę.

— Słuchaj, nie dalej niż dziś wieczór dowiedziałem się, że to, coś mi mówiła o panie Vinteuil...

Albertyna patrzyła na mnie bystro, ze zboląłą miną, starając się wyczytać w moich oczach, co ja wiem. Otóż tego, co wiedziałem i co jej miałem powiedzieć o skłonnościach panny Vinteuil, dowiedziałem się w istocie nie u Verdurinów, ale niegdyś w Montjouvain. Ale ponieważ umyślnie nigdy nie mówiłem o tym Albertynie, mogłem udawać, że wiem o tym dopiero od dziś wieczora. I po wszystkim, com wycierpiał w kolejce w Balbec, uczułem niemal radość, że posiadam to wspomnienie z Montjouvain, „postdatowane” przeze mnie, ale niemniej będące przytłaczającym dowodem, ciosem maczugi dla Albertyny. Tym razem bodaj nie potrzebowałem „robić miny, że wiem” i „ciągnąć za język” Albertyny; wiedziałem, widziałem przez oświetlone okno w Montjouvain. Na próżno Albertyna twierdziła, że jej stosunki z panną Vinteuil i jej przyjaciółką były bardzo niewinne; gdybym przysięgł (a przysięgłbym bez kłamstwa), że znam obyczaje tych kobiet, jak mogłaby twierdzić, że żyjąc z nimi tak blisko, nazywając je: „moje duże siostrzyczki”, nie była celem pokus, których odtrącenie groziłoby zerwaniem. Ale nie miałem czasu powiedzieć tego, com wiedział. Albertyna, sądząc (jak o fałszywej wycieczce do Balbec), że ja się dowiedziałem prawdy bądź od panny Vinteuil (o ile była u Verdurinów), bądź po prostu od pani Verdurin, która mogła mówić o niej z panną Vinteuil, nie dopuściła mnie do słowa i wyznała mi rzecz wręcz przeciwną temu, co przypuszczałem. Ale wyznanie jej, dowodzące, że Albertyna nigdy nie przestała kłamać, sprawiło mi prawie tyleż przykrości, zwłaszcza że nie byłem już, jak wspominałem przed chwilą, zazdrosny o pannę Vinteuil. Uprzedzając mnie tedy, Albertyna rzekła:

— Dowiedziałeś się zatem dziś wieczór, że skłamała, twierdząc, iż byłam prawie wychowaną przyjaciółką panny Vinteuil... To prawda, że ci trochę skłamałam. Ale czułam, że tak mało znaczą dla ciebie, wiedziałam, że tak cię interesuje muzyka tego Vinteuila, że ponieważ jedna z moich koleżanek — to jest prawda, przysięgam — była w przyjaźni z przyjaciółką panny Vinteuil, chciałam po prostu zrobić się interesującą w twoich oczach, zmyślając, że znałam dobrze obie. Czułam, że cię nudzę, że mnie uważasz za gęś; pomyślałam, iż przynajmniej do zażyłości z tymi osobami i blagując, że mogłabym ci udzielić szczegółów o muzyce Vinteuila, nabiorę trochę uroku w twoich oczach, że to nas zbliży. Kiedy kłamię, to zawsze z czułości dla ciebie. I trzeba było tego nieszczęsnego wieczoru u Verdurinów, abys się dowiedział prawdy, przesadzonej może zresztą. Założę się, że przyjaciółka panny Vinteuil powiedziała, że mnie nie zna. Widziała mnie co naj-

mniej dwa razy u mojej koleżanki. Ale oczywiście, ja nie jestem dosyć szykowna dla ludzi, którzy się zrobili tacy sławni. Wołą powiedzieć, że mnie nigdy nie widzieli.

Kiedy biedna Albertyna sądziła, iż powiedzieć mi, że żyła tak blisko z panną Vinteuil, opóźniłoby jej „puszczenie kantem”, zbliżyłoby ją do mnie, dosięgła, jak to się dzieje często, prawdy inną drogą niż ta, którą zamierzyła. Jej niespodziana dla mnie kompetencja w sprawach muzyki nie byłaby mi z pewnością przeszkodziła zerwać z nią owego wieczora w kolejce; a jednak słowa, które powiedziała w tym celu, stworzyły natychmiast o wiele więcej niż niemożność zerwania. Tylko Albertyna popełniła błąd w interpretacji, nie ewentualnego skutku tych słów, ale przyczyny, dla której miały wyrzucić ten skutek; przyczyny, którą była świadomość nie jej kultury muzycznej, ale jej dwuznacznych stosunków. Tym, co mnie nagle do niej zbliżyło, co mnie głębiej w nią wtopiło, było nie oczekiwanie rozkoszy — a „rozkosz” to jeszcze za wiele, powiedzmy: lekkiej przyjemności — ale skurcz bólu.

I tym razem nie miałem czasu zbyt długo zachować milczenia, mogącego wyglądać w jej oczach na zdziwienie. Jakoż wzruszony tym, że jest tak skromna i że się uważa w sferze Verdurinów za coś niższego, rzekłem tkliwie:

— Ależ, kochanie, dałbym ci chętnie kilkaset franków, żebyś się zabawiła w szykowną damę i zaprosiła, dokąd chcesz, na elegancki obiad państwa Verdurin.

Niestety w Albertynie było kilka osób. Najbardziej tajemnicza, najprostsza, najokrutniejsza objawiła się w odpowiedzi udzielonej mi z wyrazem niesmaku, odpowiedzi, której słów po prawdzie dobrze nie rozumiałem — nawet słów początkowych, bo nie dokończyła. Odtworzyłem je dopiero nieco później, kiedy odgadłem jej myśl. Słyszysz się wstecz, kiedy się rozumiało:

— Ślicznie dziękuję! — rzekła. — Wydawać bodaj grosz na tych starych piernikach, to już wołam, abys mi pozwolił kiedyś, żeby mi dała zagrzać...

Ledwie to wyrzekła, twarz jej oblała się pąsem, przybrały wyraz rozpacz; Albertyna zasłoniła dłonią usta, jakby chcąc wepchnąć w nie z powrotem słowa, których wcale nie rozumiałem.

— Co ty mówisz, Albertyno?

— Nie, nic, zasypiałam po prostu.

— Ależ wcale nie, jesteś bardzo rozbudzona.

— Myślałam o tym obiedzie dla Verdurinów, to bardzo ładnie z twojej strony.

— Ale nie, ja mówię o tym, co ty powiedziała.

Podawała mi tysiąc wersji niegodzących się wcale, nie mówię z jej słowami, które pozostały mętne, ale z samym tym urwaniem słów i z nagłym rumieńcem.

— Słuchaj, kochanie, nie to chciałaś powiedzieć, inaczej dlaczego byś urwała.

— Bo się zawstydziałam swojej prośby.

— Jakiej prośby?

— Żeby wyprawić obiad.

— Ależ nie, to nie to, nie ma mowy o wstydzie między nami.

— Owszem, właśnie, nie trzeba nadużywać dobroci tych, których się kocha. W każdym razie, przysięgam ci, że to to.

Z jednej strony, nie umiałem nigdy wątpić o przysiędze Albertyny, z drugiej strony tłumaczenia jej nie zadowalały mojego rozsądku. Nie przestałem nalegać.

— Ależ wreszcie, miej odwagę dokończyć zdania, urwałaś na: „zagrzać” ...

— Och, nie, zostaw!...

— Ale czemu?

— Bo to jest strasznie ordynarne; zanadto bym się wstydziła, żem to powiedziała przy tobie. Nie wiem, skąd mi do głowy przyszło to wyrażenie, którego sensu nawet nie rozumiem, a które słyszałam raz na ulicy w ustach ludzi strasznie plugawych; ot tak mi się powiedziało, ni w pięć, ni w dziewięć. To się nie odnosi ani do mnie, ani do nikogo, bredziłam po prostu.

Czułam, że nie wydobędę nic więcej z Albertyny. Skłamała, kiedy przysięgała przed chwilą, że powstrzymała ją obawa nietaktu; teraz to miał być wstyd, że się wyrwała z czymś zbyt pospolitym. Otóż to było z pewnością drugie kłamstwo. Bo w pożyciu z Albertyną nie było tak perwersyjnych i ordynarnych słów, których byśmy nie wymawiali wśród

pieszczoty. W każdym razie zbyt wiele było nalegać w tej chwili. Ale pamięć moją oblegało słowo „zagrzać”. Albertyna używała go często w różnych zwrotach, ale zwrotów tych używała potocznie przy mnie; jeżeli chciała powiedzieć coś takiego, czemu umilkła nagle, czemu się tak zaczerwieniła, zasłoniła usta ręką, przebudowała całe zdanie i kiedy spostrzegła, że usłyszał „zagrzać”, podała fałszywy sens? Ale z chwilą gdy się wyrzekał jałowego śledztwa, najlepiej było udawać, że już o tym nie myślę. Po czym wracając myślą do wymówek Albertyny za to, że poszedł do „pryncypałki”, rzekłem bardzo niezręcznie, w rodzaju głupiego tłumaczenia się: „Chciałem cię właśnie prosić, żebyś się dziś wybrała na wieczór do Verdurinów” — zdanie podwójnie niezręczne, bo gdybym chciał to zrobić, czemuż widząc ją przez cały czas, nie zaproponowałem jej tego? Wściekła o to kłamstwo i rozzuchwalona moim onieśmieleniem, odparła:

— Mógłbyś mnie prosić o to tysiąc lat, a nie byłabym się zgodziła. Ci ludzie byli zawsze przeciwko mnie, wszystko robili na przekór. Wylazłam ze skóry z uprzejmości dla pani Verdurin w Balbec i ładnie na tym wyszłam. Gdyby mnie wzywała na łożu śmierci, nie poszłabym. Są rzeczy, których się nie darowuje. Co się tyczy ciebie, to jest pierwsze chamstwo, które mi robisz. Kiedy Franciszka powiedziała, żeś wyszedł (z jaką przyjemnością mi to powiedziała!), byłabym wolała dostać w łeb siekierą. Staralam się, aby nie zauważono, ale w życiu nie doznałam podobnego afrontu!

Podczas gdy Albertyna mówiła, we mnie odbywało się w żywym i twórczym śnie podświadomości szukanie tego, co ona chciała powiedzieć w urwanym zdaniu, którego koniec upierałem się poznać. W takim śnie rysują się szczegóły, które nas jedynie musnęły, uszione ręce chwytają właściwy klucz, dotąd na próżno szukany. I nagle spadło na mnie okrutne słowo, o którym wcale nie myślałem: „gwoźdź”. Nie mogę powiedzieć, aby przyszło nagle, jak wówczas gdy po długiej bierności wobec niepełnego wspomnienia, starając się łagodnie, ostrożnie, rozpostrzeć je, człowiek pozostaje jakby przygięty, przylepiony do niego. Nie, sprzecznie z moim zwykłym sposobem przypominania sobie, istniały, sądzę, dwie równoległe drogi szukania; jedna brała w rachubę nie tylko słowa Albertyny, ale jej gniewny wzrok, kiedy zaproponowałem wydanie eleganckiego obiadu; wzrok zdający się mówić: „Ślicznie dziękuję, wydawać pieniądze na coś, co mnie nudzi, kiedy bez pieniędzy mogłabym robić to, co mnie bawi!”. I może pamięć jej wzroku kazała mi zmienić metodę w szukaniu końca tego, co ona chciała powiedzieć. Dotąd hipnotyzowało mnie ostatnie słowo: „zagrzać”. Zagrzać co? Herbatę? Nie. Żelazko do prasowania? Nie. Zagrzać, zagrzać, zagrzać. I naraz spojrzenie Albertyny w chwili mojej propozycji wyprawienia obiadu, cofnęło mnie w słowa kończące jej zdanie. I natychmiast ujrzałem, że powiedziała nie: „zagrzać”, ale: „dała zagrzać”. Okropność! Więc to by wolała! Podwójna okropność, bo nawet ostatnia k...a, która zgadza się na to lub pragnie tego, nie używa z mężczyzną, który się temu poddaje, tego okropnego wyrażenia. Człowiek się zanadto poniżona. Z kobietą tylko (jeżeli ma gust do kobiet) mówi to, aby się usprawiedliwić, że się oddała przed chwilą mężczyźnie. Albertyna nie skłamała, mówiąc, że jest w pół przytomna. Roztargniona, impulsywna, zapominając o mojej obecności, strząsnęła przymus, odezwała się tak, jakby mówiła z jedną z „takich kobiet”, może z jedną z moich „zakwitających dziewcząt”. I nagle przywołana do rzeczywistości, czerwona ze wstydu, polykając to, co miała powiedzieć, zrozpaczona, nie chciała już rzec ani słowa. Nie miałem ani sekundy do stracenia, o ile nie chciałem, aby spostrzegła moją rozpacz. Ale już po ataku wściekłości łzy napływały mi do oczu. Jak w Balbec, w nocy po odkryciu jej zażyłości z panną Vinteuil, trzeba mi było uprawdopodobnić natychmiast moją zgryzotę, wymyślić zarazem coś zdolnego zrobić na Albertynie tak głębokie wrażenie, żeby mi to dało kilkunastominową zwłokę dla powzięcia decyzji. Toteż w chwili gdy Albertyna mówiła, że nigdy nie doznała podobnego afrontu jak ten, który jej zrobiłem, wychodząc z domu, że wolałaby umrzeć niż usłyszeć o tym z ust Franciszki, kiedy jak gdyby podrażniony jej śmieszną drażliwością, miałem rzec, że mój postępek był bardzo niewinny, że wyjście moje z domu nie było niczym obraźliwym, przez ten czas, równoległe, moje podświadome dochodzenie, co ona chciała powiedzieć po słowie „zagrzać”, osiągnęło cel. Że zaś niepodobna mi było całkowicie ukryć rozpacz, w jaką wtrąciło mnie moje odkrycie, przeto zamiast się bronić, oskarżyłem się.

— Albertynko — rzekłem łagodnie, a w głosie drgały pierwsze łzy — mógłbym powiedzieć, że nie masz racji, że to, com zrobił, to jest nic; ale skłamałbym. To ty masz słuszość; zrozumiałaś, biedne dziecko, że przed pół rokiem, trzy miesiące temu, kiedy miałem jeszcze dla ciebie tyle czułości, nigdy nie byłbym tego zrobił. To jest nic, a to jest ogromnie dużo z powodu olbrzymiej zmiany w moim sercu, której to jest oznaką. A skoroś odgadła tę zmianę, którą spodziewałem się ukryć przed tobą, zmusza mnie to do powiedzenia ci (a mówię to z głęboką słodyczą i smutkiem): Albertynko, widzisz, życie, jakie tu wiesz, nudne jest dla ciebie, lepiej, żebyśmy się rozstali, że zaś najlepsze rozstanie jest najszybsze, proszę cię, dla skrócenia zgrzyoty, jaką mi to sprawi, żebyś się ze mną pożegnała dziś wieczór i odeszła jutro rano, podczas gdy będę spał, tak żebym cię już nie widział.

Patrzyła zdumiona, jeszcze niedowierzająca, a już w rozpacz:

— Jak to jutro? Chcesz tego?

I mimo cierpienia, jakim było dla mnie mówić o naszym rozstaniu jak o czymś, co już wsiąkło w przeszłość — może po części z powodu tego cierpienia — zacząłem dawać Albertynie najściślejsze rady co do pewnych rzeczy, które powinna uczynić, opuściwszy mój dom. I stopniowo w tych wskazówkach zapuściłem się w najdrobiazgowsze szczegóły.

— Bądź tak dobra — rzekłem z nieskończonym smutkiem — odesłać mi książkę Bergotte'a, która została u ciotki. To nic pilnego; za trzy dni, za tydzień, kiedy zechcesz, ale pamiętaj, abym nie musiał przypominać ci tego, to by mi było zbyt przykre. Byliśmy szczęśliwi; czujemy teraz, że bylibyśmy nieszczęśliwi.

— Nie mów „czujemy” — przerwała Albertyna — nie mów „my”, to tylko ty tak myślisz.

— Tak, ostatecznie, ty czy ja, jak chcesz, z tego czy z innego powodu. Ale już jest wariacka godzina, powinnaś iść spać... postanowiliśmy się rozstać dziś wieczór.

— Przepraszam, ty postanowiłaś, a ja jestem posłuszna, bo nie chcę ci robić przykrości.

— Niech będzie, ja postanowiłem, ale i tak to jest nie mniej dla mnie bolesne. Nie mówię, że to będzie bolesne długo, wiesz, że nie umiem długo pamiętać, ale przez pierwsze dni bardzo mi się będzie przykrzyło za tobą. Otóż uważam za zbyt przykre podsycać to listami, trzeba skończyć od jednego zamachu.

— Tak, masz słuszość — rzekła ze stroskaną miną, którą podkreśliły jeszcze rysy zmięte zmęczeniem o tej późnej godzinie. — Zamiast dać sobie ucinać palec po palcu, wolę raczej całą głowę zaraz.

— Mój Boże, przerażony jestem, do jakiej godziny ja cię trzymam, ależ to szaleństwo! No cóż, ostatni wieczór! Będziesz miała czas wyspać się przez resztę życia.

I tak powtarzając, że trzeba sobie powiedzieć dobranoc, starałem się opóźnić chwilę, w której mi je powie.

— Czy chcesz, abym dla rozerwania cię przez pierwsze dni poprosił Blocha o przysłanie swojej kuzynki tam, gdzie będziesz? Zrobi to dla mnie.

— Nie wiem, czemu to mówisz — (mówiłem to, aby wydrzeć Albertynie wyznanie) — zależy mi tylko na jednej istocie, na tobie — rzekła Albertyna, której słowa napęliły mnie słodyczą. Ale natychmiast ileż bólu mi zadała: — Przypominam sobie z pewnością, że dałam fotografię Esterze, bo bardzo nalegała i wiedziałam, że jej to zrobi przyjemność. Ale żebym z nią była w przyjaźni albo miała ochotę widzieć ją kiedyś...

A mimo to Albertyna była tak lekkomyślna, że dodała:

— Jeżeli chce mnie widzieć, mnie wszystko jedno, jest bardzo miła, ale wcale nie zależy mi na tym.

Tak więc kiedyś mówiłem o fotografii Estery, którą mi przesłał Bloch (a jeszcze jej nawet nie otrzymałem, kiedyś mówiłem o tym Albertynie), ona zrozumiała, że Bloch pokazywał mi jej własną fotografię, którą dała Esterze. W najgorszych przypuszczeniach nie wyobrażałem sobie, aby mogła istnieć podobna zażyłość między Albertyną a Esterą. Albertyna nie umiała mi nic odpowiedzieć, kiedyś mówiłem o fotografii. A teraz, myśląc błędnie, że ja wiem wszystko, uważała za sprytniejsze przyznać się. Byłem przygnębiony.

— A potem, Albertyno, błagam cię o jedno; nie staraj się mnie nigdy widzieć. Gdybyśmy kiedyś, co może się zdarzyć za rok, za dwa, za trzy lata, znaleźli się w jednym mieście, unikaj mnie.

Widząc, że nie odpowiada na moją prośbę, dodałem:

— Albertynko, nie spotkajmy się już nigdy w życiu. To by mi było zbyt przykro. Bo ja naprawdę bardzo cię lubiłem, wiesz. Pamiętam, kiedyś ci powiedziałem, że chcę widzieć tamtą osobę, o której mówiliśmy w Balbec, myślałaś, że to się stało. Ale nie, zaręczam ci, że mi to było obojętne. Jesteś pewna, że ja od dawna zamierzałem cię rzucić, że czułość moja była komedią.

— Ależ nie, wariat jesteś, nigdy tak nie myślałam — rzekła smutno.

— Masz rację, nie trzeba tak myśleć; kochałem cię naprawdę, to może nie była miłość, ale wielka, wielka przyjaźń, większa, niż możesz przypuszczać.

— Ależ tak, wierzę. A czy ty sobie wyobrażasz, że ja cię nie Kocham!

— Bardzo mi jest przykro rozstawać się z tobą.

— A mnie tysiąc razy bardziej — odparła Albertyna.

Już od chwili czułem, że nie mogę powstrzymać łez, które mi nabiegały do oczu. I te łzy nie pochodziły wcale z podobnej przykrości, jaką odczuwałem niegdyś, mówiąc do Gilberty: „Lepiej, żebyśmy się już nie widywali, życie nas rozdziela”. Bez wątpienia, kiedyś to pisałem do Gilberty, powiadałem sobie, że gdybym kochał już nie ją, ale inną, nadmiar mojej miłości zmniejszyłby szanse uczuć, jakie mógłbym w niej obudzić, jak gdyby między dwiema istotami istniała nieodzownie pewna ilość rozporządzalnej miłości, tak iż nadwyżka jednej strony odbywa się kosztem strony przeciwnej i że z ową drugą również, jak z Gilbertą, trzeba mi będzie się rozstać. Ale położenie było zupełnie odmienne dla wielu przyczyn. Pierwszą, która z kolei zrodziła inne, był ów brak woli, którego babka i matka obawiały się we mnie w Combray i wobec którego obie kolejno skapitulowały: tyle ma chory energii w narzuceniu swojej słabości! Ten brak woli rozwijał się coraz to szybciej. Kiedyś czułem niegdyś, że moja obecność nuży Gilbertę, miałem jeszcze na tyle siły, aby się jej wyrzec; nie miałem już tej siły, kiedyś stwierdziłem to samo u Albertyny: myślałem tylko o tym, aby ją zatrzymać za wszelką cenę. Tak iż o ile pisałem do Gilberty, że jej już nie ujrzę, z zamiarem nieujrzenia jej naprawdę, Albertynie powtarzałem to jedynie jako czyste kłamstwo, aby sprowadzić pojednanie. W ten sposób mamiliśmy się wzajem pozorem bardzo różnym od rzeczywistości. I z pewnością zawsze tak jest, kiedy dwie istoty znajdują się na wprost siebie; zawsze jedna nie zna części tego, co jest w drugiej, a nawet tego, co wie, nie może po części zrozumieć. Każda z nich wyraża to, co najmniej osobiste; czy że nie odcyfrowała samej siebie i uważa za nieważne to, co najważniejsze, czy że blahe i nieistotne przewagi wydają się jej ważniejsze i pochlebniejsze. Ale w miłości nieporozumienie to dochodzi szczytu, bo z wyjątkiem może epoki dzieciństwa staramy się, aby pozór nie tyle odbijał ściśle naszą myśl, ile aby był w naszym poczuciu najcelowszy dla zdobycia tego, czego pragniemy, a czym dla mnie, od chwili jak wróciłem do domu, było zachować Albertynę w równej niewoli jak dotąd. Bałem się, żeby w swojej irytacji nie żądała większej swobody. Swobody tej chciałem użyć kiedyś; w tej chwili jednak, kiedy się bałem jej dążeń do niezależności, zanadto podsyciłoby to moją zazdrość. Począwszy od pewnego wieku, przez ambicję i przez przezorność udajemy, że nie zależy nam na rzeczach, na których nam najwięcej zależy. Ale w miłości prosta przezorność — która zresztą nie jest zapewne prawdziwą mądrością — narzuca nam dość szybko ten geniusz fałszu. Jako dziecku, najśłodszą rzeczą w miłości, samą jej istotą, wydawało mi się to, aby móc swobodnie objawiać czułość wobec istoty, którą kochałem, wdzięczność za jej dobroć, chęć ciągłego życia razem. Ale z własnego doświadczenia i z doświadczenia przyjaciół zbyt dobrze rozumiałem, że wyraz takich uczuć zgoła nie jest zaraźliwy. Skoro raz to zauważymy, nie pozwalamy sobie już na takie wylewy; toteż strzegłem się popołudniu wyrazić Albertynie całą wdzięczność za to, że wróciła z Trocadéro. A wieczorem w obawie, aby mnie nie porzuciła, udałem, że to ja pragnę ją rzucić; udanie nie tylko zresztą podyktowane mi przez doświadczenia poprzednich miłości zastosowane do obecnej.

Bałem się, że Albertyna mi powie: „Chcę czasem wychodzić sama, chcę być wolna choćby całą dobę”, że sformułuje w tym zakresie jakieś żądanie, którego nie starałem się określić, ale które mnie przerażało. Ta obawa musnęła mnie przez chwilę przed wieczorem u Verdurinów i podczas tego wieczoru. Ale rozproszyła się, zneutralizowana zresztą pamięcią tego, co mi Albertyna wciąż powtarzała o swoim szczęściu u mnie. Zamiar opuszczenia mnie, jeżeli istniał u Albertyny, objawiał się jedynie mglisto, smutnymi spojrze-

niami, nerwowością, słowami, które wcale tego nie znaczyły, ale które, gdyby się głębiej zastanowić, zdradzały w Albertynie obecność tajonych uczuć zdolnych przywieść ją do tworzenia planów innego życia bez mnie. I nie było nawet co się zastanawiać; odgaduje się natychmiast ten język namiętności; nawet prości ludzie rozumieją te słowa, dające się wytłumaczyć jedynie próżnością, urazą, zazdrością, niewyrażonymi zresztą, ale odkrytymi natychmiast u partnera przez ową intuicyjną zdolność, rzecz najpowszechniejszą w świecie, jak ów zdrowy rozsądek, o którym mówi Descartes<sup>213</sup>. Tak samo jak ten zamysł nie wyrażał się w słowach Albertyny w sposób logiczny, tak samo przecucie tego zamysłu, powzięte od owego wieczora, pozostało we mnie równie mgliste. Nadal żyłem hipotezą, przyjmując za prawdę wszystko, co mówiła Albertyna. Ale możliwe jest, że przez ten czas nie opuszczała mnie hipoteza wręcz przeciwna, o której nie chciałem myśleć; co jest tym prawdopodobniejsze, że inaczej nie krępowałbym się wcale z oznajmieniem Albertynie mojej bytności u Verdurinów i że inaczej nie tłumaczyłby się u mnie brak zdziwienia jej gniewem. Tak iż prawdopodobnie żyło we mnie pojęcie Albertyny wręcz przeciwne temu, jakie sobie o niej wytworzyłem rozumowo; bądź co bądź pojęcie Albertyny nie całkowicie wymyślonej, będącej niby dawniejszym zwierciadłem pewnych jej odruchów, na przykład niezadowolienia z tego, że poszedł do Verdurinów. Od dawna zresztą moje częste lęki, obawa powiedzenia Albertynie, że ją kocham, wszystko to odpowiadało innej hipotezie, tłumaczącej o wiele więcej rzeczy. I kiedy się przyjęło pierwszą hipotezę, druga stawała się prawdopodobniejsza, ponieważ dając folę czułości dla Albertyny, budziłem w niej jedynie irytację (którą zresztą tłumaczyła czym innym).

Analizując rzecz w tym duchu, wedle niezmiennego systemu odpowiedzi całkiem sprzecznych z tym, com w istocie odczuwał, mogę być pewien, iż, jeżeli owego wieczora powiedziałem Albertynie, że zamierzam ją opuścić, uczyniłem to — zanim jeszcze nawet zdałem sobie z tego sprawę — dlatego że się bałem, iż ona zapragnie wolności. Nie bardzo umiałbym powiedzieć, co to była ta wolność, która mnie przyprawiała o drżenie, ale ostatecznie wolność pozwalająca Albertynie mnie zdradzać lub bodaj nie dająca mi pewności, że mnie nie zdradza. Chciałem jej pokazać, przez dumę, przez chytrą, że się tego wcale nie boję; podobnie jak to już uczyniłem w Balbec, kiedy chciałem, żeby Albertyna powzięła o mnie wysokie pojęcie, i później jeszcze, kiedy mi chodziło o to, żeby nie miała czasu nudzić się ze mną. Wreszcie co się tyczy zarzutu, jaki można by przeciwstawić tej drugiej — niesformułowanej — hipotezie, iż wszystko, co Albertyna zawsze mi mówiła, znaczyło przeciwieństwo, że jej największe szczęście to życie u mnie, spokój, czytanie, samotność, wstręt do miłości saficznych<sup>214</sup> itd., nie warto nawet zatrzymywać się przy tym. Bo gdyby znów Albertyna chciała sądzić o moich uczuciach z tego, co mówiłem, dowiedziałyby się rzeczy wręcz sprzecznych z prawdą, skoro chęć rozstania się objawiałem jedynie wtedy, kiedy się nie mogłem bez niej obejść; a jeżeli w Balbec wyznałem jej, że kocham inną kobietę — raz Annę, drugi raz jakąś tajemniczą osobę — uczyniłem to oba razy wówczas, kiedy zazdrość wskrzesiła we mnie miłość do Albertyny. Słowa nie odbijały zatem zgoła moich uczuć. Jeżeli czytelnik odczuwa to zbyt słabo, to dlatego, że jako opowiadający przedstawiam mu swoje uczucia równoległe z powtórzeniem moich słów. Ale gdybym mu taił te uczucia i gdyby znał tylko słowa, postęпки moje, tak słaby mające z nimi związek, zrobiłyby na nim często wrażenie dziwacznych wyskoków, wzięłyby mnie niemal za wariata. Proceder ów nie byłby zresztą o wiele fałszywszy od tego, który obrałem, obrazy bowiem, które pobudzały moje czyny, tak różne od tych, które się malowały w moich słowach, były w owej chwili bardzo ciemne; znałem jedynie bardzo słabo naturę, w której duchu działałem; dziś widzę jasno jej subiektywną prawdę. Co się tyczy prawdy obiektywnej, to znaczy tego, czy skłonności owej natury dokładniej od mego rozumowania chwytały prawdziwe intencje Albertyny, czy miałem rację zaufać tej naturze i czy przeciwieństwo, nie zmieniała ona intencji Albertyny zamiast je rozpoznać, trudno mi rzec. Owa mglista doznawana przeze mnie u Verdurinów obawa, aby mnie Albertyna nie porzuciła, rozproszyła się od razu. Kiedy wróciłem, wróciłem z uczuciem, że jestem więźniem, nie

<sup>213</sup>Descartes, René, pol. Kartezjusz (1596–1650) — francuski filozof, fizyk i matematyk; prekursor geometrii analitycznej; zwolennik racjonalizmu w filozofii, zwany ojcem europejskiej filozofii nowożytnej. [przypis edytorski]

<sup>214</sup>saficzna miłość — miłość lesbijska, od imienia greckiej poetki Safony, mieszkającej na wyspie Lesbos, autorki głównie poezji miłosnej, często sugerującej jej miłość do kobiet. [przypis edytorski]

zaś, że odnajduję uwięzioną. Ale rozproszona obawa pochwyciła mnie znów z większą siłą, kiedy w chwili gdy oznajmił Albertynie, że byłem u Verdurinów, ujrzałem jak na jej twarzy gromadzi się zagadkowa irytacja, wykwitająca na niej zresztą nie pierwszy raz. Wiedziałem, że ten gniew jest jedynie skryształizowaniem się w jej ciele świadomych uraz, myśli jasnych dla istoty, która je formuje i która je przemilcza, syntezą uwidocznioną, ale już nie rozumową, i że ten, kto zbiera na twarzy ukochanej szacowny osad jej myśli, próbuje z kolei dla zrozumienia, co się dzieje w jej duszy, sprowadzić analizą ów osad do jego intelektualnych składników. Przybliżone równanie niewiadomej, jaką była dla mnie myśl Albertyny, dało mi mniej więcej to: „Znałam jego podejrzenia, byłam pewna, że będzie się starał je sprawdzić; abym go zaś nie mogła krępować, wykonał całą robotę po kryjomu”. Ale jeżeli Albertyna żywiła takie myśli (których nigdy nie wyraziła) czy nie musiała zbrzydzić sobie i postanowić z dnia na dzień przerwać nieznośną dla niej egzystencję, w której jeżeli była — bodaj chęcią — winna, czuła się odgadywana, tropiona, paraliżowana w swoich skłonnościach. A i tak nie uspokajało to mojej zazdrości! A jeżeli Albertyna była zamiarami i faktycznie niewinna, miała prawo od jakiegoś czasu czuć się zniechęcona, widząc, że od Balbec, gdzie tak wytrwale unikała wszelkiego sam na sam z Anną, aż do dziś, kiedy wyrzekła się pójścia do Verdurinów lub zostania w Trocadéro, nie zdołała odzyskać mojego zaufania. Tym bardziej że nie mogłem jej zachowaniu się nic zarzucić. W Balbec, kiedy się mówiło o dziewczętach, które miały podejrzaną maniery, Albertyna często puszczała się na śmieszki, „wygibywania się”, naśladowania ich; wszystko to drażniło mnie, wyobrażałem sobie, co to może oznaczać dla jej przyjaciółek. Za to od czasu jak znała moje poglądy, z chwilą gdy ktoś zrobił aluzję do rzeczy tego rodzaju, Albertyna przestawała brać udział w rozmowie, nie tylko słowami, ale wyrazem twarzy. Bądź że nie chciała przyczyniać się do złośliwości mówionych o tej lub owej, bądź z innej jakiejś przyczyny, w jej tak zmiennych i ruchliwych rysach uderzało wówczas jedynie to, że od chwili gdy się dotknęło tego przedmiotu, rysy te świadczyły o nieuwadze, zachowując ściśle wyraz, jaki miały chwilę przedtem. I to zastygnięcie nawet płochego wyrazu ciąży jak milczenie; niepodobna byłoby powiedzieć, czy ona gani, czy pochwała, czy wie, o czym mowa, czy nie wie. Każdy jej rys był w związku tylko z innym z jej rysów. Nos, usta, oczy tworzyły doskonałą harmonię wyodrębnioną z reszty; wyglądała jak pastel i robiła wrażenie, że nie słyszała tego, co się powiedziało, tak jakby się to powiedziało przed portretem La Toura<sup>215</sup>.

Moja niewola, jeszcze gniotąca mnie wówczas, kiedy podając dorożkarzowi adres Brichota, widziałem światło w oknie, przestała mi ciążyć w chwilę potem, kiedy mogłem mniemać, że Albertyna tak okrutnie odczuwa swoją niewolę. Iżby się jej ta niewola zdawała mniej ciężka, iżby jej nie przyszło na myśl zerwać ją z własnej pobudki, najręczniejszym zdało mi się obudzić w niej wrażenie, że ta niewola nie jest ostateczna i że sam pragnę jej końca. Widząc, że udanie się powiodło, powinien bym się czuć szczęśliwy. Pokonałem to, czego się tak bałem — wolę odejścia odgadywaną w Albertynie; równocześnie zaś, nawet poza zamierzonym celem, sukces mojej komedii sam w sobie, dowodząc, że nie jestem dla Albertyny wzgardzonym kochankiem, ośmieszonym zazdrośnikiem, którego wszystkie chytryści zawczasu się przenika, przywracał naszej miłości pierwotną świeżość, wskrzeszając czas, kiedy Albertyna mogła jeszcze w Balbec tak łatwo uwierzyć, że ją kocham inną. Bo nie byłaby już zapewne w to uwierzyła, ale wierzyła w moją udaną intencję zerwania z nią tego wieczora na zawsze. Wyraźnie podejrzewała, że przyczyną tego mogła się stać wizyta u Verdurinów.

Aby ukoić wzruszenie, o jakie mnie przyprowadziło moje udane zerwanie, rzekłem:

— Albertyno, możesz przysiąc, żeś mi nigdy nie skłamała?

Utkwiła wzrok w próżnię, po czym odpowiedziała:

— Tak... to znaczy nie. Skłamałam, że Anna leci na Blocha, nie widzieliśmy go.

— Ale w takim razie po co?

— Bo się bałam, żebyś nie uwierzył w inne rzeczy o niej. Tylko tyle.

Powiedziałem, że spotkałem pewnego autora dramatycznego bardzo zaprzyjaźnionego z Leą, któremu Lea zwierzyła dziwne rzeczy. (Chciałem tym dać do zrozumienia, że

<sup>215</sup> *La Tour*, *Maurice Quentin de* (1704–1788) — francuski malarz portrecista, tworzący przede wszystkim dzieła pastelowe; sportretował m.in. Ludwika XV, Woltera, Rousseau, d'Alemberta, Madame Pompadour. [przypis edytorski]



o tej przyjaciółce kuzynki Blocha wiem więcej, niż mówię). Albertyna znów popatrzyła w próżnię i rzekła:

— Źle zrobiłam, mówiąc przed chwilą o Lei, że zataiła trzytygodniową podróż, którą z nią odbyłam. Ale tak mało cię znałam w epoce, kiedy się to działo!

— To było przed Balbec?

— Przed drugim Balbec, tak.

I tego samego rana powiedziała mi, że nie zna Lei, i przed chwilą mówiła, że ją widziała tylko w garderobie! Patrzyłem, jak płomień spala w mgnieniu oka powieść, w której pisanie włożyłem milion minut. Po co? Po co? Zapewne rozumiałem, że Albertyna komunikuje mi te fakty, bo myśli, że się o nich dowiedział pośrednio od Lei. Czemu nie miałyby istnieć setki podobnych? Rozumiałem także, że słowa Albertyny, kiedy ją pytać o coś, nie zawierają nigdy ani atomu prawdy, że prawda wymyka się jej jedynie mimo woli, w nagłym zamieszaniu między faktami, które Albertyna dotąd była zdecydowana ukryć, a obawą jej, że ktoś już o nich może wiedzieć.

— Ale dwie rzeczy to nic — rzekłem. — Dojdźmy do czterech, żebyś mi zostawiła wspomnienia. Co możesz mi jeszcze wyznać?

Znów popatrzyła w próżnię. Do jakiej wiary w życie przyszłe dostrajała kłamstwo, z jakimi bogami mniej zgodliwymi, niżby przypuszczała, próbowała wejść w układy? To nie musiało być proste, bo jej milczenie i nieruchomość jej spojrzenia trwały dość długo.

— Nie, nic więcej — rzekła.

I mimo moich nalegań uparła się — już bez trudu — przy „nic więcej”. I co za kłamstwo! Bo skoro miała te skłonności, ileż razy, aż do dnia, w którym zamknąłem ją u siebie, ileż razy, w ilu mieszkaniach, na ilu spacerach musiała je zaspokajać! Gomorejki są zarazem na tyle rzadkie i na tyle liczne, że bodaj w największym tłumie jedna nie ujdzie niepostrzeżona oczom drugiej. I wówczas łatwo przychodzi do porozumienia.

Przypomniałem sobie ze zgrozą pewien wieczór, który w danej epoce wydawał mi się tylko śmieszny. Jeden z przyjaciół zaprosił mnie na obiad do restauracji wraz ze swoją kochanką i z innym przyjacielem, który przyprowadził swoją. Te kobiety prędko się odgadły; i tak pilno im było się posiąść, że od zupy nogi ich szukały się pod stołem, trafiając często na moją. Niebawem nogi zaplotły się o siebie. Moi dwaj przyjaciele nie widzieli nic; byłem na mękach. Jedna z kobiet, nie mogąc wytrzymać dłużej, weszła pod stół, mówiąc, że coś upuściła. Potem jedna dostała migreny i zachciała iść do umywalni. Druga spostrzegła, że czas jej iść do przyjaciółki do teatru. W końcu zostałem sam z dwoma przyjaciółmi, którzy nie domyślali się niczego. Owa z migreną wróciła, ale przeprosiła, że pójdzie sama do domu wcześniej, bo chce zażyć antypiryny. Bardzo się zaprzyjaźniły, chodziły razem na spacer; jedna, przebrana za mężczyznę, łowiła małe dziewczynki i sprowadzała je tamtej, uświadamiała je. Druga miała małego chłopca, na którego rzekomo się gniewała i kazała go karcić przyjaciółce, nieżałującej wówczas ręki. Można by rzec, że nie ma tak publicznego miejsca, gdzieby nie robiły tego, co najsekretniejsze.

— Ale Lea była przez cały czas tej podróży idealnie przyzwoita ze mną — rzekła Albertyna. — Była nawet bardziej uważająca niż wiele kobiet z towarzystwa.

— Czy kobiety z towarzystwa zachowywały się kiedyś z tobą niewłaściwie, Albertyno?

— Nigdy.

— Zatem co miałas na myśli?

— No, to, że była o wiele mniej swobodna w słowach.

— Na przykład.

— Nie użyłaby, jak wiele kobiet, które się przyjmuje w towarzystwie, słowa „piłować” albo „gwizdać na coś”.

Miałem wrażenie, że część powieści, która jeszcze nie spłonęła, rozpada się wreszcie w popiół.

Moje zniechęcenie byłoby trwało. Słowa Albertyny, kiedy się nad nimi zastanawiał, wzbudzały we mnie szalony gniew. Z kolei gniew ustąpił jakiemuś roztkliwieniu. I ja też, od chwili gdy wróciłem i oświadczyłem, że chcę zerwać, kłamałem. I ta chęć zerwania, którą udawałem tak wytrwale, wzbudziła pomału we mnie coś ze smutku, który byłbym czuł, gdybym chciał naprawdę opuścić Albertynę.

Zresztą nawet myśląc napadami, nawrotami (jak się mówi o innych cierpieniach fizycznych), o orgiach, w jakich żyła Albertyna przed naszym poznaniem się, tym bardziej podziwiałem uległość mojej branki i przestałem się na nią gniewać.

Zapewne nigdy w ciągu naszego pożycia nie przestawałem dawać Albertynie do zrozumienia, że będzie ono pewno tylko tymczasowe; chciałem tym przedłużyć urok, jaki Albertyna mogłaby w nim znajdować. Ale tego wieczora posunąłem się dalej, zląkszy się, że mgliste pogroźki zerwania mogą już nie wystarczać, zanulowane w myśli Albertyny przeświadczeniem o mojej wielkiej miłości i zazdrości, która mnie — Albertyna dawała to do zrozumienia — popchnęła do wywiadu u Verdurinów.

Tego wieczora pomyślałem, że pośród innych przyczyn, które mogły mnie nagle skłonić (z czego zdałbym sobie sprawę jedynie stopniowo) do tej komedii zerwania, było zwłaszcza moje usposobienie odziedziczone po ojcu. Kiedy mianowicie w jednym z owych wysoków, jakie miewał mój ojciec, zagrażałem jakiejś istocie w jej poczuciu bezpieczeństwa, nie mając jak ojciec odwagi urzeczywistnienia groźby, szedłem dość daleko w pozorach realizacji, aby nie dopuścić wiary, że to były tylko słowa rzucone na wiatr; cofałem się dopiero wówczas, kiedy przeciwnik, zmylony zapewne moją szczerością, zdrzął na dobre. Zresztą w tego rodzaju kłamstwach czujemy, że jest coś z prawdy; o ile życie nie przynosi zmian naszej miłości, my sami chcemy je wnieść albo udać, mówiąc o rozstaniu, bo w gruncie czujemy, że wszelka miłość i wszystkie rzeczy biegną szybko ku pożegnaniu. Chcemy, o wiele przed jego przyjściem, wypłakać łzy, które to rozstanie przyniesie. Z pewnością tym razem scena, którą odegrałem, miała swój praktyczny cel. Chciałem nagle zatrzymać Albertynę, bo czułem ją wmieszaną między inne istoty, czemu nie mogłem przeszkodzić. Ale gdyby się nawet na zawsze wyrzekła wszystkich dla mnie, tym bardziej może postanowiłbym nie opuścić jej nigdy, bo o ile zazdrość czyni rozstanie czymś okrutnym, wdzięczność uniemożliwia je. Czułem w każdym razie, że wydaję wielką bitwę, w której muszę zwyciężyć lub paść. Byłbym ofiarował Albertynie w jednej godzinie wszystko, com posiadał, bo powiadałem sobie: wszystko zależy od tej bitwy, ale te bitwy mniej są podobne do owych dawniejszych, które trwały kilka godzin, niż do bitwy współczesnej, która nie kończy się ani jutro, ani pojutrze, ani za tydzień. Oddaję się wszystkie siły w przeświadczeniu, że to są ostatnie, jakich się będzie potrzebowało. I więcej niż rok mija, nie przynosząc „rozstrzygnięcia”. Może łączyła się z tym nieswiadoma reminiscencja komedianckich scen pana de Charlus, w którego towarzystwie byłem, kiedy mnie ogarnął lęk, że Albertyna może mnie porzucić. Ale później usłyszałem od matki coś, o czym nie wiedziałem wówczas i co mi każe wierzyć, że wszystkie elementy tej sceny znalazłem w samym sobie, w owych mrocznych zasobach dziedziczności, które dochodzą w nas do głosu pod wpływem pewnych wzruszeń działających tak, jak w stosunku do naszych zamagazynowanych sił działają leki analogiczne do alkoholu i kawy. Kiedy ciocia Leonia słyszała od Eulalii, że Franciszka, pewna, iż pani jej nie wyjdzie już nigdy z domu, obmyśliła w sekrecie jakąś wyprawę, o której ciocia miała się nigdy nie dowiedzieć, w wilię owego dnia ciocia oznajmiała, niby to że spróbuje jutro wyjechać na spacer. Polecała niedowierzającej Franciszce nie tylko wszystko przygotować z góry, przewietrzyć rzeczy, które były długi czas zamknięte, ale nawet zamówić powóz, ułożyć co do kwadransa wszystkie sprawy dzienne. I dopiero kiedy Franciszka, przekonana lub bodaj zaniepokojona, czuła się zmuszona wyznaczyć własne projekty, wówczas ciocia wyrzekała się jawnie swoich, aby — powiadała — nie krzyżować planów Franciszki. Tak samo, aby Albertyna nie mogła myśleć, że ja przesadzam, i aby ją najskuteczniej umocnić w przekonaniu, że się rozstajemy, wyciągając konsekwencje z tego, com powiedział, zacząłem uprzedzać nasze jutrzejsze i rzekomo wiekuiste rozstanie, mówiąc do Albertyny tak i zalecając jej takie rzeczy, jak gdybyśmy się nie mieli pogodzić za chwilę. Jak generałowie, którzy sądzą, że aby finta mogła oszukać nieprzyjaciela, trzeba ją posunąć jak najdalej, włożyłem w tę komedię niemal tyle serca, co gdyby miała być prawdą. Ta urojona scena rozstania przejęła mnie w końcu taką zgryzotą, jak gdyby była prawdziwa; może dlatego, że jeden z dwóch aktorów — Albertyna — uważając ją za prawdę, pomnażał złudzenie drugiego. Przy dotychczasowym życiu z dnia na dzień każdy dzień, nawet przykry, był jednak znośny, uwięziony balastem przyzwyczajenia oraz tą pewnością, że jutro, choćby miało być okrutne, będzie zawierało obecność drogiej istoty; i obecnie niweczyłem jak szalenie całe to solidne życie. Niszczyłem je, to prawda, jedynie fikcyjnie, ale to wy-

starczało, aby mnie osmucić; może dlatego, że smutne słowa, które wymawiamy, nawet kłamliwe, noszą w sobie swój smutek i wstrzykują go nam głęboko; może dlatego, że wiemy, iż udając pożegnanie, uprzędzamy godzinę, która nadejdzie kiedyś nieodwołalnie; a wreszcie nie jesteśmy całkiem pewni, czy nie poruszamy sprężyny, która każe tej godzinie wybić. We wszelkim blefie istnieje cząstka niepewności — bodaj najmniejsza — co do reakcji osoby, którą się zwodzi. Gdyby ta komedia rozstania miała się skończyć rozstaniem! Niepodobna sobie bez skurczu serca wyobrazić jego możliwości, nawet nieprawdopodobnej. Jest się podwójnie załknionym, bo rozstanie przyszłoby w chwili, gdy byłoby czymś nie do zniesienia, gdyśmy właśnie cierpieli przez kobietę; i odeszłaby, nie uleczywszy nas lub bodaj nie ukoiwszy! A wreszcie nie mamy już punktu oparcia w przyzwyczajeniu, na którym opieramy się nawet w zgryzocie. Dobrowolnie pozbawiliśmy się go; daliśmy obecnemu dniowi wyjątkową wagę; odcięliśmy go od przyległych dni; buja bez korzeni niby dzień wyjazdu; wyobraźnia nasza, nieparaliżowana już przyzwyczajeniem, obudziła się; przydaliśmy nagle naszej codziennej miłości sentymentalne marzenia i te zwiększają ją olbrzymio, rodzą w nas konieczną potrzebę jakiejś obecności, na którą nie możemy już bezzawodnie liczyć. Właśnie dlatego zapewne, aby sobie zapewnić tę obecność, puściliśmy się na komedię udania, że możemy się bez niej obejść. Ale złapaliśmy się sami, zaczęliśmy na nowo cierpieć przez to, żeśmy zrobili coś nowego, niezwykłego, coś na kształt owych kuracji, które mają później uleczyć chorobę, ale zrazu pogarszają ją.

Miałem lzy w oczach, jak ci, co będąc sami, kaprysem wyobraźni przeżywają śmierć ukochanej osoby i uzmysławiają sobie tak drobiazgowo własny ból, że w końcu go doznają, I tak, w miarę jak dawałem Albertynie zlecenia co do jej zachowania się w stosunku do mnie, wówczas gdy się rozstaniemy, miałem wrażenie, że odczuwam tyleż zgryzoty, co gdybyśmy się nie mieli pogodzić za chwilę. A potem, czy byłem tak pewny, że zdołam to uczynić, że znów sprowadzę Albertynę do myśli o wspólnym życiu? A gdyby mi się to udało na ten wieczór, czy mogłem być pewny, że nie odrodzi się w niej poprzedni stan ducha? Czulem się panem przyszłości, ale nie wierzyłem w to panowanie; rozumiałem, że moje poczucie pochodzi tylko stąd, że ta przyszłość jeszcze nie istnieje i że tym samym nie przytłacza mnie jej konieczność. Kłamiąc tedy, byłem może bliższy prawdy, niż myślałem. Na przykład, kiedy mówiłem Albertynie, że rychło o niej zapomnę: zdarzyło mi się to w istocie z Gilbertą, której jeżeli teraz nie chciałem widzieć, to aby sobie oszczędzić nie cierpienia, ale nudy. Niewątpliwie cierpiałem, oznajmiając niegdyś Gilbertcie, że już jej nie zobaczę, i chodziłem do niej jedynie z rzadka. Otóż wszystkie godziny Albertyny należały do mnie, a w miłości łatwiej jest wyrzec się uczucia niż przyzwyczajenia. Ale jeżeli miałem siłę wypowiedzieć tyle bolesnych słów w sprawie naszego rozstania, dlatego iż wiedziałem, że są kłamliwe, w zamian za to były one szczerze w ustach Albertyny, kiedy wykrzyknęła:

— Och! Przyrzekam ci, nie ujrzę cię już nigdy. Wszystko raczej niż patrzeć, jak ty płaczesz, kochanie. Nie chcę ci robić przykrości. Skoro tak trzeba, nie zobaczymy się już nigdy.

Te słowa były szczerze, czym nie mogłyby być w moich ustach; z jednej strony dlatego, że Albertyna miała dla mnie tylko przyjaźń, wyrzeczenie się zatem kosztowało ją mniej, z drugiej strony dlatego, że w momencie rozstania czule rzeczy mówi ten, który nie kocha, ile że miłość nie wyraża się wprost; dlatego wreszcie, że moje lzy, które byłyby taką drobnostką w sferze wielkiej miłości, wydawały się Albertynie niemal czymś nadzwyczajnym i wstrząsały ją przeniesione w sferę przyjaźni, w której przebywała, owej przyjaźni większej niż moja wedle tego, co właśnie dopiero co wyrzekła. I nie było to może całkiem nieścisle, tysiączne bowiem objawy miłości mogą w końcu zrodzić w istocie, która je budzi, nie odczuwając ich sama, przywiązanie, wdzięczność mniej samolubne od uczucia, które je wywołało; i po latach rozłąki, kiedy nic nie zostanie z tego w dawnym kochanku, przetrwają one zawsze w ukochanej.

— Albertynko — odparłem — bardzo jesteś poczciwa, że mi to przyrzekasz. Zresztą, przez pierwsze lata przynajmniej, będę unikał miejsc, gdzie ty będziesz. Nie wiesz, czy pojedziesz tego roku do Balbec? W takim razie urządziłbym się tak, żeby tam nie jechać.

Jeżeli teraz posuwałem się dalej, uprzędzając czas w swoim kłamliwym zmyśleniu, czyniłem to zarówno po to, aby nastraszyć Albertynę, jak po to, aby zadać ból samemu sobie. Jak człowiek, który zrazu miał jedynie blahe powody do urazy, upija się wybu-

chami własnego głosu i ulega wściekłości zrodzonej nie z jego zarzutów, ale z samego rosnącego stopniowo gniewu, tak ja toczyłem się coraz to szybciej po pochyłości mojego smutku ku rozpaczcy coraz to głębszej, z bezwładem człowieka, który czując, że go ogarnia chłód, nie próbuje walczyć i znajduje nawet w drzeniu z zimna rodzaj przyjemności. I gdybym miał wreszcie za chwilę — jak na to liczyłem — siłę opanowania się, otrząśnięcia i dania kontrpary<sup>216</sup>, pocałunek Albertyny na dobranoc musiałby mnie pocieszyć nie tyle po zmartwieniu, jakie mi sprawiła, tak źle przyjmując mój powrót, ile po zmartwieniu, jakiemu się poddałem, wymyślając formalności urojonego rozstania (dla rzekomego uregulowania ich) i przewidując jego skutki. W każdym razie nie trzeba było, aby to Albertyna powiedziała mi owo „dobranoc” sama z siebie, co by mi utrudniło zwrot, jakim zaproponowałbym jej pojednanie. Toteż raz po raz przypominałem Albertynie, że godzina „dobranoc” od dawna już nadeszła, co zostawiając mi inicjatywę, pozwalało mi opóźnić je jeszcze na chwilę. W ten sposób aluzjami do tak spóźnionej pory i do naszego zmęczenia przeplatałem pytania, które zadawałem Albertynie.

— Nie wiem, dokąd się udam — odpowiedziała w zamyśleniu. — Może do Turenii, do ciotki. — I ten pierwszy szkic projektu zmroził mnie tak, jakby był istotnie początkiem ostatecznego rozstania. Popatrzyła na pokój, na pianolę, na niebieskie atlasowe fotele. — Nie mogę się jeszcze oswoić z myślą, że już tego nie zobaczę ani jutro, ani pojutrze, ani nigdy. Biedny pokoik. Zdaje mi się, że to niemożliwe, to mi się nie mieści w głowie.

— Tak trzeba, byłaś tu nieszczęśliwa.

— Ależ nie, nie byłam nieszczęśliwa, dopiero teraz będę.

— Ależ nie, zapewniam cię, to lepiej dla ciebie.

— Może dla ciebie!

Zacząłem uparcie patrzeć w próżnię, tak jakbym opanowany głębokim wahaniem walczył przeciwko myśli przychodzącej mi do głowy:

— Słuchaj, Albertyno, mówisz, że jesteś tutaj szczęśliwsza, że będziesz nieszczęśliwa.

— Z pewnością.

— To wielki wstrząs dla mnie: czy chcesz, żebyśmy spróbowali przedłużyć o kilka tygodni... kto wie, tydzień po tygodniu można zejść bardzo daleko... wiesz, że istnieją prowizoria trwające w końcu wiecznie.

— Och, jaki byś ty był milusi!

— Ale w takim razie, szaleństwo jest tak się dręczyć bez powodu całe godziny; to tak jak podróż, do której się człowiek przygotowuje, a potem nie jedzie. Jestem jak zbity z tego wszystkiego.

Posadziłem ją na kolanach, wziąłem rękopis Bergotte'a, którego tak pragnęła, i napisałem na okładce: „Mojej małej Albertynce na pamiątkę odnowienia kontraktu.”

— Teraz — rzekłem — idź spać do jutra, kochanie, musisz być strasznie zmęczona.

— Jestem zwłaszcza bardzo kontenta.

— Kochasz mnie troszeczkę?

— Jeszcze sto razy więcej niż przedtem.

Nie miałbym powodu do szczęścia, gdyby ta komedyjka nie osiągnęła tej perfekcji w wyreżyserowaniu, do jakiej ją doprowadziłem. Gdybyśmy tylko po prostu mówili o rozstaniu się, byłoby to dość groźne. Wymieniając takie słowa, człowiek myśli, że je wypowiada nie tylko nieszczerze (co jest w istocie prawdą), ale swobodnie. Otóż takie słowa są na ogół, bez naszej wiedzy, pierwszym szeptanym mimo naszej woli pomrukiem burzy, której się nie domyślamy. W istocie to co, wyrażamy wówczas, jest czymś przeciwnym naszemu pragnieniu (aby żyć zawsze z tą, którą kochamy); ale wyrażamy tym również ową niemożliwość wspólnego życia przynoszącą nam codzienne cierpienie — cierpienie, które wolimy od mąk rozstania, a które w końcu wbrew naszej woli nas rozłączy. Tak dzieje się zwykle, ale nie od razu. Najczęściej zdarza się — jak się okaże, z nami miało być inaczej — że w jakiś czas po słowach, w któreśmy nie wierzyli, wprowadzamy w czyn bezkształtny szkic dobrowolnego rozstania, niebolesnego, czasowego. Prosimy na przykład kobietę — po to aby później bardziej sobie podobała w naszym towarzystwie, a także chcąc sobie oszczędzić na chwilę ciągłych smutków i zmęczenia —

<sup>216</sup>kontrpara — przeciwpara; para wpuszczana do cylindra maszyny parowej w celu zahamowania jej biegu. [przypis edytorski]

prosimy ją, aby zrobiła bez nas lub pozwoliła nam zrobić bez niej kilkodniową podróż. To są — od bardzo dawna — pierwsze dni spędzone bez niej, co by się nam wprzód wydało niemożliwe. Bardzo prędko wraca, aby zająć miejsce przy naszym ognisku. Tylko że to rozstanie, krótkie, lecz spełnione, nie jest tak dobrowolnie postanowione i tak na pewno jedyne, jak sobie wyobrażamy. Wracają te same smutki, ta sama trudność pożycia; jedynie rozstanie się nie jest już czymś równie trudnym; zaczęło się o nim mówić, potem wykonało się je zgodnie. Ale to są tylko objawy wstępne, których nie odgadliśmy. Niebawem po rozstaniu chwilowym i uśmiechniętym nastąpi rozstanie okrutne i ostateczne, które przygotowaliśmy, nie wiedząc o tym.

— Przyjdź do mojego pokoju za pięć minut, abym cię mogła zobaczyć jeszcze trochę, kochanie. Będziesz bardzo milusi. Ale potem prędko zasną, bo jestem jak nieżywa.

W istocie zastałem nieżywą, kiedy wszedłem za chwilę do jej pokoju. Ledwo się położywszy, usnęła; prześcieradła owinięte dokoła niej jak całun miały w swoich pięknych fałdach martwość kamienia. Można by rzec, że jak w niektórych *Sądach ostatecznych* średniowiecza, sama tylko głowa wystaje z grobu, oczekując we śnie trąby archaniola. Tę głowę zaskoczył sen przegiętą wstecz, ze zmierzwionymi włosami. I widząc owo leżące tam obojętne ciało, pytałem się, co za tabelę logarytmów ono stanowi, iżby wszystkie czynności, w którym bierze udział, od potrącenia łokciem do otarcia się suknią, mogły mi sprawiać tyle bólu — rozciągnięte aż po nieskończoność wszystkich punktów, jakie ciało to zajmowało kiedykolwiek w przestrzeni i w czasie, i od czasu do czasu wskrzeszone nagle w moim wspomnieniu. A przecież — wiedziałem o tym — czynności te wiązały się z jej ruchami, z jej pragnieniami, które byłyby mi u innej — u niej samej pięć lat przedtem lub potem — tak obojętne. Wszystko to było kłamstwem, ale kłamstwem, dla którego nie miałem odwagi szukać innego rozwiązania niż moja śmierć. I tak siedziałem w futrze, którego jeszcze nie zdjąłem, wróciwszy od Verdurinów, przed tym zwiniętym ciałem, przed tą alegorią czego? mojej śmierci? mojej miłości? Niebawem usłyszałem równy oddech Albertyny. Usiadłem na kraju łóżka; oddech ten w połączeniu z jej widokiem działał na mnie kojąco niby wietrzyk morski. Potem wyszedłem po cichu, aby jej nie budzić.

Było tak późno, że od rana kazałem Franciszce sprawować się bardzo cicho, kiedy będzie przechodziła koło pokoju Albertyny. Toteż Franciszka, przekonana, żeśmy spędzili noc na tym, co nazywała „orgiami”, zaleciła ironicznie reszcie służby, żeby nie „budzić księżniczki”. I to była jedna z rzeczy, których się bałem, mianowicie, że któregoś dnia Franciszka nie zdoła się powstrzymać, będzie niegrzeczna dla Albertyny i że to zamąci nasze życie. Franciszka nie była już wówczas w tym wieku, aby mogła znieść mężnie zazdrość, jak w epoce, gdy tak cierpiała, widząc, że ciocia Leonia faworyzuje Eulalię. Ta zazdrość zmieniała, paraliżowała twarz naszej służącej do tego stopnia, że chwilami zastanawiałem się, czy Franciszka na skutek jakiegoś wybuchu furii nie miała, bez mojej wiedzy, lekkiego ataku apopleksji.

Zaleciwszy, aby nie mącono snu Albertyny, sam nie mogłem zasnąć. Próbowałem zrozumieć, jaki jest prawdziwy stan jej ducha. Czy moja smutna komedia uchroniła mnie od prawdziwego niebezpieczeństwa; czy mimo iż Albertyna twierdziła, że się czuje u mnie tak szczęśliwa, w rzeczywistości myślała chwilami o odzyskaniu wolności, czy też przeciwnie, należało wierzyć jej słowom?

Która z dwóch hipotez była prawdą? O ile mi się zdarzało często, o ile miało mi się zwłaszcza zdarzyć, że kiedy próbowałem zrozumieć historyczny wypadek, powiększałem jakieś wydarzenie mego minionego życia do wymiarów historii, tego rana, na odwrót, nie przestałem zestawiać naszej wczorajszej sceny z pewnym dyplomatycznym faktem, który właśnie zaszedł. W ten sposób mimo wszystkich różnic starałem się zrozumieć jej doniosłość. Miałem może prawo tak rozumować. Bo bardzo prawdopodobnie bez mojej wiedzy przykład pana de Charlus był mi natchnieniem do tej kłamliwej sceny, którą on nieraz w moich oczach odgrywał z taką powagą; z drugiej strony była ona u niego może nie czym innym, jak nieświadomym rzutowaniem w sferę życia prywatnego instynktu jego niemieckiej rasy, prowokatorskiej przez chytrą, a w potrzebie wojowniczej z pychy. Ponieważ różne osoby, między innymi książę Monaco<sup>217</sup>, podesunęły rządowi

<sup>217</sup>książę Monaco — Albert I (1848–1922), książę Monako (od 1889). [przypis edytorski]

francuskiemu myśl, że jeżeli się nie rozstanie z panem Delcassé<sup>218</sup>, odgrajające się Niemcy wypowiedzą nam w istocie wojnę, poproszono ministra spraw zagranicznych, aby się podał do dymisji. Zatem rząd francuski uznał za fakt intencje wojenne Niemiec, o ile nie ustąpimy. Ale inni myśleli, że chodziło tylko o prosty blef i że gdyby się Francja oparła, Niemcy nie dobyłyby miecza. Zapewne scenariusz był nie tylko różny, ale niemal odwrotny, bo nigdy Albertyna nie groziła mi zerwaniem; ale suma wrażeń zrodziła we mnie wiarę, że ona myśli o tym, tak jak rząd francuski uwierzył w intencje Niemiec. Z drugiej strony, jeżeli Niemcy pragnęły pokoju, wątpliwą i niebezpieczną grą było obudzić w rządzie francuskim myśl o możliwości wojny. Niewątpliwie, moje postępowanie było dość zręczne, w razie jeżeli myśl, że ja się nigdy nie zdecyduję na zerwanie, zbudziła w Albertynie nagle pragnienia swobody. I jak uwierzyć, że ona nie ma tych pragnień, nie zgadywać w niej całego sekretnego życia dążącego do zadowolenia jej zboczeń? Wystarczył sam gniew, z jakim wykrzyknęła: „Byłam pewna!”, dowiedziawszy się, że byłem u Verdurinów, i z jakim zdemaskowała się do reszty, mówiąc: „Miała być u nich panna Vinteuil”. Wszystko to potwierdzało widzenie się Albertyny z panią Verdurin, które mi zdradziła Anna. Ale może jednak te nagłe żądze swobody (powiadałem sobie, próbując iść wbrew swemu instynktowi) wynikały — o ile istniały — lub miały w końcu wyniknąć z przeciwnej myśli; mianowicie z tego, że ja nigdy nie miałem zamiaru ożenić się z Albertyną, że mówiłem prawdę, robiąc jakby mimo woli aluzje do naszego bliskiego rozstania się, że ją w każdym razie opuszczę prędzej czy później. Dzisiejsza moja scena musiała w takim razie jedynie umocnić tę wiarę i mogła zrodzić w niej to postanowienie: „Jeżeli to ma nieuchronnie przyjść, lepiej skończyć z tym od razu”. Przygotowania wojenne, które najfałszywsza z maksym zachwała dla utrzymania pokoju, stwarzają, przeciwnie, u każdego z przeciwników wiarę, że drugi pragnie zerwania, wiarę, która sprowadza zerwanie, kiedy zaś ono nastąpiło, stwarzają u każdego z przeciwników przeświadczenie, że to druga strona chciała tego. Nawet jeżeli groźba nie była szczerą, sukces skłania do powtórzenia jej. Ale trudno określić ściśle punkt, do którego blef może się udać; jeżeli jeden z graczy posunie się za daleko, drugi, ustępujący dotąd, postępuje naprzód; pierwszy, nie umiejąc już zmienić metody, oswojony z myślą, iż udawać, że się nie boi zerwania, jest najlepszym sposobem uniknięcia go (jak ja tego wieczora z Albertyną), popychany zresztą przez dumę ku temu, aby raczej ulec niż ustąpić, trwa w swojej pogroźce aż do chwili, w której nikt nie może się już cofnąć. W ten sposób blef może się mieszać ze szczerością, zmieniać się z nią kolejno i to, co było grą wczoraj, może się stać rzeczywistością jutro. Może się wreszcie też zdarzyć, że jeden z przeciwników jest w istocie zdecydowany na wojnę; może Albertyna na przykład zamierzała wcześniej lub później przerwać to życie lub przeciwnie, może jej ta myśl nigdy nie powstała w głowie i jedynie moja wyobraźnia wyroiła od „a” do „zet” to wszystko.

Takie były hipotezy, które roztrząsałem tego rana w czasie snu Albertyny. Co do ostatniej hipotezy, mogę wszelako powiedzieć, że jeżeli kiedyś później groziłem Albertynie, że ją porzucę, to tylko po to, aby przeciwdziałać jej zachceniom zdrowej swobody. Nie wyrażała ich, ale wyczuwałem je w tajemniczych niehumorach, słowach, gestach, do których ta myśl była jedynym możliwym kluczem, gdy Albertyna wzbraniała się udzielić mi jakiegokolwiek wytłumaczenia. Często zresztą stwierdzałem te objawy, nie czyniąc żadnej aluzji do możebnego rozstania; wówczas sądziłem, że płyną z dąsów, które skończą się tego samego dnia. Ale te dąsy trwały czasami bez przerwy przez całe tygodnie, w ciągu których zdawało się, że Albertyna chce wywołać konflikt, tak jakby w tej chwili, w mniej lub więcej odległej strefie, widziała jakieś przyjemności, których pozbawiała jej niewola u mnie i które wpływały na nią aż do chwili ich końca, jak owe zmiany atmosferyczne, które nawet w zaciszu przy kominku oddziałują na nasze nerwy, nawet z tak daleka jak gdzieś z Wysp Balearskich.

Tego rana, podczas gdy Albertyna spała i kiedy próbowałem zgadnąć, co w niej siedzi, dostałem list od matki. Wyrażała niepokój, że nie wie nic o naszych postanowieniach: a wyrażała go w tych słowach pani de Sévigné: „Co do mnie, jestem przekonana, że się

<sup>218</sup>Delcassé, *Théophile* (1852–1923) — francuski polityk, minister spraw zagranicznych w latach 1898–1905; podczas kryzysu marokańskiego (1905) przekonywał, że mimo gróźb Niemcy nie zdecydują się na wojnę, a nawet gdyby do niej doszło, Wielka Brytania stanie po stronie Francji; przegłosowany przez Radę Ministrów, podał się do dymisji. [przypis edytorski]

nie ożeni; ale w takim razie po co mącić spokój dziewczyny, której nie zaślubi nigdy? Po co narażać ją na to, że odrzuci i zlekceważy jakąś dobrą partię. Po co zamącać myśli osoby, której tak łatwo byłoby unikać?”. Ten list sprowadził mnie na ziemię. „Po co szukać tajemniczej duszy, tłumaczyć wyraz twarzy i żyć wśród przeczuć, których nie śmiem zgłębić — powiadałem sobie. — Roilem majaki, a rzecz jest całkiem prosta. Jestem młodym człowiekiem, niezdecydowanym, a chodzi o jedno z owych małżeństw, w których się przez jakiś czas waży, czy rzecz dojdzie do skutku czy nie. Nie ma w tym nic specjalnego dla Albertyny”.

Ta myśl przyniosła mi odprężenie głębokie, lecz krótkie. Prędko powiedziałem sobie: jeśli się bierze rzecz z perspektywy społecznej, można w istocie wszystko sprowadzić do najpotoczniejszej codzienności. Z zewnątrz może w ten sposób bym to widział. Ale wiem dobrze, że prawdziwe — lub co najmniej także prawdziwe — jest wszystko, co myślałem, co czytałem w oczach Albertyny; obawy, które mnie dręczą, problemat, który sobie wciąż stawiam wobec niej. Historia wahającego się oblubieńca i zerwanego małżeństwa może temu odpowiadać, jak recenzja rozsądnego dziennikarza może dać treść sztuki Ibsena. Ale jest coś innego niż to streszczenie faktów. Prawda, że ta inna rzecz istnieje może (gdyby się ją umiało widzieć) u wszystkich wahających się narzeczonych i we wszystkich opóźniających się małżeństwach: życie codzienne też ma swój element tajemnicy. Mogłem zaniedbać ten element, patrząc na życie innych, ale życie Albertyny i swoje przeżywałem od wewnątrz.

Począwszy od tego wieczora, Albertyna nie mówiła mi, tak samo jak nie mówiła w przeszłości: „Wiem, że nie masz do mnie zaufania, spróbuję rozwiać twoje podejrzenia”. Ale ta niewyrażona nigdy myśl mogłaby posłużyć za klucz do jej najdrobniejszych postępów. Nie tylko urządziła się tak, aby ani na chwilę nigdy nie być sama, i tak, że-bym zawsze musiał wiedzieć, co ona robiła, o ile bym nie wierzył jej własnym słowom, ale nawet kiedy miała telefonować do Anny, do garażu, do maneżu<sup>219</sup> lub gdzie indziej, twierdziła, że nudne jest siedzieć przy telefonie, czekając bez końca na połączenie, i starała się o to, abym siedział koło niej, lub w braku mnie Franciszka, tak jakby się bała, że mogę sobie wyroić jakieś występne telefony, zwiastuny tajemniczych schadzek.

Niestety, wszystko to nie uspakajało mnie. Przyszedł na mnie dzień zniechęcenia. Aimé odesłał mi fotografię Estery, powiadając, że to nie ta. Zatem Albertyna miała inne bliskie przyjaciółki prócz tej, co do której (dzięki temu, że ona źle zrozumiała moje słowa) wykryłem, myśląc, że mówię całkiem o czym innym, że ona dała jej fotografię. Odesłałem tę fotografię Blochowi. Bylbym chciał widzieć zwłaszcza tę, którą Albertyna dała Esterze. Jak wyglądała? Może wydekoltowana, kto wie? Ale nie śmiałem wspomnieć o tym Albertynie (bo zdradziłbym się, że nie widział fotografii) ani Blochowi, przed którym znów nie chciałem się zdradzić, że się interesuję Albertyną. I to nowe życie, które wydałoby się tak okrutne każdemu znającemu moje podejrzenia i niewolę Albertyny z zewnątrz, dla Franciszki, uchodziło za życie niezaskuszonych przyjemności, które umie zręcznie wyludzać ta „czarownica”, ta „szarlatantka”, jak powiadała Franciszka, używająca znacznie częściej rodzaju żeńskiego niż męskiego, będąc bardziej zawistna o kobiety. A że Franciszka w zetknięciu ze mną wzbogaciła swój słownik nowymi terminami, ale przerabiając je na swój sposób, mówiła nawet o Albertynie, że nigdy nie знаła osoby tak „chytrej”, która umie „naciągać”, grając tak dobrze komedię (co Franciszka, mieszająca łatwo pojęcia szczególne i ogólne i mająca dość mętne idee o rodzajach sztuki dramatycznej, nazywała „grać balet”). Za tę omyłkę Franciszki co do istotnego mego pojęcia z Albertyną, sam byłem poniekąd odpowiedzialny przez mętne aluzje, jakim w rozmowie z Franciszką pozwalałem się zręcznie wymykać bądź przez chęć droczenia się z nią, bądź przez chęć wyglądania na człowieka, jeżeli nie kochanego, to bodaj szczęśliwego. A jednak z mojej zazdrości, z nadzoru, jaki roztaczałem nad Albertyną (co byłbym tak bardzo chciał ukryć przed Franciszką), Franciszka odgadła rychło prawdę, wiedzona — jak spirytysta, który z zawiązanymi oczami znajduje jakiś przedmiot — swoistym wyczuciem tego, co mogło mi być przykre, intuicją niedającą się zmylić moim kłamstwom. Była w tym i owa jasnowidząca nienawiść, która parła Franciszkę nie tylko do wierzenia, że jej nieprzyjaciółki są szczęśliwsze, sprytniejsze, niż były w istocie, ale do odkrycia te-

<sup>219</sup>maneż — pomieszczenie do nauki konnej jazdy, ujeżdżalnia koni. [przypis edytorski]

go, co może je zgubić i przyspieszyć ich upadek. Franciszka z pewnością nie robiła nigdy żadnych scen Albertynie. Ale znałem jej sztukę insynuacji, sposób, w jaki umiała wyzskać wymowne *mise en scène*, i nie sądzę, aby się oparła rozkoszy codziennego upokarzania Albertyny rolą, jaką Albertyna odgrywa w naszym domu, drażnienia jej umiejętnie przesadzonym obrazem zamknięcia, na jakie jest skazana. Zastałem raz Franciszkę, jak nasadziwszy wielkie okulary, szperała w moich papierach i wsuwała między nie arkusz, na którym zanotowałem opowiadanie dotyczące się Swanna oraz jego niemożności obycia się bez Odety. Czy zawlekła ten arkusz przez nieuwagę do pokoju Albertyny? Zresztą ponad wszystkie domyślniki Franciszki, które były jedynie basowym, głuchym i perfidnym akompaniamentem, z pewnością musiał się wznosić donośniejszy, wyraźniejszy, natarczywszy, oskarżający i potwarczy głos Verdurinów, podrażnionych tym, że Albertyna trzyma mnie mimo woli — a ja ją rozmyślnie — z dala od małego klanu.

Co się tyczy pieniędzy, które wydawałem na Albertynę, prawie niepodobna było mi ukryć się z tym przed Franciszką, bo nie mogłem przed nią ukryć żadnego wydatku. Franciszka miała mało wad, ale te wady stworzyły w niej, na swoje usługi, prawdziwe talenty, których często jej brakło poza sferą tych wad. Główną z nich była ciekawość w zastosowaniu do pieniędzy wydawanych przez nas na kogoś innego. Kiedy miałem uregulować rachunek, dać napiwek, daremnie się chronilem na stronę, zawsze znalazła pretekst jakiegoś talerza, serwetki, coś, co by jej się pozwoliło przybliżyć. I choćbym jej zostawił jak najmniej czasu, wyprawiając ją wściekły z pokoju, ta kobieta, która już prawie nie widziała, która ledwie umiała rachować, dostrzegała ukradkiem i błyskawicznie obliczała sumę, którą dawałem, wiedziona tym samym zmysłem, który sprawia, że krawiec, widząc cię, szacuje instynktownie materiał twojego ubrania, zgoła nie mogąc się wstrzymać od pomacania go, lub że malarz wrażliwy jest na grę kolorów. I aby nie mogła powiedzieć Albertynie, że przekupuję szofera, uprzedzałem Franciszkę i usprawiedliwiając swój napiwek, mówiłem: „Chciałem dobrze usposobić szofera, dałem mu dziesięć franków”. Bezlitosna Franciszka, której wystarczył jeden rzut oka niby u starego, prawie ślepego orła, odpowiadała: „Ależ nie, pan mu dał czterdzieści trzy franki na piwo. Powiedział, że mu się należy czterdzieści pięć franków, pan dał sto franków, a on wydał tylko dwanaście”. Miała czas sprawdzić i obliczyć cyfrę napiwku, której ja sam nie znałem.

Zastanawiałem się, czy Albertyna, czując swą niewolę, nie zrealizuje sama rozstania, którym jej groziłem, bo życie, zmieniając się, zmienia nasze bajki w rzeczywistość. Za każdym razem kiedy słyszałem otwierające się drzwi, wstrząsał mną ów dreszcz, jaki babka miała w czasie agonii przy każdym moim dzwonku. Nie sądziłem, żeby Albertyna wyszła, nie uprzedziwszy mnie, ale myślała to moja podświadomość, jak podświadomość babki słyszała dzwonek, mimo że sama babka była nieprzytomna. Pewnego rana uczułem nagle niepokój, że Albertyna nie tylko wyszła, ale opuściła dom; usłyszałem trzask, miałem wrażenie, że to jej drzwi. Zakradłem się na palcach, wszedłem, stanąłem w progu. Ujrzałem w mroku wysklepioną koldrę; widocznie Albertyna, wygięta w łuk, spała z nogami i z głową do ściany. Jedynie przelewające się poza łóżko obfite i czarne włosy pozwoliły mi zrozumieć, że to ona, że nie otworzyła drzwi, nie ruszyła się; uczułem ten nieruchomy i żywy łuk, w którym mieściło się całe życie ludzkie, będący jedyną rzeczą, do której przywiązywałem cenę — uczułem, że ona jest tutaj, w mojej władzy.

Jeżeli celem Albertyny było przywrócić mi spokój, udało się jej to po części; rozum mój pragnął zresztą jedynie dowieść, żem się pomylił co do złych zamiarów Albertyny, tak jak się może omyliłem co do jej przewrotnych instynktów. Niewątpliwie w bilans argumentów dostarczanych mi przez rozum wchodziła moja chęć zadowolenia się nimi. Ale aby być sprawiedliwym i mieć szansę widzenia prawdy, czyż nie trzeba mi było powiedzieć sobie, że jeżeli rozsądek, starając się wrócić mi zdrowie moralne, pozwalał się wieść memu pragnieniu, w zamian za to w tym, co się tyczyło panny Vinteuil, zбочerń Albertyny, jej głodu innego życia, jej projektu zerwania, będących niby wnioskiem wysnutym z jej zбочerń, instynkt mój, pędząc mnie w chorobę, mógł się dać omylić zazdrości? Chyba że się w ogóle przyjmie, iż prawdę można znać jedynie w drodze przecucia, telepatii. Zresztą owo jej odcięcie od świata — które Albertyna siliła się tak przemyślnie uczynić absolutnym — owo odcięcie, kojąc moją mękę, stłumiło stopniowo podejrzliwość i kiedy wieczór znów sprowadzał udręki, mogłem znaleźć w obecności Albertyny ukojenie pierwszych dni. Siedząc przy łóżku, mówiła ze mną o nowej sukni lub o jakimś przed-



miocie, darach, którymi wciąż ją obsypywałem, aby jej uczynić życie miłszym, a więzienie ładniejszym. Zrazu Albertyna myślała tylko o strojach i meblach. Teraz interesowały ją srebra. Toteż wypytywałem się pana de Charlus o stare francuskie srebro, a to dlatego, że kiedyśmy robili projekt posiadania jachtu — projekt uznany za nieosiągalny przez Albertynę, a także przeze mnie, ilekroć każąc mi wierzyć w cnotę Albertyny, moja słabnąca zazdrość nie dławiała już innych pragnień, w których ona nie miała miejsca, a których zaspokojenie wymagało również pieniędzy — poprosiliśmy na wszelki wypadek — i bez wiary Albertyny w to, żebyśmy mieli kiedy jacht — Elstira o rady. Otóż tak samo jak w strojach damskich, tak i w urządzeniu jachtu smak malarza był wyrafinowany i trudny. Uznawał jedynie meble angielskie i stare srebro. To skłoniło Albertynę, od powrotu z Balbec, do czytania dzieł o sztuce jubilerskiej, o stemplach starych grawerów. Ale stare srebro, dwa razy przetopione, raz w momencie traktatu utrechckiego<sup>220</sup>, kiedy sam król, pociągając swoim przykładem magnatów, oddał własną zastawę, drugi raz w roku 1789, jest niezmiernie rzadkie. Z drugiej strony, mimo iż nowocześni złotnicy odtworzyli całe to srebro wedle rysunków Pont-aux-Choux, Elstir uważał te nowe antyki za niegodne domu kobiety ze smakiem, choćby domu pływającego. Wiedziałem, że Albertyna czytała opis cudów, jakie Roettiers<sup>221</sup> wykonał dla pani du Barry. Umierała z ochoty — jeżeli coś z tego ocalało — oglądania tych sreber, a ja umierałem z ochoty ofiarowania jej ich. Zaczęła nawet gromadzić kolekcje, które układała z uroczym smakiem za witryną i na które nie mogłem patrzeć bez rozczulenia i bez lęku, bo sztuka, z jaką je układała, była wytworem cierpliwości, pomysłowości, nostalgii, potrzeby zapomnienia — znamienych dla więźniów.

Co się tyczy toalet, podobały się jej w tej chwili zwłaszcza modele Fortuny'ego. Suknie Fortuny'ego, z których jedną widziałem na pani de Guermantes, to były te, które zapowiadał nam Elstir, mówiąc o wspaniałych strojach z czasu Carpaccia<sup>222</sup> i Tycjana<sup>223</sup>. Odrodziły się z popiołów, w całym przepychu — bo wszystko musi wrócić, jak jest napisane na sklepieniach Św. Marka i jak to głoszą, pijąc z marmurowych i jaspisowych urn bizantyńskich kapitelów, ptaki oznaczające równocześnie śmierć i zmartwychwstanie. Z chwilą gdy kobiety zaczęły nosić te suknie, Albertyna przypominała sobie wróżby Elstira i zapragnęła je mieć; mieliśmy się wybrać, aby jej sprawić taką toaletę. Otóż te suknie, nie będąc z tych prawdziwie starych, w których dzisiaj kobiety wyglądają zanadto teatralnie i które ładniejsze są po prostu na wystawie (szukałem zresztą i takich dla Albertyny), nie miały również chłodu pastiszu, fałszywego antyku. Na sposób dekoracji Sert<sup>224</sup>, Baksta<sup>225</sup> i Benoist<sup>226</sup>, którzy w tej chwili wywoływali w baletach rosyjskich najukochańsze epoki sztuki — przy pomocy dzieł nasyconych ich duchem, a mimo to odrębnych — te suknie Fortuny'ego, ściśle staroświeckie, ale na wskroś oryginalne, ukazywały niby dekorację — nawet z większą siłą wizji niż dekoracja, bo dekorację trzeba by wymyślić — Wenecję zawaloną Wschodem, gdzie te suknie noszono; Wenecję, której były — bardziej niż relikwia w relikwiarzu Św. Marka wywołująca słońce i otaczające turbany — cząstkowym, tajemniczym i dopełniającym kolorem. Wszystko zginęło z owego czasu, ale wszystko się odradzało, wywołane po to, aby przez fragmentarycznie wskrzeszone materie dogress<sup>227</sup> skojarzyć wspaniałość krajobrazu z kłębieniem się życia.

<sup>220</sup> *Traktat utrechcki* (1713) — traktat pokojowy zawarty w Utrechcie (Holandia), kończący hiszpańską wojnę sukcesyjną (1701–1714), na mocy którego Filip V (wnuk Ludwika XIV) zachował tron Hiszpanii wraz z koloniami, zrzekając się jednocześnie praw do tronu Francji, zaś Ludwik XIV zrzekł się praw dynastycznych do Hiszpanii, co miało zapewnić zachowanie równowagi sił w Europie. [przypis edytorski]

<sup>221</sup> *Roettiers, Joseph* (1635–1703) — francuski medalier, złotnik i graver; grawer generalny, jeden z artystów wykonujących serię medali dla króla Ludwika XIV. [przypis edytorski]

<sup>222</sup> *Carpaccio, Vittore* (1465–1526) — malarz włoski, przedstawiciel szkoły weneckiej. [przypis edytorski]

<sup>223</sup> *Tycjan*, właśc. *Tiziano Vecelli* (ok. 1488–1576) — włoski malarz renesansowy, czołowy przedstawiciel szkoły weneckiej. [przypis edytorski]

<sup>224</sup> *Sert, José María* (1874–1945) — hiszpański malarz pochodzący z Katalonii, szczególnie znany z malowideł ściennych na budynkach publicznych; projektant kostiumów dla Baletów Rosyjskich Diagilewa. [przypis edytorski]

<sup>225</sup> *Bakst, Léon* (1866–1924) — rosyjski malarz, projektant scenografii i kostiumów teatralnych pochodzenia białoruskiego, członek Baletów Rosyjskich Diagilewa. [przypis edytorski]

<sup>226</sup> *Benoist, Benoît* (1870–1960) — rosyjski malarz, ilustrator i scenograf, tworzący w stylu secesji; projektował awangardowe scenografie do przedstawień Baletów Rosyjskich Diagilewa. [przypis edytorski]

<sup>227</sup> *dogressa* (wł.) — małżonka doży, najwyższego urzędnika Republiki Weneckiej. [przypis edytorski]

Raz czy dwa chciałem w tym przedmiocie poradzić się pani de Guermantes. Ale księżna nie lubiła toalet będących kostiumem. Jej samej, mimo że miała takie suknie, w niczym nie było tak do twarzy jak w czarnym aksamicie, z brylantami. W zakresie sukien Fortuny'ego nie była najlepszą doradczynią. Zresztą bałem się, że gdybym ją poprosił o radę, wydawałoby się, że chodzę do niej jedynie wtedy, kiedy jej przypadkiem potrzebuję, podczas gdy od dawna uchylałem się kilka razy na tydzień od jej zaproszeń.

Nie tylko zresztą od księżnej otrzymywałem je w takiej obfitości. Z pewnością ona i liczne panie były zawsze dla mnie bardzo uprzejme. Ale moje odcięcie się zdziesięciokrotniło z pewnością tę uprzejmość. Zdaje się, że w życiu światowym, błahym odbiciu spraw miłości, aby być pożądanym, najlepszym sposobem jest umykać się. Jakiś mężczyzna oblicza wszystkie korzystne szczegóły, jakimi może olśnić kobietę, przebiera się bez końca, wdzięczy się i nie uzyska od niej nic z owych względów, jakie ma dlań inna, zdradzana przez niego, którą przykuł do siebie na zawsze, mimo że się jej pokazuje nieumyty i bez żadnej kokieterii. Tak samo, gdyby ktoś ubolewał, że nie jest dość poszukiwany w towarzystwie, poradziłbym mu nie zwiększenie liczby wizyt ani piękniejszy ekwipaż, ale poradziłbym mu, żeby ignorował wszelkie zaproszenia, żył zamknięty w swoim pokoju, nie wpuszczał nikogo — wówczas miałby ogonek pod swymi drzwiami. Lub raczej nie powiedziałbym mu tego: bo ten niezawodny sposób udaje się jedynie jak sposób zyskania miłości; to znaczy jeżeli go ktoś nie obrał umyślnie; jeżeli na przykład zamknie się w domu dlatego, że jest poważnie chory lub myśli, że jest chory, lub trzyma w domu uwięzioną kochankę milszą mu od świata (albo wszystkie trzy rzeczy naraz). I to wystarczy dla świata — mimo iż świat nie wie o istnieniu tej kobiety, po prostu dlatego, że się bronisz przed nim — aby cię wolał od wszystkich, co mu się narzucają, i aby się zapalił do ciebie.

— Trzeba nam się będzie zająć twoimi sukniemi od Fortuny'ego — rzekłem pewnego wieczora do Albertyny. I z pewnością dla niej, która długo pragnęła tych sukien i długo wybierała je ze mną, która zachowała dla nich zawczasu miejsce nie tylko w szafie, ale w wyobraźni, posiadać te suknie, których każdy szczegół długo badała, aby się zdecydować między tyloma innymi, byłoby czymś więcej niż dla kobiety zbyt bogatej, która ma więcej sukien, niż pragnie, i nie patrzy nawet na nie. Jednak mimo uśmiechu, jakim Albertyna podziękowała, mówiąc: „Kochany jesteś”, zauważyłem u niej wymowny wyraz zmęczenia, nawet smutku.

W oczekiwaniu aż te suknie będą gotowe, poprosiłem o pożyczenie mi paru (czasem nawet tylko materii) i ubierałem w nie Albertynę, drapowałem je na niej; przechadzała się po pokoju z majestatem dogressy i z wdziękiem manekina. Ale niewola w Paryżu stała mi się cięższa od widoku tych sukien wskrzeszających mi Wenecję. Zapewne Albertyna była o wiele bardziej więźniem ode mnie. I ciekawe było, w jaki sposób poprzez mury więzienia los, który przeobraża ludzi, mógł ją przeniknąć i zmienić w samej jej istocie, z młodej dziewczyny z Balbec robiąc nudną i posłuszną brankę. Tak, mury więzienia nie przeszkodziły przedostać się temu wpływowi; może nawet one go stworzyły. To nie była już ta sama Albertyna, bo nie była już, jak w Balbec, bez ustanku pomykająca na rowerze, nieuchwytna z powodu mnóstwa małych plaż, gdzie nocowała u przyjaciółek i gdzie zresztą kłamstwa jej czyniły ją trudniejszą do osiągnięcia; dlatego, bo zamknięta u mnie, posłuszna i samotna, nie była już nawet tym, czym w Balbec, o ile zdołałem jej dopaść, była na plaży: istotą wymykającą się, ostrożną i krętą, której obecność wydłużała się w tyle zgrabnie pokrywanych „randek”, potęgujących miłość moją cierpieniem, które mi to zadawało; istotą, w której pod jej chłodem dla innych i pod banalnymi odpowiedziami czuło się wczorajszą i jutrzejszą schadzkę, dla mnie zaś myśl wzdychającą i chytrą; nie była dziś tą samą, bo wiatr od morza nie wzdymał już jej sukien, bo podciąłem jej skrzydła, bo przestała być boginią zwycięstwa<sup>228</sup>. Dziś była ociężałą niewolnicą, której rad byłbym się pozbyć.

Wówczas, aby zmienić bieg myśli, sprzykrzywszy sobie karty lub warcaby z Albertyną, prosiłem, żeby mi coś zagrała. Leżałem w łóżku, a ona siadała w drugim końcu pokoju przy pianoli, między skrzydłami biblioteki. Wybierała utwory całkiem nowe lub

<sup>228</sup> podciąłem jej skrzydła, bo przestała być boginią zwycięstwa — nawiązanie do wizerunku uskrzydłonej greckiej bogini zwycięstwa, który ukazuje hellenistyczna rzeźba *Nike z Samotraki*, od 1884 eksponowana w paryskim Luwrze. [przypis edytorski]

te, które mi przegrała dopiero raz czy dwa, bo znając mnie już trochę, wiedziała, że lubię chłonąć jedynie to, co mi było jeszcze ciemne, szczęśliwy, że mogę w ciągu tych kolejnych produkcji kojarzyć z sobą — dzięki rosnącemu, ale niestety zniekształcającemu i obcemu światłu mojej inteligencji — fragmentaryczne i przerywane linie konstrukcji zrazu niemal zatopionej we mgle. Wiedziała i jak sądzę, rozumiała radość, jaką dawał wówczas memu duchowi trud modelowania bezkształtnej jeszcze mgławicy. Zgadywała, że za trzecim lub czwartym wykonaniem inteligencja moja, objawszy wszystkie partie, tym samym pomieściwszy je w jednej odległości, nie potrzebując już ustosunkowywać się do nich czynnie, rozpostarła je i ustaliła na jednej płaszczyźnie. Ale Albertyna nie przechodziła do innego utworu, bo nie zdając sobie może dobrze sprawy z procesu, który we mnie zachodził, wiedziała, iż w chwili gdy praca mojego intelektu zdołała rozproszyć tajemnicę dzieła, rzadko zdarzało się, aby przez kompensatę, w ciągu swego niewdzięcznego trudu, nie uszczknął on jakiejś wartościowej refleksji. I w dniu gdy Albertyna mówiła: „Damy ten rulon Franciszce, żeby go wymieniła na inny”, często znaczyło to dla mnie jeden utwór muzyczny na świecie mniej, ale jedną prawdę więcej.

Podczas gdy Albertyna grała, z bujnych jej włosów mogłem widzieć jedynie czarny kok w kształcie serca tuż koło ucha, niby u infantki Velasqueza<sup>229</sup>. Tak samo jak na bryłowatość tego Anioła muzyki składały się mnogie łączniki między różnymi punktami przeszłości, które wspomnienie jej zajmowało we mnie, i jego rozmaite siedziby, od wzroku aż do najbardziej wewnętrznych wrażeń mojej istoty, pomagających mi wnikać w nią samą, tak utwór, który wykonywała, miał też bryłowatość stworzoną przez nierówną widzialność rozmaitych fraz, zależnie od stopnia, w jakim mi się udało je rozjaśnić i połączyć między sobą linie konstrukcji, która mi się zrazu wydała całkowicie niemal utopiona we mgle.

Zdałem sobie dobrze sprawę, że absurdem jest być zazdrosnym o pannę Vinteuil i o jej przyjaciółkę wobec tego, że Albertyna od czasu swego wyznania wcale nie starała się ich widzieć i z wszystkich naszych projektów wilegiatury<sup>230</sup> dobrowolnie wyłączyła Combray, tak bliskie Montjouvain. Toteż często prosiłem Albertynę, żeby mi grała utwory Vinteuila, i nie czułem przy tym bólu. Jeden jedyny raz muzyka Vinteuila stała się dla mnie pośrednio powodem zazdrości. W istocie Albertyna, wiedząc, że słyszał utwór Vinteuila w wykonaniu Morela u pani Verdurin, wyraziła pewnego wieczora chęć usłyszenia i poznania Morela. Było to rychło po tym, jak się dowiedziałem o istnieniu listu Lei, mimo woli przejętego przez pana de Charlus. Zastanawiałem się, czy Lea nie opowiadała Albertynie o Morelu. Słowa „świnko, perwersiaczko” przypominały mi się ze zgrozą. Ale właśnie dlatego, że w ten sposób utwór Vinteuila kojarzył się boleśnie już nie z panną Vinteuil i jej przyjaciółką, ale z Leą, odkąd spowodowany przez Leę ból się usmierzyl, mogłem słuchać spokojnie tej muzyki; jedna choroba wyleczyła mnie z możliwości innych. I pewne frazy Vinteuila, frazy niespostrzeżone u pani Verdurin, wówczas będące niby ciemne i niewyraźne poczwarki, stawały się olśniewającą architekturą; niektóre z nich stawały mi się bliskie, i to takie, które ledwie rozróżniłem zrazu, które w najlepszym razie wydały mi się brzydkie. Nie przyszłoby mi na myśl, że są jak owi ludzie antypatyczni z pierwszego wejrzenia, a których dopiero z czasem poznaje się naprawdę takimi, jak są. Między tymi stanami zachodziło istotne przeobrażenie. Z drugiej strony, frazy, które za pierwszym razem u pani Verdurin rozróżniłem, ale ich nie rozpoznałem, utożsamiały mi się teraz z frazami z innych dzieł, na przykład z *Wariacji* na organy. Fraza ta u pani Verdurin przeszła niepostrzeżona przede mną w septyecie, gdzie jednak, niby święta, która zstąpiła ze stopni sanktuarium, znalazła się wmieszana między domowe wróżki muzyka. Z drugiej strony, inna fraza, która mi się niegdyś wydała zbyt mało melodyjna, zbyt mechaniczna w rozkołysanym rytmie radości południowych dzwonów, stała mi się teraz najmiłszą, czy że się przyzwyczaiłem do jej brzydoty, czy że odkryłem jej piękno. Tę reakcję po zawodzie, jaki zrazu sprawiają arcydzieła, można przypisać osłabnięciu pierwotnego wrażenia lub wysiłkowi potrzebnemu do wydobywania prawdy. Dwie hipotezy, wciąż się nastroczające dla wszystkich ważnych zagadnień: rzeczywistości Sztuki, Wieczności duszy; trzeba wybrać między nimi; w muzyce Vinteuila wybór

<sup>229</sup> Velásquez, *Diego* (1599–1660) — hiszpański malarz barokowy, związany z dworem Filipa IV; znany portrecista; jego obraz *Panny dworskie* z 1656 przedstawia pięcioletnią wówczas infantkę (córkę królewską) Małgorzatę Teresę w otoczeniu dworzan. [przypis edytorski]

<sup>230</sup> wilegiatura (daw.) — dłuższy wypoczynek na wsi. [przypis edytorski]

ten nastroczal się co chwila w wielu postaciach. Ta muzyka zdawała mi się na przykład czymś prawdziwszym niż wszystkie znane mi książki. Chwilami myślałem, że to pochodzi stąd, iż skoro to, co odczuwamy jako życie, nie objawia się nam w postaci idei, wykład literacki, to znaczy intelektualny, tych odczuć, zdając z nich sprawę, tłumaczy je, analizuje, ale nie oddaje ich jak muzyka, w której dźwięki przybierają akcent jakiejś istoty, odtwarzają niejako owo wewnętrzne i szczytowe ostrze wrażeń, cząstkę dającą nam swoiste i odnajdywane chwilami upojenie. Ale powiadając na przykład: „Co za pogoda! Co za piękne słońce!”, nie udzielamy zgoła naszych odczuć komuś drugiemu, w którym to samo słońce i ta sama pogoda rodzą odmienne wibracje. W muzyce Vinteuila były właśnie owe wizje, niepodobne do wyrażenia i prawie niemożliwe do stwierdzenia; kiedy w momencie zasypiania muskają nas pieczętą swego nierealnego czaru, w chwili kiedy świadomość nas już opuściła, oczy zamykają się i zanim mieliśmy czas poznać nie tylko Niewymowne, ale Niewidzialne, zasypiamy. Zdawało mi się nawet (kiedy się poddawałem hipotezie, wedle której sztuka byłaby czymś realnym), że muzyka może wyrazić nawet więcej niż czysto nerwową radość z powodu pogody lub nocy spędzonej w palarni opium; upojenie realniejsze, płodniejsze, przynajmniej wedle moich przeczuć. Niepodobna, aby jakaś rzeźba, muzyka rodząca wzruszenie, które odczuwamy jako coś wyższego, czystsze, prawdziwszego, nie odpowiadała jakiejś duchowej rzeczywistości. Musi ją symbolizować, skoro daje owo wrażenie głębi i prawdy. Fraza Vinteuila najbliższa była owej swoistej rozkoszy, jaką odczułem niekiedy, na przykład wobec wież w Martinville, wobec kilku drzew przy drodze w Balbec lub w prostszej formie na początku tego dzieła, pijąc pewnego dnia herbatę.

Nie przeciągając tego porównania, czułem, że jasne dźwięki, hałaśliwe kolory, które nam Vinteuil przesyłał ze świata, w którym tworzył, przesunęły przed moją wyobraźnią — uporczywie, ale zbyt szybko, aby to mogła pochwycić — coś, co mógłbym porównać z nasyconym wonią jedwabiem geranii. We wspomnieniu mglistość tę można jeżeli nie zgłębić, to bodaj określić dzięki schwyceniu okoliczności tłumaczących, czemu pewien smak mógł nam przypomnieć wrażenia świetlne. Ale ponieważ mgliste poczucia obudzone przez Vinteuila pochodziły nie ze wspomnienia, lecz z wrażenia (jak wrażenie wież w Martinville), trzeba by znaleźć dla zapachu geranii w jego muzyce nie wytłumaczenie fizyczne, ale głęboki równoważnik; trzeba by odkryć nieznaną i barwną biesiadę (której dzieła Vinteuila zdawały się oderwanymi fragmentami, odpryskami o szkarłatnym łomie), sposób, w jaki on „słyszał” i rzutował z siebie wszechświat. Owa nieznaną jakość jedyne światła, którego żaden inny muzyk nigdy nam nie pokazał, może to jest — mówiłem do Albertyny — najautentyczniejszy dowód geniuszu, o wiele bardziej niż zawartość samego dzieła.

— Nawet w literaturze? — pytała Albertyna.

— Nawet w literaturze.

I wracając myślą do monotonii dzieł Vinteuila, tłumaczyłem Albertynie, że wielcy pisarze zawsze stworzyli tylko jedno dzieło lub raczej zawsze odbijali poprzez różne środowiska tę samą piękność, którą przynoszą na świat.

— Gdyby nie było tak późno, małeńka — mówiłem — wykazałbym ci tę samą identyczność u wszystkich pisarzy, których czytasz, podczas gdy ja śpię. Owym typowym frazom, które zaczynasz poznawać równie dobrze jak ja, Albertynko, tym samym w sonacie, septycie, w innych dziełach, odpowiadałyby może na przykład, u Barbeya d'Aureville<sup>231</sup> ukryta rzeczywistość zdradzona jakimś materialnym śladem, fizjologiczny rumieniec Urzeczonej, panny Aimee de Spens, Clotte, ręka ze *Szkarłatnej zasłony*, stare zwyczaje i obyczaje, stare porzekadła, stare i osobliwe rzemiosła, za którymi kryje się Przeszłość, ustna historia tworzona przez miejscowych pasterzy, szlachetne normandzkie miasta pachnące Anglią, a ładne jak szkockie sioło, źródło złych uroków, na które nie ma sposobu, Vellini, pasterz, to samo uczucie lęku w jakimś szczególe, czy to będzie żona szukająca męża w *Starej kochance* lub w *Urzeczonej* mąż przebiegający step i sama Urzeczona

<sup>231</sup> *Barbey d'Aureville, Jules* (1808–1889) — francuski pisarz, poeta, publicysta, wpływowi krytyk literacki; prekursor dekadentyzmu; autor utworów o mrocznej tematyce, nawiązującej do fantastyki i literatury grozy, m.in. powieści: *Dawna kochanka* (1851, wyd. pol. 1928), której bohaterką jest tajemnicza Vellini, *L'Ensorcelée* (1852, wyd. pol. 1997 pt. *Oczarowana*), w której występuje Clotilde Mauduit, zwana Clotte, *Le chevalier Destouches* (1864), której bohaterką jest Aimee de Spens, oraz zbioru opowiadań *Les Diaboliques* (1874), w skład którego wchodzi *Le Rideau cramoisi* (Szkarłatna zasłona). [przypis edytorski]

wychodzącą z kościoła. A owa geometria kamieniarza obrabiającego ciosy w powieściach Tomasza Hardy<sup>232</sup>, to są również swoiste frazy Vinteuila.

Frazy Vinteuila przywiodły mi na myśl frazę z *Sonaty*; wspomniałem Albertynie, że to był niby narodowy hymn miłości Swanna i Odety, „rodziców Gilberty, którą znasz”.

— Mówiłaś raz, że Gilberta nie ma „podejrzanych manier”. Ale czyż nie próbowała nawiązać stosunków z tobą? Wspominała mi o tobie.

— Owszem, rodzice posyłali po nią powóz na lekcje, kiedy była słota, więc zdaje mi się, że mnie odwiozła raz do domu i pocałowała mnie — rzekła Albertyna po chwili, śmiejąc się, tak jakby to było coś zabawnego. — Spytała nagle, czy lubię kobiety. — Ale jeżeli Albertynie tylko się zdawało, iż sobie przypomina, że ją Gilberta odwiozła, jak mogła zacytować z taką ścisłością dziwne pytanie Gilberty? — Nawet nie wiem — ciągnęła Albertyna — co mnie napadło, żeby ją zmystyfikować; odpowiedziałam, że tak. — Można by rzec, że Albertyna bała się, czy mi Gilberta tego nie opowiedziała, i nie chciała, żebym mógł stwierdzić kłamstwo. — Ale nie robiłyśmy nic a nic. — To dziwne, żeby nic nie robiły, wymieniwszy te zwierzenia, zwłaszcza że już przedtem całowały się w powozie, jak wspomniała Albertyna. — Odwiozła mnie w ten sposób cztery czy pięć razy, może trochę więcej, to wszystko.

Bardzo mi trudno przyszło nie zadać żadnego pytania, ale opanowując się, aby udać, że nie przywiązuję do tego żadnej wagi, wróciłem do Tomasza Hardy.

— Przypominasz sobie kamieniarzy w *Judzie nieznanym*, w *Ukochanej* bloki kamieni, które ojciec dobywa z wyspy, zwożone statkami, gromadzące się w pracowni syna, gdzie zmieniają się w posagi; w *Błękitnych oczach* paralelizm grobów, a także równoległą linię statku i przylegające wagony, gdzie znajduje się dwoje kochanków i zmarła; paralelizm między *Ukochaną*, gdzie mężczyzna kocha trzy kobiety, a *Błękitnymi oczami*, gdzie kobieta kocha trzech mężczyzn itd.; słowem, wszystkie te powieści dające się ułożyć na sobie niby prostopadle domy wznoszące się na skalistej wyspie. Nie mogę ci tak w ciągu minuty pokazać tego u największych, ale ujrzysz w Stendhalu<sup>233</sup> pewne poczucie wysokości wiążące się z życiem duchowym: wyniosłe miejsce, gdzie Julian Sorel jest więźniem; wieża, na której szczycie zamknięto Fabrycego, dzwonnica, gdzie ksiądz Blanés zajmuje się astrologią i skąd Fabrycy widzi tak daleko. Mówiłaś, żeś widziała parę obrazów Vermeera; zdajesz sobie sprawę, że to są fragmenty jednego świata, że to jest zawsze — przy całym talencie malarza — ten sam stół, ten sam dywan, ta sama kobieta, ta sama nowa i jedyna piękność, zagadka w owej epoce, w której nic nie jest do niej podobne ani jej nie tłumaczy, jeżeli nie będziemy szukali powinowactw w tematach, ale zechcemy wydobyć swoiste wrażenie koloru. I ot, to nowe piękno pozostaje identyczne we wszystkich dziełach Dostojewskiego: kobieta Dostojewskiego (równie odrębna jak kobieta Rembrandta<sup>234</sup>) ze swoją tajemniczą twarzą, której ujmujący czar zmienia się nagle tak jakby wprzód grała komedię dobroci, w straszliwe zuchwałstwo (mimo iż w gruncie zdaje się, że jest raczej dobra), czyż to nie jest zawsze ta sama osoba, czy nią będzie Nastasia Filipowna, pisząca listy miłosne do Agłae i wyznająca, że jej nienawidzi, lub w wizycie zupełnie identycznej — identycznej z tą również, w czasie której Nastazja Filipowna znieważa rodziców Wani — Gruszeńka, tak miła u Katarzyny Iwanowny (która spodziewała się, że ona jest straszna), potem nagle odsłaniająca swoją złość, znieważając Katarzynę Iwanownę (mimo że Gruszeńka w gruncie jest dobra); Gruszeńka, Nastasia, postacie równie oryginalne, równie tajemnicze nie tylko jak kurtyzany Carpaccia, ale jak Betszeba Rembrandta. Jak Vermeer tworzy pewną duszę, pewien kolor materii i miejsc, tak Dostojewski tworzy nie

<sup>232</sup>Hardy, Thomas (1840–1928) — angielski powieściopisarz, przedstawiciel naturalizmu; autor m.in. powieści *A Pair of Blue Eyes* (1873; wyd. pol. *Szafirowe oczy*, 1929), *Juda nieznanym* (1895; wyd. pol. 1963), *The Well-Beloved* (Ukochana, 1892). [przypis edytorski]

<sup>233</sup>Stendhal, właśc. *Marie-Henri Beyle* (1783–1842) — francuski pisarz epoki romantyzmu, prekursor realizmu w literaturze; twórca doskonałych portretów psychologicznych bohaterów i analiz ich namiętności na tle społeczno-obyczajowym; jego najsłynniejsze powieści to *Czerwone i czarne* (1830), której bohaterem jest ubogi chłopiec Julian Sorel, w 1864 umieszczona na indeksie ksiąg zakazanych, oraz *Pustynia parmeńska* (1839), opowiadająca dzieje Fabrycego del Dongo. [przypis edytorski]

<sup>234</sup>Rembrandt, właśc. *Rembrandt Harmenszoon van Rijn* (1606–1669) — holenderski malarz i grafik okresu baroku, mistrz światłocienia; autor m.in. obrazu *Batszeba w kąpielu* (1654), ukazującego nagą kobietę w kąpielu, postać z biblijnej opowieści o uwiedzeniu zamężnej Batszeby przez króla Dawida (2 Sam 11, 2–17). [przypis edytorski]

tylko ludzi, ale mieszkania. Tragiczny dom w *Zbrodni i karze* z jego dwornikiem, czyż nie jest prawie równie cudowny jak arcydzieło tragicznego domu u Dostojewskiego, ten ciemny i tak długi, i tak wysoki i, taki obszerny dom Rogożyna, gdzie Rogożyn zabija Nastazję Filipownę? To nowe i straszliwe piękno domu, to nowe i złożone piękno twarzy kobiecej, oto co Dostojewski przyniósł jedyne światu, a zestawienia, jakie niektórzy czynią między nim a Gogolem<sup>235</sup> lub Paul de Kockiem<sup>236</sup> są całkiem czcze, jako obce tej tajemnej piękności. Mówiłem, że w różnych powieściach powtarza się ta sama scena; ale także w jednej powieści powtarzają się te same sceny, te same figury, jeżeli powieść jest bardzo długa. Mógłbym ci łatwo dowiedzieć, że w *Wojnie i pokoju*<sup>237</sup> jest pewna scena w powozie...

— Nie chciałam ci przerywać, ale skoro widzę, że porzucasz Dostojewskiego, boję się, że bym zapomniała. Kochanie, coś ty chciał powiedzieć kiedyś, mówiąc: „To jest tak, jak ów posmak Dostojewskiego u pani de Sévigné”. Przyznam się, że nie rozumiała. Te rzeczy wydają mi się tak różne.

— Chodź, dziewczuszko, niech cię uściskam, aby ci podziękować, że tak dobrze pamiętasz to, co mówię; potem wrócisz do pianoli. I przyznaję, że to, com wtedy mówił, było dość głupie. Ale powiedziałem to z dwóch przyczyn. Pierwsza — szczególna. Faktem jest, że pani de Sévigné, jak Elstir, jak Dostojewski, zamiast pokazywać rzeczy w porządku logicznym, czyli zaczynając od ich przyczyny, pokazuje najpierw skutek, złudę, która nas uderza. W ten właśnie sposób Dostojewski pokazuje osoby. Ich postęпки wydają nam się równie zwodne jak owe efekty Elstira, gdzie morze robi wrażenie nieba. Ze zdumieniem dowiadujemy się, że jakiś skryty mruk jest w gruncie przeznaczonym człowiekiem lub odwrotnie.

— Tak, ale daj mi przykład z pani de Sévigné.

— Wyznaję — odparłem, śmiejąc się — że to jest bardzo naciągane; ale ostatecznie mógłbym znaleźć przykłady.

— Ale czy Dostojewski zamordował kiedyś kogoś? Wszystkie jego powieści, które znam, mogłyby mieć tytuł *Historia pewnej zbrodni*. To u niego istna obsesja; to nie jest naturalne, że on wciąż o tym mówi.

— Nie sądzę, Albertynko; nie znam na tyle jego życia. Pewne jest, że jak wszyscy, i on poznał grzech, w tej czy w innej formie, a prawdopodobnie w formie wzbronionej przez prawo. W tym sensie musiał być trochę zbrodniarzem, jak jego bohaterowie, którzy nie są zresztą całkowicie zbrodniarzami, mają prawo do okoliczności łagodzących. A nawet nie było może konieczne, aby on był zbrodniarzem. Nie jestem powieściopisarzem; możliwe jest, iż twórców pociągają pewne formy życia, których nie doświadczyli osobiście. Jeśli z tobą pojedę do Wersalu, jakeśmy się umówili, pokażę ci portret najzaciejszego człowieka, najlepszego męża, Choderlos de Laclos<sup>238</sup>, który napisał najokropniejszą, najprzewrotniejszą książkę<sup>239</sup>; a na wprost niego portret pani de Genlis<sup>240</sup>, która pisała opowiadki moralne, a nie tylko zdradzała księżnę Orleańską, ale zdręczyła ją, odciągając od niej dzieci. Uznaję jednak, że u Dostojewskiego ta obsesja morderstwa ma coś szcze-

<sup>235</sup> Gogol, *Nikolaj* (1809–1952) – rosyjski pisarz, publicysta; sięgał po groteskę i fantastykę; jego satyryczna twórczość miała wpływ na rozwój realizmu krytycznego; jego najwybitniejsze dzieła to komedia *Rewizor* (1836) i powieść *Martwe dusze* (1842). [przypis edytorski]

<sup>236</sup> Kock, *Paul de* (1794–1871) — francuski pisarz, autor wielu rubasznych, swobodnych obyczajowo powieści o życiu paryskim. [przypis edytorski]

<sup>237</sup> *Wojna i pokój* — powieść historyczna rosyjskiego pisarza Lwa Tolstoja, pisana w latach 1863–1869, często uznawana za rosyjską epopeję narodową. [przypis edytorski]

<sup>238</sup> Laclos, *Pierre Choderlos de* (1741–1803) — francuski polityk i wojskowy, autor powieści w listach *Niebezpieczne związki*, której od początku towarzyszyła aura skandalu obyczajowego i opinia książki niemoralnej, gdyż ukazywała parę narcystycznych byłych kochanków, markizę de Merteuil i wicehrabiego de Valmont, którzy używają uwodzenia do kontrolowania i wykorzystywania innych, ciesząc się swoimi okrutnymi gramami i przechwalając się talentem manipulacji. [przypis edytorski]

<sup>239</sup> Choderlos de Laclos, *który napisał najokropniejszą, najprzewrotniejszą książkę* — *Niebezpieczne związki*. [przypis tłumacza]

<sup>240</sup> pani de Genlis, właśc. *Stéphanie Félicité, du Crest de Saint-Aubin, hrabina de Genlis* (1746–1830) — wieloletnia guwernantka dzieci księcia Ludwika Filipa Orleańskiego, autorka pism traktujących o edukacji dzieci i młodzieży, a także krótkich komedii pisanych z myślą o młodym odbiorcy, pamiętników oraz powieści sentymentalnych. [przypis edytorski]

gólnego i czyni mi go kimś bardzo obcym. Już to mnie zdumiewa, kiedy słyszę w ustach Baudelaire'a<sup>241</sup>:

*Si le viol, le poison, le poignard, l'incendie  
N'ont pas encor brodé de leurs plaisants dessins  
Le canevas banal de nos piteux destins,  
C'est que notre âme, hélas! n'est pas assez hardie.* <sup>242</sup>

Ale mogę bodaj przypuszczać, że Baudelaire nie jest szczery. Podczas gdy Dostojewski... Wszystko to wydaje mi się niesłychanie odległe ode mnie, chyba że posiadam w sobie strefy, których nie znam, człowiek bowiem realizuje się jedynie stopniowo. U Dostojewskiego znajduję studnie straszliwie głębokie, ale poniekąd odosobnione od duszy ludzkiej. Ale to jest wielki twórca. Zresztą świat, który on maluje, robi naprawdę wrażenie, że jest stworzony przez niego. Wszystkie te powtarzające się wciąż błazny, wszystkie te Lebedewy, Karamazowy, Iwołginy, Segriewy, cała ta nieprawdopodobna zgraja to ludzkość fantastyczniejsza od tej, która zaludnia *Straż nocną*<sup>243</sup> Rembrandta. I może jest ona fantastyczna w ten sam sposób, przez oświetlenie i kostium, a w gruncie jest zwyczajna. W każdym razie jest zarazem pełna głębokich i jedynek prawd, właściwych tylko Dostojewskiemu. Te błazny niemal robią wrażenie typu, który już nie istnieje, jak pewne typy dawnej komedii, a jednak jak one odsłaniają prawdziwe strony duszy! Drażni mnie uroczyستی sposób, w jaki się mówi i pisze o Dostojewskim. Czy zauważyłaś rolę, jaką miłość własna, duma grają u jego figur? Można by rzec, że dla niego miłość i najzacieklejsza nienawiść, dobroć i zdrada, nieśmiałość i bezczelność, to jedynie dwa stany jednej i tej samej natury, ile że miłość własna, duma nie pozwala Aglae, Nastazji, kapitanowi, którego Mitia ciągnie za brodę, Krasotkinowi, wrogowi, a zarazem przyjacielowi Alioszy, pokazać się takimi, jakimi są w istocie. Ale są tam jeszcze inne skarby. Bardzo mało znam jego książek. Ale czyż to nie jest iście rzeźbiarski i prosty motyw, godny najstarożytniejszej sztuki, nieprzerwany i powtarzający się fryz przedstawiający zemstę i ekspiację — ta zbrodnia starego Karamazowa wpędzającego w ciężą biedną wariatkę, tajemniczy, zwierzęcy, niewytłumaczony odruch, pod wpływem którego matka, stając się bezwiednym narzędziem losu, posłuszna również bezwiednie instynktowi macierzyńskiemu, może mieszaninie urazy i fizycznej wdzięczności wobec gwałciciela, idzie rodzic u starego Karamazowa? Oto pierwszy epizod, tajemniczy, wielki, dostojny jak stworzenie Kobiety w rzeźbach w Orvieto<sup>244</sup>. A jako odpowiednik — drugi epizod, o dwadzieścia lat późniejszy: zamordowanie starego Karamazowa, hańba spadająca na ród Karamazowych przez tego syna wariatki, Smerdiakowa; a rychło potem ten sam akt tajemniczo monumentalny i niewytłumaczony, o równie ciemnym i naturalnym pięknie jak urodzenie w ogrodzie starego Karamazowa — to Smerdiakow, wieszający się po spełnieniu zbrodni. Co się tyczy Dostojewskiego, nie porzuciłem go tak bardzo, jak ci się zdawało, kiedy wspominał o Tolstoju, który go mocno naśladował. U Dostojewskiego jest w stanie posępnego zgęszczenia wiele z tego, co się rozwinie u Tolstoja. Jest u Dostojewskiego ta pierwotna chmurność prymitywów, którą uczniowie rozjaśniają.

— Kochanie, jak to źle, że ty jesteś taki leniwy. Pomyśl, o ileż ty patrzysz na literaturę bardziej interesująco, niż nas jej uczą w szkole; przypominam sobie wypracowania, jakie nam kazano robić o *Esterze*: „Monsieur”, pamiętasz — rzekła, śmiejąc się, nie tylko,

<sup>241</sup>Baudelaire, Charles (1821–1867) — francuski poeta, krytyk sztuki, prekursor symbolizmu i poezji nowoczesnej, dekadent; uznawany za jednego z tzw. „poetów przeklętych”; jego twórczość była kontrowersyjna, samego autora oskarżano o niemoralność ze względu na podejmowaną tematykę w swych utworach: dewiacje, rzekome popieranie satanizmu, prostytucja, życie marginesu społecznego itd. [przypis edytorski]

<sup>242</sup>*Si le viol, le poison, le poignard, l'incendie...* (fr.) — Jeśli gwałt, trucizna, sztylet i pożar nie zahaftowały dotąd swoim uciecznym wzorem banalnej kanwy naszego mizernego istnienia, to dlatego, że dusza nasza nie jest, niestety, dość śmiała [Baudelaire, *Kwiaty zła: Do czytelnika*; red. WL]. [przypis tłumacza]

<sup>243</sup>*Straż nocna* — obraz holenderskiego malarza Rembrandta Harmenszoon van Rijn, namalowany w 1642, przedstawiający kompanię straży obywatelskiej z Amsterdamu. [przypis edytorski]

<sup>244</sup>Orvieto — miasto we Włoszech, w regionie Umbria, w połowie drogi między Florencją a Rzymem; znane m.in. z XIV-wiecznej katedry, której fasada jest jednym z największych arcydzieł późnego średniowiecza: zdobiją ją płaskorzeźby przedstawiające historie biblijne ze Starego i Nowego Testamentu, m.in. ilustrujące opowieść o biblijnym ogrodzie Eden. [przypis edytorski]

aby sobie zażartować z nauczycieli i z siebie, ile dla przyjemności odnalezienia w swojej pamięci, w naszej wspólnej pamięci, dość już dawnego wspomnienia.

Ale podczas gdy Albertyna mówiła do mnie, a ja myślałem o Vinteuilu, z kolei nastroczała mi się inna hipoteza, hipoteza materialistyczna, hipoteza nicości. Zaczynałem wątpić; powiadałem sobie, iż ostatecznie to by było możliwe... jeżeli niektóre frazy Vinteuila zdają się wyrazem pewnych stanów duszy, analogicznych do stanu, w jaki mnie wprowadził smak magdalenki zmaczanej w herbacie, nic nie dowodzi, aby mglistość takich stanów była znamieniem ich głębi; może być wyrazem tylko tego, że jeszcze nie umieliśmy ich zanalizować; tym samym nie byłoby w nich nic realniejszego niż w innych. A jednak owo szczęście, owo poczucie pewności w szczęściu, wówczas gdy piłem tę herbatę, kiedy na Polach Elizejskich<sup>245</sup> wdychałem woń stęchlizny, to nie było złudzenie. W każdym razie — powiadał mi duch wątpienia — nawet jeżeli te stany są w życiu głębsze od innych i jeżeli niepodobna ich zanalizować właśnie dla tej przyczyny, ponieważ mobilizują zbyt wiele sił, z których nie zdaliśmy sobie jeszcze sprawy, czar niektórych fraz Vinteuila każe myśleć o nich, bo jest również niepodobny do zanalizowania, ale to nie dowodzi, aby miał tę samą głębię; piękno czystej frazy muzycznej wydaje się łatwo obrazem lub bodaj spokrewnia się z intelektualnym wrażeniem, jakiegośmy doznali, ale po prostu dlatego, że jest aintelektualne. W takim razie dlaczego wydają się nam osobliwie głębokie owe tajemnicze frazy, nawiedzające niektóre dzieła i ten septet Vinteuila?

Nie tylko zresztą jego utwory grywała mi Albertyna; pianola była chwilami dla nas niby naukową (historyczną i geograficzną) latarnią magiczną; na ścianach tego paryskiego pokoju, zaopatrzonego — w porównaniu z pokojem w Combray — w wynalazki bardziej nowoczesne, wedle tego czy Albertyna grała Rameau<sup>246</sup> czy Borodina<sup>247</sup>, ukazywał się moim oczom to dywan z XVIII wieku, usiany amorkami na tle róż, to wschodni step, gdzie dźwięki giną w bezmiarach przestrzeni i w pilśni śniegu. Te ulotne dekoracje były zresztą jedyną ozdobą mego pokoju; o ile bowiem w chwili gdy wzięty spadek po cici Leonii, przyrzekłem sobie kolekcjonować jak Swann obrazy i posągi, obecnie wszystkie pieniądze szły na konie, auto i toalety dla Albertyny. Ale czyż mój pokój nie zawierał dzieła sztuki cenniejszego od wszystkich tamtych? Była nim sama Albertyna.

Patrzyłem na nią. Dziwne mi było myśleć, że to ona, ona, którą tak długo uważałem za niemożliwą do poznania, która dziś, obłaskawione dzikie zwierzę, krzak róży, któremu dałem podpórę, ramę, szpaler jej życia, siedzi tak co dnia u siebie, blisko mnie, koło pianoli, plecami niemal wsparta o szafę z książkami. Ramiona jej, niegdyś pochylone i chytne, kiedy odnosiła kije golfowe, opierały się o moje książki. Jej piękne nogi, o których pierwszego dnia myślałem trafnie, że przez całą jej młodość poruszały pedały roweru, teraz podnosiły się i opadały kolejno na pedałach pianoli, na których Albertyna — nabrawszy elegancji, która mi ją czyniła bardziej moją, ponieważ zawdzięczała ją mnie — stawiała trzewiczki ze złotej lamy<sup>248</sup>. Palce jej, niegdyś nawykłe do kierownicy, kładły się teraz na klawiszach jak palce świętej Cecylii<sup>249</sup>. Jej szyja, której krąg widziany z łóżka był pełny i tęgi, na tę odległość i pod światłem lampy zdawała się różowsza, mniej różowa jednak niż nachylona profilem twarz, której spojrzenia moje, wychodząc z samych głębin mnie, nabrzmiałe wspomnieniami i żądzą, przydawały tyle blasku, takie nasilenie życia, że jej zarys zdawał się unosić i wirować z taką samą magiczną niemal siłą, co owego dnia w hotelu w Balbec, kiedy mój wzrok mącił się od nadmiernej żądz ucałowania jej; przedłużałem każdą płaszczyznę poza to, com mógł z niej widzieć, i pod tym, co mi ją skrywało, a co mi dawało lepiej jeszcze czuć plany tych płaszczyzn — powieki, na wpół zamykające jej oczy, włosy, skrywające część policzków. Oczy jej błyszczały, jak w rudzie, w której tkwi jeszcze opal, błyszczą jedyne dwie gładkie płytki, bardziej lśniące od metalu,

<sup>245</sup> *Pola Elizejskie* — reprezentacyjna aleja w Paryżu, łącząca plac Zgody z placem De Gaulle'a (dawniej plac Gwiazdy), na którym znajduje się Łuk Triumfalny. [przypis edytorski]

<sup>246</sup> *Rameau, Jean-Philippe* (1683–1768) — francuski kompozytor i teoretyk muzyki okresu baroku, autor oper, baletów i utworów klawesynowych; najwybitniejszy muzyk francuski XVIII w. [przypis edytorski]

<sup>247</sup> *Borodin, Aleksandr Porfirjewicz* (1833–1887) — rosyjski kompozytor romantyczny i chemik; autor symfonii, kwartetów smykowych, poematu symfonicznego *W stepach Azji Środkowej* i opery *Książ Igor*. [przypis edytorski]

<sup>248</sup> *lama* — tkanina jedwabna przetykana złotymi lub srebrnymi nitkami. [przypis edytorski]

<sup>249</sup> *Cecylia* — święta Kościoła katolickiego i prawosławnego, żyjąca w III w. w Rzymie; patronka muzyków. [przypis edytorski]



będące pośród ślepej materii niby skrzydła motyla włożonego za szkło, skrzydła z jedwabiu lila. Jej czarne kędzierzawe włosy, układające się rozmaicie, w miarę jak się odwracała, aby spytać, co ma grać — to jakieś wspaniałe skrzydło z ostrym szpicem, szerokie u podstawy, czarne, pierzaste i trójkątne, to płotące rzeźbę swoich puklów w gruby i nierówny łańcuch, pełen wzgórz, bruzd, przepaści — w swoim bogatym i kapryśnym zwichrzeniu zdawały się przewyższać różnorodność natury i odpowiadać raczej marzeniu rzeźbiarza, który piętrzy trudności, aby uwydatnić gibkość, rozmach, miękkość, życie wykonania. Włosy te tym bardziej podkreślały ożywiony zarys i jakby obrotowy ruch gładkiej i różowej twarzy, lśniącej i matowej jak malowane drzewo. I przez kontrast z tym nadmiarem plastyki, a także przez harmonię łączącą z nią te meble, dostrajającą jej pozę do ich kształtu i celu, pianola na wpół zasłaniająca Albertynę niby organy, szafy biblioteczne i cały ten kąt pokoju, zdawały się już tylko oświetlonym sanktuarium, żłobkiem tego anioła muzyki, dzieła sztuki, które za chwilę mocą słodkiej magii miało się wyrwać z niszy i wydać moim pocałunkom swoją szacowną i różową substancję.

Ale nie, Albertyna nie była wcale dla mnie dziełem sztuki. Wiedziałem, co to jest podziwiać kobietę artystycznie, znałem Swanna. Sam z siebie zresztą — bez względu na to, o jaką kobietę chodziło — byłem do tego niezdolny, nie posiadając w żadnej mierze zmysłu zewnętrznej obserwacji, nie wiedząc nigdy, czym jest to, co widziałem. Z zachwytem patrzyłem, kiedy niegdyś Swan wznosił dla mnie do godności artystycznej kobietę, która mnie się zdawała nijaka, porównując ją, jak lubił dwornie czynić przy niej samej, do jakiegoś portretu Luiniego<sup>250</sup>, odnajdując w jej toalecie suknię lub klejnoty z obrazu Giorgione<sup>251</sup>. Nic podobnego u mnie. Rozkosz i przykreść czerpane z Albertyny nie siliły się dosięgnąć mnie okrężną drogą smaku i inteligencji. A nawet, aby rzec prawdę, kiedym zaczynał patrzeć na Albertynę jak na cudownie patynowanego anioła muzyki, z którego posiadania byłem dumny, niebawem stawała mi się obojętna, rychło nudziłem się przy niej. Ale te chwile trwały krótko; kochamy tylko to, w czym ścigamy coś niedostępnego; kochamy jedynie to, czego nie posiadamy, a ja wnet zaczynałem sobie znów zdawać sprawę, że nie posiadam Albertyny. Widziałem migoczącą w jej oczach to nadzieję, to wspomnienie, może żal, rozkosze, których nie zgadywałem, których w tym wypadku Albertyna wołała się raczej wyrzec niż mi je wyznać. Chwyając jedynie pewne ich błyski w źrenicach Albertyny, spostrzegałem nie więcej niż widz, którego nie wpuszczono do sali i który rozplaszczając twarz o szybkę w drzwiach, nie może dojrzeć nic z tego, co się dzieje na scenie. Nie wiem, czy tak było u Albertyny, ale to jest szczególna rzecz, ta wytrwałość w kłamstwie, jaką mają wszyscy, co nas oszukują — tak jak oznaki wiary w dobro u największych niedowiarków. Próżno byśmy powtarzali, że ich kłamstwo sprawia więcej przykreści niż wyznanie; próżno by sobie zdawali z tego sprawę, i tak skłamałiby znów za chwilę, aby być w zgodzie z tym, czym rzekomo jesteśmy dla nich. Podobnie ateusz, choćby przywiązany do życia, da się zabić, aby nie zniweczyć pojęcia świata o jego odwadze.

W ciągu tych godzin widziałem czasami bujające nad Albertyną — w jej spojrzeniach, w jej mince, w jej uśmiechu — odbicie owych wewnętrznych widowisk, których kontemplacja czyniła ją w owe wieczory jakby odmienną, odległą ode mnie niemającego do nich prawa. „O czym myślisz, kochanie?” — „Ależ o niczym”. Czasami, aby odpowiedzieć na mój wyrzut, że mi nic nie mówi, to mówiła rzeczy, o których wiedziała, że je znam równie dobrze jak wszyscy (niby ci wielcy politycy, którzy by wam nie zwierzyli najdrobniejszej nowiny, ale którzy w zamian podają wam wiadomość figurującą we wczorajszych dziennikach), to znów opowiadała mglisto, w tonie fałszywych zwierzeń, swoje spacerunki na rowerze w Balbec na rok przed naszym poznaniem się. I jak gdybym trafnie odgadł niegdyś, wnosząc, że ona musiała być dziewczyną bardzo swobodną, robiącą bardzo długie wycieczki, wspomnienie tych wycieczek kładło na wargi Albertyny ten sam tajemniczy uśmiech, który mnie urzekł w pierwsze dni na promenadzie w Balbec.

<sup>250</sup> *Luini, Bernardino* (1490–1532) — włoski malarz renesansowy, tworzący pod wpływem twórczości Leonarda da Vinci. [przypis edytorski]

<sup>251</sup> *Giorgione*, właśc. *Zorzi di Castelfranco* (1478–1510) — włoski malarz renesansowy; artysta owiany tajemnicą: niewiele wiadomo o jego życiu i twórczości, zmarł przedwcześnie, podczas zarazy, żaden z jego obrazów nie jest sygnowany ani datowany, autorstwo wielu z nich jest sporne. [przypis edytorski]

Mówiła mi także o spacerach za miasto z przyjaciółkami gdzieś w Holandii, o powrotach wieczorem do Amsterdamu, późną godziną, kiedy zbity i radosny tłum ludzi, przeważnie jej znanych, nappełniał ulice, wybrzeża kanałów, których niezliczone migotliwe ognie odbijały się dla mnie w błyszczących oczach Albertyny, niby w mglistych szwach rączego pojazdu. Nasza rzekoma ciekawość estetyczna zasługiwałaby raczej na nazwę obojętności wobec bolesnej, niestrudzonej dręczącej mnie ciekawości miejsc, w których Albertyna żyła, tego, co mogła robić jakiegos wieczora, jej uśmiechów, spojrzeń, słów, pocałunków. Nie, nigdy moja zazdrość pewnego dnia o Roberta, nawet gdyby trwała, nie dałaby mi tego olbrzymiego niepokoju. Ta miłość między kobietami była czymś zbyt nieznanym, czego rozkoszy i istoty niepodobna było sobie ściśle i pewnie wyobrazić. Ileż ludzi, ileż miejscowości (nawet niezwiązanych z nią wprost, nieokreślonych miejsc rozkoszy, gdzie mogła ich kosztować), ileż środowisk (gdzie jest dużo ludzi, gdzie ludzie ocierają się o siebie) Albertyna wprowadziła do mego serca z progu mojej wyobraźni lub pamięci, gdzie nie troszczyłem się o nie; niby osoba, która wprowadza z sobą do teatru swoją świętę, całe swoje towarzystwo. Obecnie znalazłem to wszystko wewnętrznym, bezpośrednim, spazmatycznym, bolesnym poznaniem. Miłość to przestrzeń i czas odczute sercem.

Miłość, Czas, Przestrzeń,  
Serce

Może wreszcie, gdybym sam był całkiem wierny, nie cierpiałbym na myśl o jej niewiernościach, nie będąc zdolny ich sobie wyobrazić; ale dręczyłem się, wyobrażając sobie u Albertyny własną ciągłą żądzę podobania się nowym kobietom, pragnienia nowych miłostek; odgadywałem w niej to samo spojrzenie, jakim kiedyś, nawet przy niej, mimo woli obrzucałem młode cyklistki, siedzące przy stolikach w Lasku Bulońskim. Jak poznanie, zazdrość istnieje tylko przez nas samych. Obserwacja mało tu znaczy. Jedyne z przyjemności odczutej przez siebie samych możemy czerpać wiedzę i cierpienie.

Chwilami w oczach Albertyny, w nagłym jej rumieńcu odczułem niby gorący błysk przechodzący ukradkiem w regiony niedostępniejsze dla mnie od samego nieba; w regiony, gdzie poruszały się nieznanne mi wspomnienia Albertyny. Wówczas owa piękność, jaką myśląc o kolejnych latach, kiedy znałem Albertynę czy to na plaży w Balbec, czy w Paryżu, znajdowałem w niej od niedawna, nabierała dla mnie czegoś rozdzierającego. Owa jej piękność polegała na tym, że Albertyna rozwijała się na tyłu płaszczyznach i zawierała dla mnie tyle ubiegłych dni. Wówczas czułem, że pod tą różowiejącą twarzą otwiera się otchłań niewyczerpanej przestrzeni wieczorów, w których nie znałem Albertyny. Mogłem niewątpliwie wziąć ją na kolana, trzymać jej głowę w dłoniach; mogłem ją pieścić, wodzić po niej rękami, ale czułem, że dotykam jedynie zamkniętej powłoki istoty, która wnętrzem swoim należy do nieskończoności, tak jakbym ujmował kamień zawierający słoność niepamiętnych oceanów lub promień gwiazdy. Jakże cierpiałem od tej sytuacji, zrodzonej z zapomnienia natury, która rozdziałając ciała, nie pomyślała o tym, aby umożliwić przenikanie dusz. O ile ciało Albertyny było we władzy mojego, myśl jej wymykała się dotknięciu mojej myśli. I zdawałem sobie sprawę, że Albertyna nie jest nawet dla mnie cudowną branką, którą chciałem wzbogacić mieszkanie, kryjąc w nim jej obecność (nawet przed tymi, którzy mnie odwiedzali i którzy nie podejrzewali jej na końcu korytarza, w sąsiednim pokoju) równie doskonale jak ów człowiek, który bez niczyjej wiedzy trzymał zamkniętą w butelce księżniczkę chińską<sup>252</sup>. Sklaniając mnie w naglącej, okrutnej i pozbawionej wyjścia formie do zgłębiania przeszłości, Albertyna była raczej wielką boginią Czasu. A jeżeli trzeba było, abym stracił dla niej lata, majątek, nie mam czego żałować, bylebym sobie mógł powiedzieć (co, niestety, nie jest pewne!), że ona na tym nie straciła. Bez wątplenia, samotność byłaby więcej warta — płodniejsza, mniej bolesna. Ale gdybym prowadził życie kolekcjonera, które mi doradzał Swann (i pan de Charlus wyrzucał mi, że nie znam tych rozkoszy, kiedy barwiąc swoje słowa żartem, impertynencją i dobrym smakiem, powiadał: „Jak u pana brzydko!”), jakież posągi, jakie obrazy, długo ścigane, wreszcie posiadane lub nawet — przyjmując najlepszą ewentualność — oglądane bezinteresownie, byłyby mi — niby mała ranka, która się zablizniła dość szybko, ale którą bezwiedna niezręczność Albertyny, obojętnych osób lub moich własnych myśli otwierała niebawem — pozwoliły wyjść poza siebie tą drogą prywatną, ale wiodącą

<sup>252</sup>Jak ów człowiek, który bez niczyjej wiedzy trzymał zamkniętą w butelce księżniczkę chińską — nawiązanie do opowiadki o człowieku, który wierzył, że w butelce trzyma zamkniętą chińską księżniczkę, póki przypadkiem butelka się nie stukła. [przypis edytorski]

na gościniec, kędy przechodzi to, co znamy dopiero od dnia, w którym cierpieliśmy przez nie — życie drugich?

Czasem księżyc świecił tak pięknie, że w godzinę po rozstaniu się z Albertyną szedłem namówić ją, żeby popatrzyła w okno. Jestem pewien, że po to szedł do jej pokoju, a nie aby się upewnić, że tam jest. Cóż za pomysł, żeby ona mogła i chciała uciec! Trzeba by nieprawdopodobnej zмовy z Franciszką. W ciemnym pokoju widziałem na białej poduszce tylko wąski diadem czarnych włosów. Ale słyszałem oddech Albertyny. Spała tak głęboko, że wzdragałem się czasem podejść do łóżka. Potem siadałem na krawędzi. Sen płynął dalej z tym samym szmerem. Ale niepodobna opisać, jaka była wesoła po przebudzeniu. Ścisnąłem ją, potrząsałem nią. Natychmiast przestawała spać, ale tuż potem wybuchala śmiechem, oplatając mi ramiona dokoła szyi i mówiąc: „Właśnie myślałam, czy przyjdiesz” — i śmiała się czule w najlepsze. Można by rzec, że w czasie gdy spała, uroczą jej główka była pełna samej wesołości, samej czułości i śmiechu. I budząc ją tak, wyciskałem jedynie, niby z otwartego owocu, sok, który tryska i gasi pragnienie.

Tymczasem kończyła się zima; wróciły piękne dni; często kiedy Albertyna ledwie dopiero co powiedziała mi dobranoc, a pokój, firanki, ściana nad firankami były jeszcze czarne, w ogrodzie sąsiedniego klasztoru słyszałem bogaty i cenny w tej ciszy, niby organy kościelne, tryl nieznanego ptaka, który w lidyjskiej<sup>253</sup> tonacji śpiewał już jutrznię i wnosił w moje mroki sutą i lśniącą nutę słońca, które ów ptak oglądał. Raz nawet usłyszeliśmy nagle regularną kadencję żalosego wołania. To gołębie zaczynały gruchać. „To znaczy, że już dzień” — rzekła Albertyna; i ze zmarszczonymi niemal brwiami, tak jakby mieszkając u mnie, była pozbawiona rozkoszy pięknych dni, dodała: „Już widać wiosna, skoro gołębie wróciły”. Podobieństwo między ich gruchaniem a pianiem koguta było tak głębokie i tajemnicze, jak w septyecie Vinteuila podobieństwo między tematem adagia a ostatnią częścią zbudowaną na tym samym zasadniczym temacie, ale tak przeobrażonym przez różnicę tonacji, iż nieświadoma publiczność, kiedy otworzy jakieś dzieło o Vinteuila, dziwi się, że wszystkie trzy części zbudowane są na tych samych czterech nutach — czterech nutach, które można zresztą wygrać na fortepianie jednym palcem, nie odnajdując żadnego z trzech ustępów. Podobnie ten melancholijny kawałek wykonany przez gołębie był rodzajem piania koguta w *mol*, które nie wznosiło się ku niebu, nie wstępowało pionowo, ale regularne jak ryk osła, spowite słodyczą, szło od jednego gołębia do drugiego po tej samej poziomej linii i nigdy się nie przeżyło, nie zmieniało swojej postronnej skargi w ów radosny apel, który wydały tyle razy allegro z introdukcji i finału.

Niebawem noce stały się jeszcze krótsze; przed dawnymi godzinami poranka widziałem już nad portierą przybywającą co dzień białość dnia. Jeżeli się godziłem jeszcze z tym, aby skazywać Albertynę na życie, w którym mimo jej zaprzeczeń — czułem to — miała wrażenie, że jest w więzieniu, to jedynie dlatego, że każdego dnia byłem pewny, iż nazajutrz potrafię zabrać się do pracy, zacząć wstawać, wychodzić, wybierać się do jakiejś posiadłości, którą byśmy kupili i gdzie by Albertyna mogła swobodniej i bez mego niepokoju wieść życie wiejskie lub nadmorskie, pływać, polować — żyć jak by się jej podobało. Tylko że nazajutrz zdarzało się, iż jedna z godzin składających ową przeszłość, którą na przemian kochałem i nienawidziłem w Albertynie (ile że kiedy jest terazniejszością, każdy, z interesu, przez grzeczność lub przez litość, stara się uprząć między nią a nami tkaninę kłamstw, branych przez nas za rzeczywistość), a nawet tych godzin, które w swoim przeświadczeniu znałem, ukazywała mi nagle kształt, którego nie próbowano mi już przesłonić, kształt wówczas całkiem różny od tego, w jakim mi się niegdyś objawiła. Poza jakimś spojrzeniem, w miejsce pocziwej myśli czytanej w nim niegdyś, odsłaniało się niepodejrzewane dotąd pragnienie, odbierające mi nową cząstkę tego serca Albertyny, które uważałem za zrośnięte ze swoim. Na przykład kiedy Anna opuściła wówczas w lipcu Balbec, Albertyna nie mówiła mi nigdy, że ma ją rychło zobaczyć; sądziłem nawet, że ją ujrzę wcześniej, niż się spodziewała, skoro z racji wielkiego smutku, który mnie nawiedził w Balbec owej nocy 14 września, zgodziła się przez poświęcenie dla mnie nie siedzieć dłużej i wrócić zaraz do Paryża. Kiedy przybyła piętnastego, prosiłem ją, żeby odwiedziła

<sup>253</sup>lidyjska skala (muz.) — jedna z trzech bazowych siedmiostopniowych skal muzycznych używanych w starożytnej Grecji; jej nazwa pochodzi od Lidii, krainy w Azji Mniejszej; zbudowana w kierunku opadającym, zaczynająca się od dźwięku C. [przypis edytorski]

Annę i rzekłem: „Czy rada była z twojego widoku?”. Otóż, pewnego dnia przyszła pani Bontemps, żeby coś przynieść Albertynie; widziałem się z nią chwilę i powiedziałem, że Albertyna wyszła z Anną:

— Pojechały trochę na wieś.

— Tak — odrzekła pani Bontemps — Albertyna nie jest wybredna na punkcie wsi. Na przykład przed trzema laty uparła się co dzień jeździć do Buttes-Chaumont.

Na tę nazwę „Buttes-Chaumont” (gdzie Albertyna, wedle jej własnych słów, nigdy nie była) oddech zamarł mi na chwilę. Rzeczywistość jest najzręczniejszym z wrogów. Kieruje ataki na te punkty naszego serca, gdzieśmy się ich nie spodziewali i gdzie nie przygotowaliśmy obrony. Czy Albertyna kłamała wówczas, mówiąc ciotce, że co dzień bywa w Buttes-Chaumont, czy później mnie, kiedy mówiła, że nie zna tego miejsca?

— Szczęście — dodała pani Bontemps — że ta biedna Anna jedzie niebawem na wieś bardziej ożywczą, na prawdziwą wieś; bardzo tego potrzebuje, tak źle wygląda. Prawda, że tego lata nie miała tyle powietrza, ile jej potrzeba. Niech pan pomyśli, opuściła Balbec z końcem lipca, myśląc, że wróci we wrześniu; i ot, brat jej zwichnął nogę i nie mogła wrócić.

Więc Albertyna oczekiwała Anny w Balbec i zataiła mi to! Prawda, że w tych okolicznościach tym miłsze było, że mi zaproponowała powrót. Chyba że...

— Tak, przypominam sobie, Albertyna wspominała mi o tym. — To nie była prawda. — Kiedyż się zdarzył ten wypadek? Wszystko to poplątało mi się trochę w głowie.

— Ależ... o ile wiem, zdarzył się w samą porę, bo nazajutrz przypadał termin najmu i babka Anny musiałyby zbytecznie opłacać nowy miesiąc za willę. Złamał nogę 14 września, Anna miała czas zatelegrafować do Albertyny piętnastego rano, że nie przyjedzie, a Albertyna dać znać do biura. Jeden dzień później, a kontrakt przedłużyłby się automatycznie do 15 października.

Tak więc z pewnością, kiedy Albertyna, zmieniając zamiar, rzekła: „Jedźmy dziś wieczór”, widziała w myśli mieszkanie, mieszkanie babki Anny, gdzie od naszego powrotu mogła widywać przyjaciółkę, z którą (bez mojej wiedzy) miała się spotkać niedługo w Balbec. Tę tak pocziwają zgodę na powrót ze mną, tak sprzeczną z jej poprzednią upartą odmową, starałem się przypisać jej dobremu sercu. Była po prostu odbiciem zmiany zaszłej w sytuacji nieznaney nam, stanowiącej cały sekret wahań w postępowaniu kobiety, która nas nie kocha. Odmawia nam uparcie schadzki na jutro, bo jest zmęczona, bo musi być u dziadka na obiedzie.

— Przyjdź choć później — nalegamy.

— Dziadek przetrzymuje mnie zawsze bardzo długo. Może mnie zechce odprowadzić.

Po prostu ma schadzki z kimś, na kogo leci. Nagle ten ktoś nie jest wolny, ona zaś przychodzi wyrazić swój żal, że nam sprawiła przykrość i że puści kantem dziadka i zostanie najchętniej z nami. Powiniennem był poznać te zwroty w ówczesnych słowach Albertyny, w dniu wyjazdu z Balbec; ale aby zinterpretować te słowa, musiałbym pamiętać wówczas o dwóch swoistych rysach jej charakteru, które mi wracały teraz na myśl, jeden na moją pociechę, drugi ku mojej rozpacz. Znajdujemy wszystko w naszej pamięci; jest to rodzaj apteki, chemiczne laboratorium, gdzie popada nam przypadkiem w rękę to kojące lekarstwo, to groźna trucizna. Pierwszym rysem, pocieszającym, był zwyczaj Albertyny, żeby jeden postępek zużyć dla zadowolenia wielu osób, znamienne dla niej wielorakie wyzyskanie tego, co robiła. Fakt, że Anna nie wracała, mógł Albertynę zniechęcić do pozostania w Balbec, co nie znaczy, że nie mogła się obejść bez Anny. I to było bardzo w jej stylu, aby za powrotem do Paryża znaleźć w tej jednej podróży sposobność do ujęcia sobie dwóch osób, które kochała szczerze; mnie, każąc mi wierzyć, że wraca dlatego, żeby mnie nie zostawiać samego, żebym nie cierpiał, przez poświęcenie dla mnie; Annę, przekonując ją, że z chwilą kiedy Anna nie przyjeżdża do Balbec, ona nie chce zostać tam ani chwili dłużej; że przedłużyła pobyt jedynie po to, aby ją widzieć, i spieszy do niej w tejsze chwili. Otóż wyjazd Albertyny ze mną następował w istocie tak bezpośrednio, z jednej strony po moim zmartwieniu i po mojej chęci wrócenia do Paryża, z drugiej strony po depeszy Anny, że było całkiem naturalne, iż oboje z Anną — nie znając nawzajem, Anna mojego zmartwienia, a ja jej depeszy — mogliśmy przypuszczać, że wyjazd Albertyny był skutkiem jedynej, każdemu z nas wiadomej przyczyny, po której wyjazd ów nastąpił w istocie tak szybko i nieoczekiwanie. I w tym wypadku mogłem

jeszcze sądzić, że chęć towarzyszenia mi była istotną pobudką Albertyny, która jednakże nie chciała zaniedbać sposobności do zaskarżenia sobie z tego tytułu wdzięczności Anny. Ale na nieszczęście przypomniałem sobie prawie równocześnie inny rys Albertyny, a mianowicie żywość, z jaką ulegała nieodpartej pokusie przyjemności. Otóż przypomniałem sobie, kiedy się zdecydowała jechać, jak niecierpliwie czekała chwili odjazdu, jak potrąciła dyrektora hotelu, który starając się nas zatrzymać, omal nie przyprowadził nas o spóźnienie się; przypomniałem sobie jej porozumiewawcze wzruszenie ramion (które mnie tak rozczuliło), kiedy w kolejce pan de Cambremer spytał, czy nie moglibyśmy odłożyć wyjazdu o tydzień. Tak, tym, co Albertyna widziała w owej chwili, co udzielało jej gorączki wyjazdu, co jej było tak pilno odnaleźć, był niezamieszkały apartament (który widziałem raz), apartament babki Anny zostawiony pod opieką starego lokaja; mieszkanie zbytkowne, położone od południa, ale tak puste i ciche, że słońce jak gdyby nakładało pokrowce na kapy, na fotele w pokoju, gdzie Albertyna i Anna poproszą pełnego uszanowania, może naiwnego, może świadomego odźwiernego, żeby im pozwolił odpocząć. Widziałem teraz przez cały czas ten pusty pokój z łóżkiem lub kanapą, gdzie Albertyna za każdym razem, kiedy miała spieszącą się i poważną minkę, biegła spotkać się ze swoją przyjaciółką, z pewnością przybyłą wcześniej, bo była swobodniejsza. Nigdy dotąd nie myślałem o tym mieszkaniu, które teraz nabierało dla mnie okropnej piękności. Tajemnica istot ludzkich jest jak tajemnica natury, którą każde naukowe odkrycie jedynie odsuwa, ale nie usuwa: zazdrośnik przywodzi do rozpaczki kobietę, którą kocha, pozbawiając ją tysiąca błahych przyjemności; ale przyjemności będące istotą jej życia kobieta chowa tam, gdzie nie przychodzi mu na myśl ich szukać, nawet w chwilach, gdy jego inteligencja najwięcej w jego własnym przeświadczeniu okazuje bystrości i kiedy osoby postronne najlepiej go informują.

Prawda, Anna miała wyjechać. Ale nie chciałem, żeby Albertyna mogła mną gardzić, jak kimś, kto się dał oszukać jej i Annie. Dziś czy jutro powiem jej to. W ten sposób zmusiłbym ją może do mówienia ze mną szczerzej, pokazałbym, że i tak jestem poinformowany o tym, co mi skrywała. Ale nie chciałem jej mówić o tym jeszcze; najpierw dlatego, że tak rychło po wizycie ciotki odgadłaby źródło moich informacji i zatamowała by je. Następnie dlatego, że przed uzyskaniem absolutnej pewności, iż zatrzymam Albertynę tak długo, jak długo zechcę, wołałem zbytnio nie ryzykować jej gniewu, który mógłby wzbudzić w niej chęć opuszczenia mnie. Prawda, że kiedy rozumowałem, szukałem prawdy, wróżyłem o przyszłości wedle słów Albertyny, które przytwierdzały zawsze wszystkie moje projekty, głosząc, jak bardzo ona lubi to życie, jak mało ceni to, czego jej to zamknięcie pozbawia, wówczas nie wątpiłem, iż ona zawsze pozostanie ze mną. Drażniło mnie to nawet bardzo, miałem uczucie, że mi się wymyka życie, wszechświat, których nigdy nie zakosztowałem, wymienione na kobietę niezdolną mi już dać nic nowego. Nie mogłem nawet wybrać się do Wenecji, gdzie podczas gdy leżałbym w łóżku, zbyt dręczyłaby mnie obawa zalotów, jakich Albertyna stała by się przedmiotem ze strony gondolierów, mieszkańców hotelu, wenejczanek. Ale kiedy znowu rozumowałem w myśl drugiej hipotezy, wspierającej się nie na słowach Albertyny, lecz na milczeniach, spojrzeń, rumieńcach, dąsach, a nawet gniewach, których bezzasadność łatwo byłoby mi jej wykazać, ale których wołałem nie dostrzegać, wówczas powiadałem sobie, że życie Albertyny jest dla niej czymś nie do zniesienia, że przez cały czas pozbawiona jest tego, co lubi, i że nieodzownie któregoś dnia mnie rzuci. Pragnąłem tylko — o ile by to zrobiła — abym mógł wybrać chwilę, kiedy mi to nie będzie zbyt bolesne, a także porę roku, kiedy Albertyna nie mogłaby pospieszyć do żadnej z miejscowości, gdzie sobie wyobrażałem jej rozkosze, ani do Amsterdamu, ani do Anny (którą odnalazłaby co prawda w kilka miesięcy później). Ale do tej pory uspokoiłbym się, stałoby mi się to obojętne. W każdym razie na to, aby o tym myśleć, trzeba by czekać uleczenia małej rezydwy spowodowanej odkryciem przyczyn, dla których Albertyna, na przestrzeni kilku godzin, nie chciała opuścić, a potem natychmiast opuściła Balbec. Trzeba było przecze-kać objawy, które musiałyby z konieczności słabnąć, o ile bym się nie dowiedział czegoś nowego, ale były jeszcze zbyt ostre, aby nie uczynić boleśniejszą i trudniejszą operacji zerwania. Operację tę uważałem obecnie za nieuniknioną, ale bynajmniej nie pilną; lepiej było dokonać jej „na zimno”. Wybór chwili zależał ode mnie, bo o ile by Albertyna chciała odejść przed moją decyzją, wówczas, gdyby mi oznajmiła, że ma dość tego życia,

zawsze byłby czas na to, aby próbować zwalczyć jej racje, zostawić jej więcej swobody, przyrzec jakąś bliską przyjemność, na którą chciałaby sama zaczekać, a nawet — gdybym nie znalazł odsieczy gdzie indziej niż w jej sercu — wyznać jej swoją zgryzotę. Byłem wtedy bardzo spokojny z tego punktu widzenia, nie będąc w tym zresztą zbyt logiczny. Bo w hipotezach, w których nie liczyłem się właśnie z rzeczami, które Albertyna mówiła i zapowiadała, przypuszczałem, że zamierzając odejść, podałyby mi z góry swoje racje, dałyby mi możliwość zwalczania i zwyciężenia ich. Czułem, że życie z Albertyną było dla mnie, o ile nie byłem zazdrosny, samą nudą, a znowuż kiedyś byłem zazdrosny, samym cierpieniem. Jeżeli było w nim coś szczęścia, nie mogło ono trwać. Byłem w tym samym rozsądnym nastroju co w Balbec, kiedy, owego szczęśliwego wieczora po wizycie pani de Cambremer, chciałem opuścić Albertynę, bo wiedziałem, że nic nie zyskałem na zwłoce. Tylko teraz jeszcze wyobrażałem sobie, iż wspomnienie po niej byłoby rodzajem przedłużonej pedałem wibracji ostatniej minuty naszego rozstania. Toteż pragnąłem wybrać jakąś słodką chwilę, aby ta chwila dalej drgała we mnie. Nie trzeba było być zbyt wybrednym, czekać zbyt długo, należało być rozsądnym. Mimo to, wyczekawszy tyle, szaleństwem byłoby nie odczekać jeszcze kilku dni, aż się zjawi taka pożądana minuta, raczej niż ryzykować, że przyjmę odejście Albertyny z tym samym buntem, jaki mną wstrząsał niegdyś, kiedy mama odchodziła od mego łóżka, nie powiedziawszy mi dobranoc, lub kiedy mnie żegnała na dworcu. Na wszelki wypadek mnożyłem swoje galanterie. Co do sukien Fortuny'ego, zdecydowaliśmy się wreszcie na niebiesko-złotą z różową podszewką — właśnie ją ukończono. Zamówiłem mimo to pięć innych, których Albertyna, wybierając tę jedną, wyrzekła się z żalem. Jednakże z nadejściem wiosny, w dwa miesiące po tym, co mi mówiła jej ciotka, uniosłem się pewnego wieczora. Było to właśnie w ów wieczór, kiedy Albertyna pierwszy raz włożyła błękitno-złoty szlafroczek Fortuny'ego, który wskrzeszając obraz Wenecji, bardziej jeszcze dał mi uczuć, com poświęcił dla niej, i to bez żadnej wdzięczności z jej strony. Choć nigdy nie widziałem Wenecji, marzyłem o niej bez przerwy od czasu owych świąt wielkanocnych, które dzieckiem<sup>254</sup> miałem tam spędzić, i dawniej jeszcze, od sztychów Tycjana i fotografii Giotta<sup>255</sup>, które niegdyś Swann dał mi w Combray. Suknia Fortuny'ego, którą miała tego wieczora Albertyna, zdawała mi się niby kuszący cień owej niedosiężnej Wenecji. Pokrywały ją arabeski, ornamenty, podobne do tych, które zdobią pałace Wenecji, ukryte niby sułtanki za ażurową zasłoną z kamienia, niby oprawy z Biblioteki Ambrożyjskiej<sup>256</sup>, niby kolumny, gdzie wschodnie ptaki, oznaczające na przemian śmierć i życie, powtarzały się w migotaniu materii o ciemnobłękitnym kolorze, który w miarę jak weń wnikałem wzrokiem, zmieniał się w gibkie złoto, siłą tego przeobrażenia, jakie przed posuwającymi się gondolami zmieniają lazur Canal Grande w płomienny metal. A rękawy były podszyte materią wiśniowego koloru, który jest tak osobliwie wenecki i który zowie się czerwienią Tiepolo.

W ciągu dnia Franciszka mruknęła przy mnie, że Albertyna nie jest z niczego zadowolona; kiedy jej kazałem powiedzieć, że wyjdę z nią albo że nie wyjdę, że auto zajedzie po nią lub nie zajedzie, niemal wrzasała ramionami i odpowiadała prawie niegrzecznie. Owego wieczora, kiedy czułem, że Albertyna jest w złym humorze, kiedy sam byłem zdenerwowany upałem, nie mogłem powstrzymać gniewu i wymówiłem jej niewdzięczność.

— Tak, możesz spytać, kogo chcesz — krzychałem ze wszystkich sił, nieprzytomny — możesz spytać Franciszki, wszyscy to powtarzają!

Ale natychmiast przypomniałem sobie, że Albertyna powiedziała mi raz, jaki się robię straszny, kiedy się gniewam, i zastosowała do mnie te wiersze Estery:

Osądź, jak bardzo gniew ten i to czoło groźne  
W duszę mą wnieść musiało lęku tchnienie mroźne;  
Ach, z tego lęku serce omal nie wyskoczy,  
Od błyskawic, jakimi strzelają te oczy...

<sup>254</sup>dzieckiem (daw.) — tu: dzieckiem będąc, w dzieciństwie. [przypis edytorski]

<sup>255</sup>Giotta di Bondone (1266–1337) — włoski malarz i architekt; odszedł od stylu wschodniego, bizantyjskiego, czym przyczynił się do rozwoju nowożytnego malarstwa we Włoszech. [przypis edytorski]

<sup>256</sup>Biblioteka Ambrożyjska (wl. *Biblioteca Ambrosiana*) — biblioteka w Mediolanie, we Włoszech, zawierająca wiele wartościowych dzieł literackich kultury światowej, zał. w 1609; w 1618 do biblioteki dołączono zbiory obrazów i rzeźb, które utworzyły galerię sztuki znaną jako Pinakoteka Ambrożyjska. [przypis edytorski]

Zawstydzilem się swojej gwałtowności. I aby to odrobić, ale tak, aby nie wyglądało na klęskę, aby mój pokój był pokojem groźnym i zbrojnym, a równocześnie czując, iż byłoby dobrze pokazać znów, że nie bałbym się zerwania (dlatego aby ona nie pomyślała o nim), rzekłem:

— Przepraszam cię, Albertynko, wstyd mi mojej porywczowości, jestem w rozpacz. Jeżeli nie możemy się już porozumieć, jeżeli mamy się rozstać, nie róbmyż tego w ten sposób, to by nie było godne nas. Rozstaniemy się, jeżeli trzeba, ale przede wszystkim pragnę cię bardzo pokornie i z całego serca prosić o przebaczenie.

Pomyślałem, że aby to naprawić i upewnić się co do jej zamiarów pozostania u mnie na najbliższy czas (przynajmniej do tej pory, kiedy Anna wyjedzie, co miało nastąpić za trzy tygodnie), byłoby dobrze obmyślić od jutra jakąś przyjemność większą od tych, które Albertyna miała dotąd, i obmyślić na dosyć długą metę; a skoro chciałem zatrzeć przykrość, jaką jej sprawilem, dobrze byłoby skorzystać z chwili, aby okazać, że znam jej życie lepiej, niż przypuszcza. Zły humor, w jaki by to ją wprawilo, zatarłbym jutro jakimiś nowymi dowodami uczuć, ale przestroga została jej w pamięci.

— Tak, Albertyno, przebacz mi, jeśli byłem zbyt gwałtowny. Nie jestem znowuż tak bardzo winien, jak przypuszczasz. Są źli ludzie, którzy starają się nas poróżnić; nigdy nie chciałem mówić o tym, aby cię nie dręczyć. Ale czasami pewne denuncjacje<sup>257</sup> przywodzą mnie do szaleństwa. I tak — rzekłem — teraz mnie wciąż dręczą, prześladują mnie opowiadaniem o twoich stosunkach, ale z Anną.

— Z Anną? — wykrzyknęła z irytacją, która oblała jej twarz rumieńcem. I zdumienie lub chęć okazania zdumienia rozszerzyły jej oczy. — To śliczne! Czy można wiedzieć, kto ci opowiedział te piękne rzeczy? Czy mogłabym pomówić z tymi osobami, usłyszeć, na czym opierają swoje bezecenstwa?

— Albertynko, ja nie wiem, to są anonimy, od osób, które zresztą odgadłabyś łatwo — aby okazać, iż nie wierzę, że ona chce ich szukać — bo muszą cię znać dobrze. Ostatni list, przyznam ci się (cytuję właśnie ten, bo chodzi w nim o drobiazg i nie ma w nim dla ciebie nic przykrego), zdenerwował mnie jednak bardzo. Anonim powiada, że jeżeli w dniu, kiedyśmy opuścili Balbec, chciałaś zrazu zostać, a potem wyjechać, to dlatego, że wśród tego dostałaś list od Anny donoszący, że nie przyjedzie.

— Świetnie wiem, iż Anna napisała, że nie przyjedzie, nawet zadepeszowała, nie mogę ci pokazać depeszy, bo nie schowałam, ale to nie było tego dnia. Cóż ty chcesz, aby to miało dla mnie za znaczenie, czy Anna przyjeżdża do Balbec czy nie?

„Co ty chcesz, aby to miało dla mnie za znaczenie” było dowodem gniewu oraz tego, że „to” miało dla niej znaczenie, ale niekoniecznie było dowodem, że Albertyna wróciła jedynie z chęci ujżenia Anny. Za każdym razem kiedy Albertyna widziała, że jeden z rzeczywistych lub podanych przez nią motywów jej postępków doszedł do wiadomości tego, komu ona podała inny motyw, wpadała w złość, choćby nawet ową osobą był ten, dla kogo ona w istocie to zrobiła. Czy sądziła, że to nie anonimy udzielały mi mimo mojej woli tych informacji, ale że ja sam pragnąłem ich chciwie, tego nie można by zgola wywnioskować z późniejszych słów Albertyny, kiedy niby to przyjęła moją wersję anonimów; można by natomiast wywnioskować z jej miny pełnej gniewu, gniewu robiącego wrażenie, że jest tylko wybuchem jej dawniejszych złych humorów, tak samo jak moje przespiewki, w które wedle tej hipotezy uwierzyła, byłyby jedynie rezultatem kontroli wszystkich jej czynów, o której nie wątpiła już od dawna. Gniew jej rozszerzył się nawet na Annę; powiadając sobie z pewnością, że teraz nie zaznam już spokoju, nawet kiedy będzie wychodziła z Anną, dodała:

— Zresztą, Anna denerwuje mnie szalenie. Jest straszliwie męcząca. Nie chcę już z nią jeździć na spacer. Możesz to oznajmić tym, co ci powiedzieli, że wróciła do Paryża dla niej. A ja mówię, że po tylu latach znajomości z Anną nie umiałabym powiedzieć, jak ona wygląda, tak mało się jej przyglądałam!

Otóż w Balbec w pierwszym roku powiedziała mi: „Anna jest czarująca”. Prawda, że to nie dowodziło stosunków miłosnych między nimi; wówczas Albertyna wyrażała się z największym oburzeniem o tego rodzaju stosunkach. Ale czy nie mogła się zmienić, nawet nie zdając sobie sprawy z tej zmiany, nie sądząc, aby jej zabawy z przyjaciółką były

<sup>257</sup>denuncjacja — tajemne doniesienie władzom o popełnieniu przez kogoś wykroczenia. [przypis edytorski]

tym samym co niemoralne stosunki — dość mgliste w jej pojęciu — które piętnowała u innych? Czy nie była możliwa ta sama i tak samo nieświadoma zmiana, jaka zaszła w jej stosunkach ze mną? Toż odepchnęła z takim oburzeniem w Balbec moje pocałunki, którymi później sama miała mnie darzyć codziennie, których (tak spodziewałem się przynajmniej) miała mi używać jeszcze długo, których miała mi użyć za chwilę?

— Ależ, kochanie, jakże mam im oznajmić, skoro ich nie znam?

Odpowiedź była tak nieodparta, że powinna była rozproszyć zarzuty i wątpliwości krystalizujące się w żrenicach Albertyny. Ale pozostały nietknięte. Zamilkłem; mimo to ona wciąż patrzyła na mnie z tą wytrwałą uwagą, jakiej używa się komuś, kto nie skończył mówić. Znow poprosiłem ją o przebaczenie. Odpowiedziała, że nie ma mi czego przebaczać. Zrobiła się bardzo łagodna. Ale poza jej smutną i zmęczoną twarzą gromadziła się tajemnica. Wiedziałem, że nie może odejść bez uprzedzenia mnie; zresztą nie mogła ani tego pragnąć (za tydzień miała przymierzać suknie Fortuny'ego), ani uczynić tego bez uchybienia przyzwoitości, gdyż matka moja wracała z końcem tygodnia, a ciotka Albertyny również. Skoro niemożliwe było, aby odeszła, czemu powtórzyłem jej kilkakrotnie, że pójdziemy jutro razem obejrzeć szkła weneckie (które chciałem jej ofiarować), i z ulgą usłyszałem z jej ust potwierdzenie tego projektu? Kiedy mogła mi powiedzieć dobranoc i kiedy ją ucałowałem, nie zrobiła jak zawsze, odwróciła się — było to ledwo w kilka chwil po momencie, kiedy pomyślałem o tej słodyczy, że ona mi używa co wieczór tego, czego mi odmówiła w Balbec — nie oddała mi pocałunku. Można by rzec, że pokłócona ze mną, nie chce mi okazać czułości, która mogłaby mi się wydać później fałszem przeczącym tej zwadzie. Można by rzec, że ona zestrąja swoje postęпки z tą zwadą, ale zachowując miarę, bądź aby jej nie stwierdzać, bądź że zrywając stosunki fizyczne, chciała mimo to zostać ze mną w przyjaźni. Pocałowałem ją wówczas jeszcze raz, przyciskając do serca mieniący się i złocisty lazur Canal Grande oraz sparzone ptaki, symbol śmierci i zmartwychwstania. Ale po raz drugi Albertyna cofnęła się; zamiast mi oddać pocałunek usunęła się z jakimś instynktownym i wróżebnym uporem zwierząt czujących śmierć. To przecucie, które zdawała się wyrażać, udzieliło się mnie samemu i napełniło mnie takim lękiem, że kiedy Albertyna oddaliła się ku drzwiom, nie miałem siły dać jej odejść, odwołałem ją.

— Albertyno — rzekłem — mnie się wcale nie chce spać. O ile nie jesteś śpiąca, mogłabyś zostać jeszcze trochę, jeżeli chcesz, ale nie zależy mi na tym, a zwłaszcza nie chciałbym cię męczyć.

Miałem uczucie, że gdybym ją mógł rozebrać i mieć ją w białej nocnej koszuli, w której zdawała się różowsza, cieplejsza, w której bardziej drażniła moje zmysły, pojednanie byłoby pełniejsze. Ale wahałem się chwilę, bo błękitny obrąbek sukni stroił jej twarz piękną, blaskiem, niebem, bez których wydałaby mi się twardsza. Wróciła wolno i rzekła z wielką słodyczą i wciąż z tą samą przybitą i smutną twarzą:

— Mogę zostać ile zechcesz, nie chce mi się spać.

Odpowiedź jej uspokoiła mnie, bo dopóki była ze mną, czułem, że mogę liczyć na przyszłość; kryła również przyjaźń, posłuszeństwo, ale jedynie pewnego typu, ograniczone niejako tym sekretem, którego szukałem poza jej smutnym spojrzeniem, poza zachowaniem się zmienionym na wpół mimo woli, na wpół zapewne po to, aby je z góry zharmonizować z czymś, czego nie wiedziałem. Zdawało mi się, że jednak wystarczałoby ujrzeć ją przed sobą całkiem na białą, z nagą szyją, tak jak ją widziałem w Balbec w łóżku, co by mi dało dosyć odwagi, aby ona musiała ulec.

— Skoro jesteś tak poczciwa, że godzisz się zostać trochę, aby mnie pocieszyć, powinnaś być zdjąć suknię; to za gorące, za sztywne, nie śmiem zbliżyć się do ciebie, aby nie zmiąć tej pięknej materii, przy tym są między nami te symboliczne ptaki... Rozbierz się, kochanie.

— Nie, to by było nieporęcznie zdejmować tutaj tę suknię. Rozbiorę się u siebie za chwilę.

— Zatem nie chcesz nawet usiąść na moim łóżku?

— Ależ owszem.

Usiadła jednak na pewną odległość, w nogach łóżka. Zaczęliśmy rozmawiać. Wiem, że wymówiłem wówczas słowo „śmierć”, tak jakby Albertyna miała umrzeć. Zdaje się, że wypadki są szersze niż chwila, w której zachodzą, i że nie mogą się w niej zmieścić całe. Niewątpliwie sięgają w przyszłość przez pamięć, którą zachowujemy o nich, ale żądają



także miejsca w czasie, który je poprzedza. To pewne, że nie widzimy ich wówczas takimi, jak będą, ale czyż we wspomnieniu nie są również przekształcone?

Kiedym ujrzał, że Albertyna sama z siebie nie całuje mnie, rozumiejąc, że to wszystko będzie stracony czas, że dopiero od pocałunku zaczną się kojące i prawdziwe minuty, powiedziałem: „Dobranoc, późno już jest” w nadziei, że mnie wówczas ucałuje i że potem będziemy to robili dalej. Ale powiedziawszy: „Dobranoc, staraj się zasnąć”, ściśle tak jak dwa poprzednie razy, poprzestała na pocałunku w twarz. Tym razem nie śmiałem jej odwołać, ale serce biło mi tak silnie, że nie mogłem się położyć z powrotem. Niby ptak, który lata z jednego końca klatki w drugi, wciąż przechodziłem od niepokoju, że Albertyna mogłaby opuścić dom, do względnego spokoju. Spokój ten zrodził się z rozumowania, które rozpoczynałem kilka razy na minutę: „W każdym razie nie może odejść bez uprzedzenia mnie, nie mówiła nic, że odejdziesz”, i czułem się prawie spokojny. Ale natychmiast powiadałem sobie: „A jednak gdybym miał jej jutro nie zastać? Sam ten mój niepokój musi mieć jakąś przyczynę; czemu mnie ona nie pocałowała?”. Wówczas ścisnęło mi się serce. Potem uspokajało się trochę od rozpoczętego na nowo rozumowania, ale w końcu zaczynała mnie boleć głowa, tak bardzo ten rytm mojej myśli był nieustanny i jednostajny. Istnieją pewne stany duszy, a zwłaszcza lęki, które nastroczając tylko dwie możliwości, mają coś równie okrutnie ograniczonego jak proste cierpienie fizyczne. Odtwarzałem ustawicznie rozumowanie, które przyznawało rację mojemu niepokojowi, oraz to, które mu przeczyło i które mnie uspokajało, na przestrzeni równie szczupłej jak u chorego, który wewnętrznym ruchem obmacuje bez ustanku bolesny organ, oddala się na chwilę od wrażliwego punktu, aby doń wrócić w chwilę potem.

Naraz w ciszy nocnej uderzył mnie hałas na pozór nieznaczący, ale który mnie przejął grozą, łoskot okna, które się otworzyło nagle w pokoju Albertyny. Kiedy już nic nie było słyhać, zastanawiałem się, czemu mnie ten łoskot tak przestraszył. Sam w sobie nie miał nic tak niezwykłego, ale ja mu dawałem prawdopodobnie dwa znaczenia, które mnie na równi przerażały. Najpierw było regułą w naszym domowym życiu, ponieważ bałem się przeciągów, aby nigdy nie otwierano okna w nocy. Wpojono to Albertynie, kiedy zamieszkała u nas; i mimo iż była przeświadczona, że to jest z mojej strony mania, i to niezdrowa, przyrzekła nigdy nie naruszać tego zakazu. A była tak nieśmiała w tym, co dotyczyło moich życzeń, choćby je potępiała, że wiedziałem, iż raczej spałaby w pokoju pełnym dymu, niżby miała otworzyć okno, tak samo jak dla najważniejszej sprawy nie kazałaby mnie obudzić rano. Była to jedna tylko z drobnych konwencji naszego życia, ale z chwilą gdy Albertyna gwałciła tę konwencję, nie wspomniawszy mi o tym, czyż nie znaczyło to, że nie ma już czego oszczędzać, że pogwałciłaby równie dobrze wszystkie. Następnie ten łoskot był gwałtowny, prawie impertynencki, tak jakby otwarła okno czerwona z gniewu, mówiąc: „Duszę się tu, wszystko mi jedno, chcę powietrza!”. Nie mówiłem sobie ściśle tego, ale nadal myślałem — niby o przepowiedni bardziej tajemniczej i złowrogiej niż krzyk puszczyka — o tym łoskocie, z jakim otwarła okno Albertyna. Pełen wzruszenia, jakiego może nie zaznałem od wieczoru w Combray, kiedy Swann był u nas na obiedzie, chodziłem długo po korytarzu, mając nadzieję, że hałasem ściągnę uwagę Albertyny, że zlituje się nade mną i zawoła mnie; ale nie słyszałem żadnego szmeru. Pomału uczulem, że jest za późno. Musiała od dawna spać. Wróciłem, aby się położyć.

Nazajutrz, skoro się tylko obudziłem, ponieważ nigdy, co bądź by się stało, nie wchodzono do mnie bez wezwania, zadzwoniłem na Franciszkę. I równocześnie myślałem: „Pomówię z Albertyną o jachcie, który chcę dla niej zamówić”. Biorąc listy, rzekłem do Franciszki, nie patrząc na nią:

— Za chwilę będę chciał widzieć pannę Albertynę, czy już wstała?

— Tak, wstała wcześniej.

Uczulem, że się we mnie zrywa, niby od uderzenia wichru, tysiąc niepokojów, których nie umiałem utrzymać w piersi. Huragan był taki, że dech mi zapierało w piersiach jak w czasie burzy.

— A! Ale gdzie jest teraz?

— Musi być u siebie.

— A, dobrze, dobrze, poproszę ją za chwilę.

Odetchnąłem, była tuż, wzruszenie moje opadło, Albertyna jest w domu, było mi niemal obojętne, że jest. Zresztą, czyż nie byłoby niedorzeczne przypuszczać, że mogłoby

jej nie być? Zasnąłem, ale mimo pewności, że ona mnie nie opuści, sen mój był lekki, i to lekki tylko w stosunku do niej. Bo hałasy sprawiane robotami w dziedzińcu, mimo że je słyszałem mętnie przez sen, nie naruszały mego spokoju, podczas gdy najłżejszy szelest z pokoju Albertyny, kiedy wychodziła lub wracała po cichu, przyciskając tak lekko klamkę, wstrząsał mnie dreszczem, przebiegał mnie całego, przyprowadził mnie o bicie serca, mimo że go słyszałem w głębokim uśpieniu, tak samo jak babka w ostatnich dniach przed śmiercią, pogrążona w bezwładzie, którego nic nie mąciło i który lekarze nazywali *coma*, zaczynała, jak mi powiedziano, drżeć przez chwilę jak liść, kiedy słyszała trzy dzwonki, którymi zwykłem być wzywać Franciszkę i których nawet kiedy się starałem dzwonić najłżej, aby nie mącić ciszy śmiertelnego pokoju, nikt (zapewniała mnie Franciszka) nie mógł pomylić z innymi z powodu sposobu, w jaki, nie wiedząc o tym, naciskałem dzwonek. Czyż to ja sam byłem już w agonii, czy to była bliskość śmierci?

Tego dnia i nazajutrz wyszliśmy z Albertyną razem wobec tego, że nie chciała już wychodzić z Anną. Nie wspominałem jej nawet o jachcie. Te spacerki uspokoiły mnie zupełnie. Ale ona nadal całowała mnie wieczorem w ten nowy sposób, tak że byłem wściekły. Mogłem w tym już tylko widzieć chęć okazania, że się dąsa na mnie, co mi się wydawało zbyt niedorzeczne po wszystkim, com wciąż robił dla niej. Toteż nie mając z niej już nawet satysfakcji fizycznych, na których mi zależało, znajdując ją brzydką, kiedy była w złym humorze, tym żywiej odczułem wyrzeczenie się wszystkich kobiet oraz podróży, których żądę obudziły we mnie pierwsze piękne dni. Z pewnością dzięki dorywczym wspomnieniom zapomnianych schadzek jeszcze z uczniowskich czasów, pod gęstą już zielonością, ta wiosna, w której podróż naszej wędrowniej siedziby poprzez pory roku zatrzymała się od trzech dni pod łaskawym niebem i której wszystkie drogi uciekały ku śniadaniom na wsi, wiosłowaniu, wycieczkom i zabawom, zdawała mi się krainą kobiet, jak była krainą drzew, i krainą, gdzie zewsząd wabiąca rozkosz stawała się dozwolona moim wracającym siłom. Rezygnacja na lenistwo, rezygnacja na czystość, na to, aby znać rozkosz jedynie z kobietą, której nie kochałem, rezygnacja na to, żeby siedzieć w pokoju, nie podróżować, wszystko to było możliwe w starym świecie, gdzie byliśmy jeszcze wczoraj, w pustym świecie zimy, ale już nie w tym świecie nowym, zieleniącym się liśćmi, gdzie obudziłem się niby młody Adam, dla którego nastęcza się pierwszy raz problem istnienia, szczęścia i nad którym nie ciąży spiętrzenie dawniejszych negatywnych rozwiązań.

Obecność Albertyny ciążyła mi; patrzyłem na nią markotnie, odczuwając jako nieszczęście to, żeśmy nie zerwali z sobą. Chciałem jechać do Wenecji, chciałem tymczasem iść do Luwru oglądać obrazy weneckie i do Luksemburgu<sup>258</sup> oglądać dwa obrazy Elstira, które, jak właśnie mówiono, księżna Gilbertowa sprzedała temu muzeum; te, które tak podziwiałem, *Rozkosze tańca* i *Portret rodziny X*. Ale bałem się, żeby na pierwszym z nich pewne lubieżne pozy nie obudziły w Albertynie tęsknoty do uciech ludowych, podsuwając jej myśl, że może pewne życie, którego nie zaznała, rozkosze ogni sztucznych i podmiejskich gospód mają swoje powaby. Już z góry bałem się, aby w dniu 14 lipca<sup>259</sup> nie oświadczyła, że chce iść na bal ludowy i marzyłem o czymś niemożliwym, co by udamremniło tę fetę. A także były również w tych Elstirach nagości kobiece, na tle bujnych krajobrazów Południa, zdolne obudzić w Albertynie myśl o pewnych rozkoszach, mimo iż Elstir sam (ale czy Albertyna nie ściągnęłaby dzieła w dół?) widział w tym tylko piękność posągową, aby rzec lepiej, piękność białych posągów, jakiej nabierają ciała kobiet siedzących wśród zieleni. Toteż pogodziłem się z tym wyrzeczeniem się i zdecydowałem jechać do Wersalu.

Albertyna została w swoim pokoju, w szlafrocisku Fortuny'ego, aby czytać. To było w niej urocze, że zawsze była gotowa na wszystko, może stąd, że nawykła niegdyś spędzać pół życia u obcych. Tak samo jak się w dwie minuty zdecydowała jechać do Paryża, tak i teraz rzekła: „Mogę jechać jak jestem, nie będziemy wysiadali”. Zawahała się sekundę między dwoma płaszczami, aby ukryć swój szlafrocisk — tak jakby się zawahała między

<sup>258</sup> *Luksemburg* — tu: Muzeum Luksemburskie, znajdujące się niewielkim renesansowym budynku w Ogrodzie Luksemburskim w Paryżu; otwarte w 1750, stanowiło pierwszą publiczną placówkę muzealną we Francji, w 1818 stało się pierwszym muzeum sztuki współczesnej. [przypis edytorski]

<sup>259</sup> *14 lipca* — dzień najważniejszego święta narodowego w Republice Francuskiej, upamiętniający zdobycie Bastylii przez ludność Paryża (14 lipca 1789), co uznaje się za symboliczny początek Wielkiej Rewolucji Francuskiej. [przypis edytorski]

towarzystwem dwóch przyjaciół — wzięła wspaniałą ciemnoniebieski płaszcz, przypięła kapelusz. Zanim zdążyłem wziąć palto, w minutę była gotowa i pojechaliśmy do Wersalu. Sama ta szybkość, absolutna uległość uspokoiły mnie tak, jak gdybym — mimo iż nie mając żadnego ścisłego powodu do niepokoju — w istocie potrzebował tego. „Bądź co bądź, nie mam się czego obawiać; robi wszystko, o co poproszę, mimo łoskotu okna tamtej nocy. Z chwilą gdy zaproponowałem spacer, narzuciła płaszcz na peniuar i była gotowa; tego by nie zrobiła kobieta zbuntowana, osoba, która by mnie już nie chciała” — powiadałem sobie w drodze do Wersalu. Zostaliśmy tam długo. Niebo było całe z owego promiennego, nieco bladego błękitu, jaki przechadzając się i leżąc w polu, widzimy czasem nad głową; jest wówczas tak gładkie, tak głębokie, że czujemy, iż błękitu, z którego je sporządzono, użyto bez żadnej domieszki, tak niewyczerpanie bogato, że można by zgłębiać coraz to więcej jego substancję, nie spotykając ani atomu czegoś innego niż ten właśnie błękit. Myślałem o babce, która w sztuce ludzkiej, w naturze kochała wielkość i lubiła w tym samym błękitcie oglądać wieżę Św. Hilarego. Nagle uczulem na nowo nostalgię straconej wolności, słysząc hałas, którego nie poznałem zrazu, a który babka byłaby również tak lubiła. Było to niby brzęczenie osy.

— O, rzekła Albertyna — samolot, jest bardzo, bardzo wysoko”.

Popatrzyłem dokoła, ale widziałem jedynie nietkniętą bladość błękitu bez domieszki, bez żadnej czarnej plamy. Słyszałem mimo to wciąż brzęczenie skrzydeł, które nagle weszły w pole mojego widzenia. Wysoko, maleńkie, ciemne i błyszczące skrzydła marszczyły gładki błękit nieskażonego nieba. Mogłem wreszcie związać brzęczenie z jego przyczyną, z małym owadem, który drgał tam w górze, z pewnością na dobre dwa tysiące metrów; widziałem, jak huczy. Może niegdyś, kiedy szybkość nie skróciła jeszcze odległości na ziemi jak dzisiaj, gwizd pociągu przechodzącego o dwa kilometry posiadał tę piękność, która teraz, na jakiś czas jeszcze, wzrusza nas w warczeniu samolotu o dwa tysiące metrów przez myśl, że odległości przebiegane w tej pionowej podróży są te same co na ziemi i że w tym innym kierunku, gdzie miary wydają się nam inne, ponieważ dostęp do nich wydawał się nam nieosiągalny, samolot o dwa tysiące metrów jest nie dalej niż pociąg o dwa kilometry, jest nawet bliżej, gdyż identyczna droga odbywa się w środowisku czystszy, bez zapór między podróżnym a jego punktem wyjścia, tak jak na morzu lub na równinie, w spokojny czas, smuga dalekiego już okrętu lub powiew wiatru żłobią bruzdę w oceanie wód lub zboża.

— W gruncie nie chce się nam jeść, można by wstąpić do Verdurinów — rzekła Albertyna — to ich godzina i ich dzień.

— Ale skoro ty się gniewasz na nich?

— Och, narobili strasznie dużo plotek, ale w gruncie rzeczy nie są tacy źli. Pani Verdurin była zawsze bardzo miła dla mnie. A przy tym nie można się wiecznie gniewać ze wszystkimi. Mają wady, ale któż ich nie ma.

— Nie jesteś ubrana, trzeba by wracać się przebrać, byłoby późno.

Dodałem, że mam ochotę wstąpić gdzieś na podwieczorek.

— Tak, masz rację, zjedźmy po prostu podwieczorek — odparła Albertyna z tą cudowną uległością, która mnie zawsze zdumiewała. Zatrzymaliśmy się przed wielką cukiernią, położoną prawie za miastem i zażywającą w tej chwili pewniej renomy. Dama jakaś wychodziła i poprosiła kelnerkę o swoje rzeczy. I skoro ta dama wyszła, Albertyna popatrzyła kilkakrotnie na kelnerkę, tak jakby chciała ściągnąć jej uwagę, podczas gdy ta porządkowała filiżanki, talerzyki, ptifury, bo już było późno. Podchodziła jedynie wtedy, kiedy żądałem czegoś. I zdarzało się wówczas, że — kiedy kelnerka, zresztą bardzo wysoka, stała gotowa do obsłużenia nas, a Albertyna siedziała koło mnie — za każdym razem Albertyna, aby ściągnąć jej uwagę, zwracała ku niej pionowo jasne spojrzenie, zmuszona podnosić wysoko żrenice, ponieważ z powodu bliskości, w jakiej stała młoda kobieta, niepodobna jej było zmniejszyć kąta spojrzenia. Musiała, nie zadzierając zbyt głowę, sięgać wzrokiem na tę nadmierną wysokość, na której znajdowały się oczy dziewczyny. Przez uprzejmość dla mnie Albertyna szybko spuszczała oczy, że zaś kelnerka nie zwróciła na nią uwagi, zaczynała na nowo. Tworzyło to istną serię daremnych błagalnych wzlotów ku niedostępnemu bóstwu. Potem kelnerce pozostał już tylko do sprzątnięcia sąsiedni stół. Tam spojrzenie Albertyny mogło jej dosięgnąć swobodnie. Ale ani razu wzrok

kelnerki nie spoczął na mojej przyjaciółce. To mnie nie dziwiło, bo wiedziałem, że ta kobieta, którą znałem troszkę, miała kochanków, mimo iż zamężna, ale ukrywała doskonale swoje miłostki, co mnie dziwiło niepomernie z powodu jej zdumiewającej głupoty. Patrzyłem na tę kobietę, gdyśmy kończyli podwieczorek. Zajęta porządkowaniem, była prawie niegrzeczna dla Albertyny, nie znajdując dla niej ani jednego spojrzenia, mimo iż w zachowaniu się Albertyny nie było zresztą nic niestosownego. Tamta porządkowała, porządkowała bez końca, bez jednej dystrakcji<sup>260</sup>. Gdyby ułożenie łyżeczek i nożyków do owoców powierzono nie dużej pięknej kobiecie, ale (przez oszczędność pracy ludzkiej) prostej maszynie, i wówczas obojętność na zachowanie się Albertyny nie byłaby większa; a mimo to piękna kelnerka nie spuszczała oczu, nie zamyślała się, pozwalała błyszczeć swoim oczom, swoim wdziękom, pochłonięta jedynie pracą. Prawda, iż gdyby ta kelnerka nie była osobą szczególnie głupią (nie tylko miała tę reputację, ale wiedziałem o tym z doświadczenia), obojętność ta byłaby może szczytem zręczności. I wiem, że najgłupsza nawet istota, jeżeli jej pragnienie lub interes są w grze, może, w tym jednym wypadku, wśród nicości swego głupiego życia dostosować się natychmiast do kółek najbardziej złożonego mechanizmu; mimo wszystko byłoby to jednak domniemanie zbyt subtelne dla kobiety równie głupiej jak ta kelnerka. Ta głupota przybierała nawet nieprawdopodobny charakter impertynencji! Ani razu nie spojrzała na Albertynę, której nie mogła przecież nie widzieć. Było to niezbyt uprzejme dla mojej towarzyszki, ale w gruncie byłem uszczęśliwiony, że Albertyna dostała tę małą lekcję i przekonała się, iż często kobiety nie zwracają na nią uwagi.

Opuściliśmy cukiernię, wsiedliśmy do powozu i ruszyliśmy do domu, kiedy naraz zacząłem żałować, że nie wziąłem na bok kelnerki i nie poprosiłem na wszelki wypadek, aby nie mówiła damie, która wyszła w chwili naszego przybycia, mego nazwiska i adresu, które kelnerka z powodu moich częstych zamówień musiała znać doskonale. Było w istocie zbyteczne, aby owa dama mogła w ten sposób uzyskać pośrednio adres Albertyny. Ale wydało mi się zbyt kłopotliwe wracać z drogi dla takiej drobnostki; pomyślałem, że to by znaczyło nadawać temu za wiele wagi w oczach głupiej i kłamliwej kelnerki. Pomyślałem tylko, że trzeba będzie wstąpić tam na podwieczorek za jakiś tydzień, żeby jej to powiedzieć; jakie to nudne, kiedy się ma zwyczaj zapominać połowy tego, co się ma do załatwienia, musieć najprostsze rzeczy robić na kilka razy!

Kiedy się nad tym zastanawiam, trudno mi wprost opowiedzieć przy tej sposobności, jak dalece życie Albertyny było pokryte tajonymi, ulotnymi, sprzecznymi często pragnieniami. Bez wątpienia kłamstwo komplikowało jeszcze to życie. Kiedy nie przypominając już sobie dobrze naszych poprzednich rozmów, Albertyna powiedziała: „Och, to ładna dziewczyna, dobrze grała w golfa”, a ja spytałem o nazwisko owej dziewczyny, odpowiedziała owym obojętnym, ogólnikowym tonem wyższości, który zapewne zawsze jest do dyspozycji, bo każdy kłamca tego typu znajduje go na chwilę, ilekroć nie chce odpowiedzieć na jakieś pytanie: „Och, nie wiem — z żalem, że mnie nie może objaśnić — nigdy nie znałam jej nazwiska, widywałam ją na golfie, ale nie wiedziałam, jak się nazywa”. I kiedy znów w miesiąc później rzekłem: „Albertyno, wiesz, ta ładna dziewczyna, o której mówiłaś, co grała tak dobrze w golfa...” — „A, tak — odpowiadała bez zastanowienia — Emilia Daltier, nie wiem, co się z nią stało”. I kłamstwo, niby fortyfikacja polowa, z obrony zdobytego obecnie nazwiska przeniosło się na możliwości odnalezienia tej osoby. „Ach, nie wiem, nie znałam nigdy jej adresu. Nie mam pojęcia, kto by cię mógł objaśnić. Och, nie, Anna jej nie znała. Ona nie należała do naszej bandy, dziś tak rozproszona”. Innym razem kłamstwo było niby brzydkie wyznanie: „Och! Gdybym miała trzysta tysięcy franków renty...”. Przygryzła wargi. „Co byś zrobiła?” — „Poprosiłabym cię — rzekła, ściskając mnie — o pozwolenie zostania tutaj. Gdzież mogłabym być szczęśliwsza?”. Ale nawet biorąc w rachubę kłamstwa, niewiarygodne było, do jakiego stopnia życie Albertyny było zmienne i jak ulotne były jej najżywsze pragnienia. Szalała za jakąś osobą, a za trzy dni nie zechciałaby jej widzieć. Nie mogła wyczekać ani godziny, żebym jej kupił płótna i farby, chciała się zabrać z powrotem do malarstwa. Dwa dni niecierpliwiła się, płakała prawie rychło osychającymi łzami dziecka, któremu zabrano mamkę. I ta niestałość uczuć w stosunku do osób, rzeczy, zajęć, sztuk, krajów, była w niej tak

<sup>260</sup>dystrakcja (daw.) — roztargnienie, rozproszenie uwagi, skupienia. [przypis edytorski]

powszechna, że jeżeli kochała pieniądze (czego nie przypuszczam) nie mogła ich kochać dłużej niż innych rzeczy. Kiedy mówiła: „Och! Gdybym miała trzysta tysięcy renty!”, nawet jeżeli wyrażała myśl złą, ale nietrwałą, nie mogłaby jej zachować dłużej niż chęci wybrania się do Rochers, których widok ujrzała w wydaniu pani de Sévigné po babce, niż chęci odszukania przyjaciółki z golfa, podróży samolotem, spędzenia świąt Bożego Narodzenia u ciotki lub wzięcia się na nowo do malarstwa.

Wróciliśmy późno w ciemności, w której tu i ówdzie na skraju drogi czerwone spodnie obok spódnicy zdradzały zakochaną parę. Powóz nasz minął Porte Maillot. Miejsce gmachów paryskich zastąpił czysty, linearny, pozbawiony konsystencji rysunek gmachów paryskich, tak jakby ktoś odtwarzał obraz zniszczonego miasta. Ale na skraju tego obrazu wznosiła się z taką słodczą bladą niebieską listewką, od której obraz się odcinał, że spragnione oczy wszędzie szukały jeszcze trochę tego rozkosznego odcienia, który im odmierzono zbyt skąpo. Był księżyc, Albertyna zachwycała się nim. Nie śmiałem jej powiedzieć, że lepiej bym się nim cieszył, gdybym był sam albo w pogoni za jakąś nieznaną. Recytowałem wiersze lub ustępy prozą o blasku księżyca, zwracając uwagę Albertyny, jak ze srebrnego, jakim był niegdyś, stał się niebieski u Chateaubrianda, u Wiktora Hugo z *Eviradnusa* i z *Fête chez Thérèse*<sup>261</sup>, aby się stać znowu żółtym i metalicznym z Baudelaire’em i Leconte de Lisle’em<sup>262</sup>. Potem, przypominając jej obraz, jaki tworzy sierp księżyca pod koniec *Śpiącego Booz*<sup>263</sup>, wyrecytowałem cały utwór.

Wróciliśmy. Tej nocy piękny czas uczynił skok naprzód, jak termometr podnosi się od gorąca. W ciągu wczesnie wstających ranków wiosennych, które nadeszły, słyszałem tramwaje wędrujące poprzez zapachy — w powietrzu, które nasycalo się coraz to więcej gorącem, aż to powietrze nabrało zwartości i gęstości południa. Kiedy tłuste powietrze skończyło werniksować i wyodrębnić zapach *lavabo*<sup>264</sup>, zapach szafy, zapach kanapy, wówczas po samej wyrazistości, z jaką prostopadle stojące przedmioty grupowały się w równoległych i odrębnych transzach, w perłowym półcieniu przydającym łagodniejszego glansu refleksowi firanek i niebieskich atlasowych foteli, widziałem się — nie przez prosty kaprys wyobraźni, ale dlatego, że to było istotnie możliwe — idącym, w jakiejś nowej dzielnicy podmiejskiej, podobnej do tej, w której Bloch mieszkał w Balbec, ulicami zalanymi słońcem, odnajdując tam nie mdłe sklepy rzeźnicze i biały kamień ciosowy, ale większą jadalnię, gdzie bym mógł wejść zaraz, i zapachy, jakie bym zastał, wchodząc, zapach klosza z wiśniami i brzoskwiniami, cydru, sera *gruyère*, zawieszone niejako w świetlnej galarecie cienia, który prążkowały delikatnie niby wnętrza agatu, podczas gdy szklane podpórki na noże iryzują tęcze lub rzucają pawie oczka na stół pokryty ceratą. Niby wiatr wzbierający coraz to silniej, z radością słyszałem pod oknami samochód. Czulem zapach benzyny. Ten zapach może być przykry dla ludzi delikatnych (zawsze materialistów), którym psuje on wieś, i dla pewnych myślicieli (również materialistów na swój sposób), którzy uznając wagę faktu, wyobrażają sobie, że człowiek byłby szczęśliwszy i dostępny wyższej poezji, gdyby jego oczy zdolne były widzieć więcej kolorów, nozdrza znać więcej zapachów; filozoficzna maskarada naiwnych pojęć u tych, co myślą, że życie było piękniejsze, kiedy zamiast czarnego fraka nosiło się bogate stroje. Ale dla mnie (tak samo jak przykry może sam w sobie zapach naftaliny i bagna unosiłby mnie, wracając mi błękitną czystość morza z pierwszego dnia w Balbec) ten zapach benzyny, który wraz z dymem wydobywającym się z samochodu tyle razy zamierał w bladym lazurze w owe palące dni, kiedy jechałem z Saint-Jean de la Haise do Gourville, tak jak mi towarzyszył na spacerach w ciągu owych letnich popołudni, kiedy Albertyna malowała, rozwijał teraz dokoła mnie, mimo że siedziałem w ciemnym pokoju, bławatki, maki, szkarłatną koniczynę, upajał mnie wonią wsi, nie zapach określony i stały, jak ten, który skupia się koło głogów i który uwięziony przez swoje tłuste i gęste składniki, wisi dokoła żywopło-

<sup>261</sup>*Eviradnus, Fête chez Thérèse* — wiersze Wiktora Hugo: *Eviradnus*, wchodzący w skład drugiej części poematu *La Légende des siècles* (Legenda wieków); *Fête chez Thérèse*: ze zbioru *Les Contemplations* (Zamyślenia, 1855). [przypis edytorski]

<sup>262</sup>*Leconte de Lisle, Charles* (1818–1894) — francuski poeta i filozof, przedstawiciel parnasizmu. [przypis edytorski]

<sup>263</sup>*Śpiący Booz* — fr. *Booz endormi*, poemat Wiktora Hugo z tomu *La Légende des siècles* (Legenda wieków), oparty na historii biblijnej z *Księgi Rut*. [przypis edytorski]

<sup>264</sup>*lavabo* (łac., fr.) — umywalka; umywalnia. [przypis edytorski]

tu, ale zapach, przed którym uciekały drogi, zmieniał się charakter gruntu, nadbiegały zamki, bladło niebo, zdziesięciokrotniały się siły, zapach będący niby symbolem skoku i mocy, odnawiający moje dawne pragnienie z Balbec, żeby wsiąść w klatkę z kryształu i stali, ale tym razem nie po to, aby składać wizyty w znajomych domach z kobietą, którą znałem zbyt dobrze, ale aby się kochać w nowych miejscach z kobietą nieznaną. Zapach, któremu towarzyszyły co chwila trąbki przejeżdżających automobilów, pod które podkładałem słowa niby pod pobudkę wojskową: „Paryżanie, wstawajcie, chodźcie śniadać na trawie, pływać łodzią po rzece, w cieniu pod drzewami, z piękną dziewczyną; wstawaj, wstawaj”. I wszystkie te marzenia były mi tak miłe, że winszowałem sobie „surowego prawa”, które sprawiało, iż dopóki nie zadzwonię, żaden „trwożny śmiertelnik”, nawet Franciszka, nawet Albertyna, nie ośmieliłby się niepokoić mnie „w głębi tego pałacu”, gdzie straszliwy majestat czyni mnie niewidzialnym oczom poddanych. Naraz dekoracja zmieniła się: wspomnienie nie już dawnych wrażeń, ale dawnego pragnienia, całkiem świeżo jeszcze obudzonego błękitno-złotą suknią Fortuny’ego, rozpostarło przede mną inną wiosnę, wiosnę już wcale nie spowitą w liście, ale przeciwnie, odartą nagle z drzew i kwiatów przez nazwę, którą szepnąłem: „Wenecja”; wiosna wyklarowana, sprowadzona do swojej esencji, stopniowe wydłużenie, rozgrzanie, rozkwit swoich dni tłumacząca postępującą fermentacją już nie nieczystej ziemi, ale dziewiczej i modrej wody; wiosenna, choć bez kwiatów i mogąca odpowiadać majowi jedynie przez refleksy, kształtowana przez niego, zestrojona z nim ściśle w promiennej i stałej nagości ciemnego szafiru. To też jak pory roku nie zmieniają niekwitnących ramion morza, tak współczesne lata nie przynoszą zmian gotyckiemu miastu; wiedziałem o tym, nie mogłem sobie tego wyobrazić, ale oto co chciałem oglądać z tą samą namiętnością, która niegdyś, kiedym był dzieckiem, w gorączce wyjazdu, skruszyła we mnie siłę jechania; chciałem się znaleźć twarzą w twarz ze swymi weneckimi rojeniami, widzieć jak to rozszczerzone morze obejmuje swymi zakrętami, niby skręty rzeki Oceanu, miejską i wyrafinowaną cywilizację, która odcięła ich lazurową przepaskę, rozwinęła się odrębnie, miała swoje osobne szkoły malarstwa i architektury; chciałem podziwiać ten bajeczny ogród owoców i ptaków z kolorowego kamienia, kwitnący pośród morza, które skrapiało go swoją falą, które uderzało nią o słupy kolumn i na potężnych rzeźbach kapitelów, niby ciemne lazurowe oko czuwające w cieniu, kładło plamami wiekuiście drgające światło. Tak, trzeba było jechać, to był moment. Od czasu jak Albertyna nie robiła już wrażenia pog niewanej, posiadanie jej nie wydawało się już skarbem, w zamian za który gotowi jesteśmy oddać wszystko inne. Bo zrobilibyśmy to jedynie po to, żeby się pozbyć zgrzyoty, lęku — obecnie uśmierzonych. Udało się nam przeskoczyć płócienną obręcz, o której myśleliśmy przez chwilę, że jej nigdy nie zdołamy przebyć. Zażegnaliśmy burzę, sprowadziliśmy pogodę uśmiechu. Niepokojąca tajemnica nienawiści bez znanej przyczyny i może bez końca rozproszyła się. Z tą chwilą odnajdujemy się twarzą w twarz z chwilowo odsuniętym problemem szczęścia, o którym wiemy, że jest niemożliwe. Teraz, kiedy życie z Albertyną stało się znów możliwe, czułem, że mógłbym w nim znaleźć jedynie same nieszczęścia, skoro mnie ona nie kocha; lepiej było opuścić ją w słodyczy jej zgody, którą przedłużyłbym wspomnieniem. Tak, to był moment; trzeba się było dobrze poinformować, kiedy Anna ma opuścić Paryż, wpłynąć energicznie na panią Bontemps, tak aby być całkiem pewnym, że w tej chwili Albertyna nie mogłaby się udać ani do Holandii, ani do Montjouvain. Gdybyśmy lepiej umieli analizować swoje uczucia, okazałoby się, że często kobiety podobają nam się jedynie przez mężczyzn, którym musimy je wydzierać, choćbyśmy śmiertelnie cierpieli od tego, że musimy o nie walczyć; z chwilą zniknięcia przeciwwagi, urok kobiety pierzcha. Mamy tego bolesny i ostrzegawczy przykład w predylekcji<sup>265</sup> mężczyzn do kobiet, które zanim ich poznały, wiodły swobodne życie; do kobiet, dokoła których czują atmosferę niebezpieczeństwa, które trzeba im wciąż zdobywać na nowo; przykład przeciwnie *ex post* — i zgoła niedramatyczny — w człowieku, który czując, że słabnie jego skłonność do kochanej kobiety, samorzutnie stosuje odkryte przez siebie prawidła i aby być pewnym, że nie przestanie jej kochać, rzuca kobietę w niebezpieczne środowisko, gdzie trzeba mu jej bronić co dzień. (Przeciwnieństwo mężczyzn żądających, aby kobieta wyrzekła się teatru, mimo iż dlatego właśnie ją pokochali, że była w teatrze).

<sup>265</sup>predylekcja — skłonność do kogoś lub czegoś. [przypis edytorski]

Kiedy w ten sposób rozstanie się z Albertyną nie groziłoby już niczym, trzeba by wybrać piękny, pogodny dzień jak dzisiejszy — miało być takich wiele — w którym byłaby mi obojętna, kiedy by mnie kusiło tysiąc pragnień; trzeba by jej pozwolić wyjść bez widzenia się z nią, potem wstawszy i zebrawszy się szybko, zostawić jej słówko i nie zobaczywszy się z nią, jechać do Wenecji, korzystając z tego, że ponieważ Albertyna nie może w tym czasie udać się do żadnego z miejsc, które mnie niepokoiły, zdołałbym w czasie podróży nie wyobrazić sobie jej możebnych wybryków, które mi się zdawały w tej chwili zresztą bardzo obojętne.

Zadzwoiłem na Franciszkę, żeby mi kupiła przewodnik i rozkład jazdy, tak jak robiłem dzieckiem, kiedy już obmyślałem podróż do Wenecji — realizację pragnienia równie gwałtownego jak to, któremu doświadczałem w tej chwili; zapomniałem, że od tego czasu było inne, któremu osiągnął i to bez żadnej przyjemności: pragnienie Balbec; i że Wenecja, będąc również zjawiskiem widzialnym, nie mogłaby prawdopodobnie, tak samo jak Balbec, spełnić niewysłowionego marzenia, marzenia o czasach gotyckich, zaktualizowanych wiosennym morzem; marzenia, które na chwilę musnęło mój intelekt zaczarowanym, piśmiennym, nieuchwytnym, tajemniczym i mętnym obrazem. Usłyszawszy dzwonek, Franciszka weszła, dość niespokojna o to, jak przyjmę jej słowa i jej postąpienie.

— Bardzo się trapiła — rzekła — że panicz tak późno dzwoni dzisiaj. Nie wiedziałam, co robić. Dziś rano o ósmej panna Albertyna kazała sobie przynieść kufry, nie śmiałam się sprzeciwić, bałam się, że mnie panicz zeklnie, gdybym go obudziła. Darmo jej mówiłam, że chyba nie ma sumienia, żeby zaczekała choć godzinę, bo wciąż myślałam, że panicz zadzwoni; nie chciała, zostawiła ten list dla panicza i o dziewiątej pojechała.

Jak dalece człowiek nie może wiedzieć, co w sobie kryje! Dopiero co byłem przeświadczony o swojej obojętności dla Albertyny! I w tej chwili straciłem oddech, przytrzymałem serce obiema rękami zwilgłymi nagle od osobliwego potu, którego nie znałem od czasu zwierzeń uczynionych mi przez Albertynę w kolejce, a tyjących przyjaciółki panny Vinteuil. Ale nie mogłem powiedzieć nic więcej jak tylko:

— A! Wybornie, oczywiście, dobrze Franciszka zrobiła, że mnie nie budziła; niech mnie Franciszka teraz zostawi trochę, zadzwonię za chwilę.

---

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur.

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na Licencji Wolnej Sztuki 1.3. Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisałeś w Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/uwieziona-tom-drugi>

Tekst opracowany na podstawie: Marcel Proust, W poszukiwaniu straconego czasu, Uwierzona, tom drugi, tłum. Tadeusz Boy-Żeleński, Towarzystwo Wydawnicze „Rój”, Warszawa 1939.

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>). Reprodukacja cyfrowa wykonana przez Fundację Nowoczesna Polska z egzemplarza pochodzącego ze zbiorów Łukasza Jachowicza. Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Aleksandra Sekuła, Paulina Choromańska, Wojciech Kotwica.

ISBN 978-83-288-0716-7

*Wesprzyj Wolne Lektury!*

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

*Jak możesz pomóc?*

Przekaż 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

Wspieraj Wolne Lektury i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: szczegóły na stronie Fundacji.